

WYDANIE NA WIELKANOC – 100 STRON

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 16/625 14–21 KWIETNIA 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZĘCZY

Jak żyje uciekinier
– Gmyz u Romanowskiego
w Budapeszcie

Niezwykła historia
rodu Grzegorza Brauna

Bolesław Chrobry
stworzył mocarstwo

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 43 500 egzemplarzy

ŚLEDZTWO W SPRAWIE CAŁUNU TURYSKIEGO

PISZA: LISICKI • ZIEMKIEWICZ • CEJROWSKI • SEMKA • WARZECHA • JUREK • MASŁOŃ • GOŁONKA • GOCIEK
BOJAŃCZYK • KRATIUK • PIECZYŃSKI • KARWELIS • POSPIESZALSKI • WIEROMIEJCZYK • GABRYEL

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

**Inwestuj w uczciwość!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.**

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Inflacja, podatki,
tania energia
– czas mówić prawdę
o gospodarce.”*

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**



Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: +48 508 040 882

Dom maklerski INC S.A.



Niech Zmartwychwstały Chrystus
napętni nasze czasy pokojem,
z nasze rodziny i domy
spokojem i radością

Błogosławionych święt Wielkiejnocy,
życzy redakcja „Do Rzeczy”

W RZECZY SAMEJ

Liberałów problem z Chrobrym



PAWEŁ LISICKI

Czy Bolesław Chrobry został faktycznie koronowany na króla Polski w Wielkanoc, w kwietniu 1025 r., nie jest rzeczą całkiem pewną. Być może stało się to na Boże Narodzenie 1024 r., a może w Zielone Świątki, w czerwcu 1025 r. Historycy się spierają, rozstrzygających dowodów brak. Nie przypadkiem jednak wymieniam trzy nazwy święt katolickich: niezależnie bowiem od tego, który konkretnie dzień wybrał Bolesław, związał on Polskę, polskie królestwo, na zawsze z Rzymem, z cywilizacją łacińską. Od tej pory miecz i krzyż, korona królewska i Kościół stały się łącznie symbolami polskiej państwowości. Tysiąc lat później nie ma praktycznie żadnych państwowych obchodów tej rocznicy. Nie ma też na wielką skalę uroczystości kościelnych,

Dla obecnej władzy unijczyków koronacja, po pierwsze, niebezpiecznie przypomina o wartości i znaczeniu suwerenności. Osobne suwerenność i podmiotowość, na dodatek wywalczone siłą i męstwem (a na to wskazuje przydomek Chrobry), są czymś, o czym najchętniej by zapomnieli.

Polskość jest dla nich głównie folklorystycznym przeżytkiem. Jak zatem mają pamiętać i czcić ten moment w dziejach, kiedy doszło do ustanowienia królestwa? Jak mają pamiętać o Polsce jako o narodzie mającym własne państwo, z jego niezbywalnymi prawami i nie do podrobienia tożsamością?

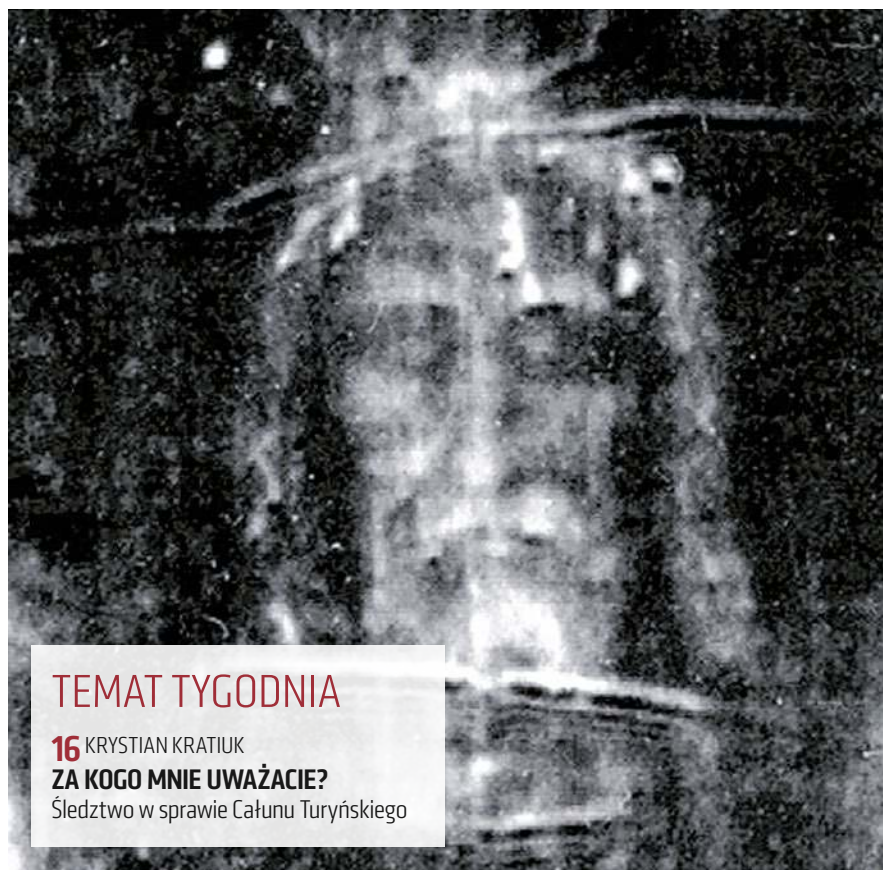
Po drugie, wkładając na swoje skronie koronę, król przyjął na siebie obowiązki monarchy chrześcijańskiego. Zobowiązał się do tego, że będzie dbał o katolickość Polski. Wziął na siebie odpowiedzialność nie tylko za swoją własną duszę, lecz także za czystość wiary katolickiej w całym państwie. Nic dziwnego zatem, że coraz bardziej niechętni Kościołowi politycy nie mogą w nim widzieć swojego patrona. Chrobry jawi się im jako przykład patriarchalnego, religijnego okrutnika. Najlepiej byłoby o nim zapomnieć, ukryć go gdzieś głęboko pod warstwami niepamięci. Król, który wykorzystuje władzę do wspierania Kościoła, ustanawiania katolickich praw i walki z pogaństwem? Co z nim zrobić dziś, w epoce inkluzywności, różnorodności i parytetów? Dla

takich osobników nie ma przecież miejsca w pamięci europejskiej.

Podobne są powody milczenia Kościoła. To nie są czasy kard. Stefana Wyszyńskiego, który przez lata przygotowywał Polaków do rocznicy chrztu Polski w 1966 r. W chwili, gdy Kościół pogodził się z liberalizmem i przyjął całkiem nowe rozumienie wolności religijnej, właśnie w duchu oświecenia, rocznice chrztu państwa czy koronacji stały się czymś kłopotliwym. Podobnie jak czymś ambarasującym stały się związek katolicyzmu z polskością i przypomnienie, że dla Chrobrego i jego następców, praktycznie wszystkich polskich monarchów, obowiązkiem była troska o religię i jej utrzymanie. Trudno, żeby Kościół dziś o tym przypominał, skoro porzucił to dziedzictwo.

W tej sytuacji pozostają sami Polacy. Cała rzesza tych wszystkich, którzy rozumieją, że bez tego aktu, bez tego przyjęcia na głowę korony z rąk arcybiskupa nie byłoby Polski, nie byłoby państwa, nie byłoby całej naszej narodowej tradycji. Dzięki nim 1000. rocznica koronacji nie przeszła bez echa. ©©

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „DO RZECZY” UKAŻE SIĘ WE WTOREK 22 KWIEŃNIA



TEMAT TYGODNIA

16 KRYSZTOF KRATUJ
ZA KOGO MNIE UWAŻACIE?
Śledztwo w sprawie Całunu Turyńskiego

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
W KRAINIE SZARYCH EMINENCJI
Zaufani ludzie szefów partii

25 ROZMOWA Z JÓZEFEM ORŁEM
TRZASKOWSKIEGO MOŻE SPOTKAĆ
NIEMIŁA NIESPODZIANKA

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MEDIA PRAWICY:
JAK NIE PRZEGRACIĆ SUKCESU

30 KACPER KITA
SAGA RODU BRAUNÓW

34 CEZARY GMYZ
NA WYGNANIU. U MARCINA
ROMANOWSKIEGO NA WĘGRZECH

37 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ALLELUJA I DO PRZODU!
RODZINA RADIA MARYJA

40 ROZMOWA
Z PROF. JOSÉ MARIĄ FLORÉNCIEM
BÓG ŚPIEWAŁ, GDY STWARZAŁ ŚWIAT

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
JAK TO SIĘ ROBI W HOLLYWOOD
Sekrety Amerykańskiej Akademii
Filmowej

48 MARIUSZ CIEŚLIK
ŻEBY DOWCIP BYŁ DOWCIPEM

52 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
POWRÓT ONUFREGO ZAGŁOBY

NIE PRZEGAP

54 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

58 MAREK JUREK
WCHODZĄC W ŚWIAT TRUMPA
Polska w obliczu zmiany sytuacji globalnej

61 ŁUKASZ WARZECHA
REALIZM NIEGODNY POLSKIEGO INTELIGENTA

64 ROZMOWA
Z PROF. STANISŁAWEM STABRYŁĄ
ŚWIADKOWIE I PRZEŚLADOWCY

66 ROZMOWA
Z DR. HAB. JANEM MAJCHROWSKIM
PRAWORZĄDNOŚĆ TO NIE DEMOKRACJA

HISTORIA

70 ROZMOWA
Z PROF. WOJCIECHEM POLAKIEM
MOCARSTWO BOLESŁAWA CHROBREGO
Pierwszy król Polski

ŚWIAT

74 WOJCIECH GOŁONKA
PRYNCPYJALNY REAKCJONISTA
Na czym polega fenomen J.D. Vance'a

78 MACIEJ PIECZYŃSKI
SIGMA PUTIN

80 TERESA STYLIŃSKA
DROGA PRZEZ MOSTY

EKONOMIA

84 JACEK PRZYBYLSKI
WYŚCIG PO KLIENTÓW
Świetny rok na zmianę auta?

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI KSIĘCIA
Księcia Andrzeja szanse na tron

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

**Cezary Gmyz, Jerzy Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnicki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki,
Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper,
Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka,
Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieroniejczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczyk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Zygałdo**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak**

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Do Rzeczy SA

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 43 500 egzemplarzy

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaiczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiestacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzeżona, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Węgierska obrona normy”, Paweł Lisicki, „DRz” nr 13/2025

Szanowna Redakcjo,
z wielkim zainteresowaniem,
a także z niepokojem przeczytałem tekst p. Pawła Lisickiego „Węgierska obrona normy”. Podobnie jak autor tekstu mam identyczne odczucia. Premiera Węgier, Viktora Orbána, podziwiam od dawna, gdyż jest on politykiem, a właściwie mężem stanu, którego motywacje i działania służą wyłącznie Węgrom i ich obywatelom. Jak pisze p. Lisicki, kraj ten znakomicie i skutecznie broni się przed indoktrynacją dzieci ideologią gender.

W Polsce sytuacja pod tym względem jest dramatyczna. Dziwię się tylko rodzicom, oczywiście nie wszystkim, dziwię się nauczycielom, że opór jest tak słaby. Są oczywiście ruchy społeczne, które przeciw temu protestują, choćby Nauczyciele dla Wolności czy Ruch Obrony Szkoły. To, co robi obecne Ministerstwo Edukacji, to zbrodnia. Zbrodnia duchowa, moralna i etyczna popełniana na dzieciach! Nie możemy się na to zgodzić! Należy wywierać o wiele większą presję na ministerstwo i rząd w celu całkowitej likwidacji zarówno przedmiotu edukacja zdrowotna w obecnym jego kształcie, jak i edukacja obywatelska.

Odpowiadając na pytanie p. Lisickiego, jak to się stało, że Węgrzy potrafili zadbać o swój interes, a Polacy nie, mogą tylko odpowiedzieć, że niestety większość naszego społeczeństwa utraciła zdolność logicznego myślenia i łączenia kropek. A stało się to właśnie za sprawą polskiej edukacji, która bezkrytycznie wdraża reformy systematycznie obniżające progi wymagań i dewastujące szkolnictwo.

Z wyrazami szacunku
Grzegorz Zientecki

„Przekleństwo demografii”, Robert Bogdański, „DRz” nr 7/2025

W „Do Rzeczy” nr 7/2025 ukazał się bardzo interesujący artykuł Roberta Bogdańskiego „Przekleństwo demografii”. Zwraca on uwagę na pewne rzeczy, które teoretycznie powinny być oczywiste dla każdego, kto poważnie myśli o przyszłości narodu – m.in. o tym, że w propagandzie dominującej w środkach masowego przekazu posiadanie i wychowywanie dzieci jest przedstawiane jako coś, mówiąc kolokwialnie, obciachowego i przeszkadzającego w samorealizacji. Oczywiście słuszną jest też uwaga Autora, że akurat w tej sprawie program „500+” nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

Nieraz się zastanawiałem, jakie mogłyby być wyjście z tej sytuacji. Oczywiście pod rządami koalicji 13 grudnia nie da się w tej sprawie zrobić nic – ale ewentualna rządząca po niej koalicja sił patriotycznych będzie miała przed sobą ważne zadanie. Oto garść propozycji do rozważenia:

– Rodzenie i wychowanie dzieci musi być uznane za działalność STRATEGICZNĄ. Kobiety decydujące się pozostać w domu i wychowywać dzieci powinny mieć zapewnione przywileje emerytalne na równi z pracującymi zawodowo;

– Trudno sprawić, żeby posiadanie dzieci było opłacalne – więc państwo mogłoby zadbać o to, żeby to BRAK DZIECI był NIEOPŁACALNY. Na przykład w postaci wysokiego podatku (np. dochodowego, ale silnie progresywnego) od osób bezdzietnych;

– Zożydzanie macierzyństwa, wśmiewanie się z rodzin bezdzietnych itd. powinno być traktowane jak działalność dywersyjna, piętnowane i podlegać karze. Nie wiem, na ile dałoby się coś takiego zrealizować – ale warto spróbować;

– Oprócz tego konsekwentna ochrona życia dzieci nienarodzonych. Aborcja (oprócz wyjątków przewidzianych w prawie: zagrożenie życia matki, gwałt, kazirodztwo) powinna być traktowana jak zbrodnia i wszystkie osoby ułatwiające ten proceder powinny być bezwzględnie karane.

Pozdrawiam
Sławomir Stachniewicz



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Polowanie w Tatrach

Straż Tatrzańskiego Parku Narodowego ukarała mandatami po 500 zł dwie osoby, które w 20. rocznicę śmierci Jana Pawła II – 2 kwietnia o godz. 21.37 – rozświetliły krzyż na Giewoncie. W tym celu dwóch mężczyzn wniosło na szczyt lampy akumulatorowe” – donosi PAP. Jak wyjaśnia agencja, tradycja rozświetlania krzyża w hołdzie papieżowi Polakowi została zapoczątkowana w 2005 r., w dniu pogrzebu Jana Pawła II. Jak co roku, także tym razem poświęta ze szczytu była dobrze widoczna z Zakopanego i wzbudziła duże zainteresowanie mieszkańców oraz turystów.

Władze TPN mówią jednak, że akcja była nielegalna, ponieważ zgodnie z obowiązującymi przepisami Parku Narodowego poruszanie się po szlakach po zmroku – w okresie od 1 marca do 30 listopada – jest zabronione. Jak wyjaśnił komendant Straży TPN Andrzej Krzeptowski Sabała, mandatami w wysokości po 500 zł ukarano dwóch mężczyzn.

„Zostali ukarani za poruszanie się po szlaku po zmroku, czyli wbrew przepisom Parku. Na

szczycie Giewontu oświetlili krzyż lampami akumulatorowymi. Zatrzymano ich w rejonie masywu Giewontu” – zaintrygowany notatką PAP zadzwoniłem do biura Tatrzańskiego Parku Narodowego. Odesłano mnie do pani Pauliny Kołodziejkiej, kierownika Wydziału Komunikacji i Wydawnictw TPN. Pani Paulina przyznała, że, owszem, często zdarzały się już wcześniej przypadki podświetlenia krzyża, ale od strony prawnej zawsze były nielegalne. W tej sytuacji zapytałem, dlaczego TPN sam nie organizuje wyprawy swoich doświadczonych przewodników, którzy podświetlili by ten symbol wiary.

W odpowiedzi usłyszałem, że „krzyż na Giewoncie jest symbolem samym w sobie i nie wymaga podświetlania”. Gdy przypominałem, że TPN w przeszłości wiele razy przyznawał się do tradycji pamięci o Janie Pawle II, usłyszałem, że park realizuje filmy na ten temat i upamiętnienia. Potem padła raz jeszcze deklaracja: „Nie możemy wspierać nielegalnych działań”. Gdy zaripostowałem, że może sami raz w roku mogliby zorganizować iluminację

krzyża, pani Paulina odpowiedziała: „Może pan złożyć taki postulat. Zachęcam do wysłania e-maila”.

No cóż. Czasy się zmieniają. Tatrzański Park Narodowy nie widzi już powodu, by świętować rocznicę śmierci papieża. A dodatkowo oświetlanie krzyża wywołuje sprzeciw części ekologów. „Niektórzy uważają, że rozświetlony krzyż to piękne upamiętnienie papieża, inni wskazują jednak na problem zanieczyszczenia światłem oraz przypominają, że takie działania nie powinny mieć miejsca na terenie objętym szczególną ochroną” – donosi dziennik „Fakt”.

Tyle że tradycja już istnieje i tegoroczna akcja strażników z pewnością zachęci kolejnych śmiarków, by jakoś dostać się na szczyt nawet w warunkach absolutnej ciemności. Bo Polacy nie lubią zakazów, szczególnie gdy dotyczą to kogoś tak szanowanego jak Karol Wojtyła.

Jak rozumiem, pracownicy TPN będą mieli każdego 2 kwietnia alert w celu blokowania ścieżek dojścia na szczyt. Pewnie wydawane będą instrukcje, jak łapać osoby łamiące zakaz. Głupie to i ponure. ©

WSA O KONCESJACH DLA REPUBLIKI I WPOLSC24

WSA w Warszawie uchylił uchwałę KRRiT przyznającą Telewizji Republika i Telewizji wPolsce24 miejsce na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8. – Uzasadnienie tej decyzji musi budzić ogromne, ogromne wątpliwości – powiedział portalowi DoRzeczy.pl redaktor naczelny „Do Rzeczy” Paweł Lisicki. Wyrok jest nieprawomocny. Szef KRRiT zapowiedział złożenie skargi kasacyjnej do NSA. ©



FOT. PAWEŁ WIDZYŃSKI/FAST NEWS



kacyjnych. Pogłębiając swoją wiarę, stają się jednocześnie ambasadorami prawdy o wielkości osoby i nauczania św. Jana Pawła II w swoich środowiskach.

PRZEKAZUJEMY NADZIEJĘ DALEJ

Nieodłącznym elementem programu stypendialnego jest udział stypendystów w wolontariacie. Podopieczni Fundacji m.in. udzielają darmowych korepetycji, włączają się w zbiórki żywności, ubrań i pieniędzy, odwiedzają szpitale, hospicja, przygotowują świąteczne paczki dla podopiecznych domów dziecka, piszą kartki z życzeniami do osadzonych w zakładach karnych. W ten sposób chcą przekazać innym nadzieję, którą otrzymali dzięki wierze w Boga i wsparciu ludzi dobrej woli.

Jeśli chcesz wesprzeć to „dzieło” i zainwestować w talenty młodych ludzi z małych miejscowości, którzy marzą o edukacji z wartościami i pomnażaniu dobra, które otrzymali od innych, to wesprzyj program stypendialny Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”, przekazując **1,5% swojego podatku na nr KRS 0000 150 776** lub przekaż darowiznę na numer konta **75 1240 2034 1111 0000 0306 8582**. Twoja pomoc ma znaczenie!

Przywracamy nadzieję

ks. dr Łukasz Nycz

Wsparcie materialne stypendystów Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” to nie tylko wymierna pomoc w wyrównaniu szans edukacyjnych niezamożnej młodzieży z małych miejscowości. To przede wszystkim wyraz wiary w ich możliwości i talenty

Człowiek w pewnym sensie nie może żyć bez nadziei – mówił do młodych w Tokio św. Jan Paweł II w 1981 r. – Musi do czegoś dążyć, musi mieć cel w życiu – i poczucie, że jest w stanie go osiągnąć. Tej nadziei i poczucia sensu szczególnie potrzeba młodym ludziom z małych miejscowości, którzy choć odkrywają swój wielki potencjał darów i talentów, często nie potrafią uwierzyć, że mogą je zrealizować. Każdego roku blisko 2 tys. takich ludzi, uczniom szkół podstawowych i średnich oraz studentom, przychodzi z pomocą Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia”.

DAJEMY NADZIEJĘ MŁODYM

Nadzieja tym różni się od optymizmu, że nie jest stanem emocjonalnym, lecz życiową postawą, która podstawę ma w czymś, co już zaistniało, a co daje pewność, że także to, co zaistnieje, będzie pozytywne, właściwe i dobre, co nie oznacza, iż osiągnięte bez trudu. O ile optymizm można w sobie w pewnym stopniu

rozwijać poprzez świadome koncentrowanie uwagi na pozytywnych przewidywaniach, o tyle nadzieja rośnie w człowieku przede wszystkim poprzez wzmacnianie jej motywów. Jednym z nich jest fakt, że otrzymywane co miesiąc stypendium pochodzi wyłącznie z indywidualnych ofiar ludzi dobrej woli. Stypendystom Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia” towarzyszy świadomość, że darczyńcy nie tylko przeznaczają swoje pieniądze na rzecz ich rozwoju, lecz także wierzą, iż dobrze wykorzystają otrzymane środki i kiedyś w przyszłości wezmą odpowiedzialność za losy naszej ojczyzny i Kościoła. W tej postawie naszych darczyńców rozbrzmiewa echo słów św. Jana Pawła II, które podczas inauguracji pontyfikatu, 22 października 1978 r., skierował do młodych: – Wy jesteście przyszłością świata, wy jesteście, nadzieją Kościoła. Wy jesteście moją nadzieją!

NADZIEJA CHRZEŚCIJAŃSKA

Motywy chrześcijańskiej nadziei jest Jezus Chrystus i to, co zrobił dla uratowania, wyzwolenia i zjednoczenia człowieka z Bogiem. To wewnętrzna postawa serca, głębokie przekonanie, że życie człowieka budowane w jedności z Chrystusem ma sens także wtedy, a nawet zwłaszcza wtedy, gdy jest trudno. Tę postawę Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” pragnie zaszczepić w serca swoich podopiecznych podczas spotkań, dni skupienia, rekolekcji i obozów wa-

OBUDŹ W NAS
nadzieję

Przekaż nam **1,5%**
swojego podatku.

KRS: 0000 **150 776**

RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Ostatni gasi światło

Stawiając na „Pegasusa” Tusk ewidentnie postawił na złego konia. Półtora roku dęcia – i oto nie żadne z mediów zamykanych przez władze w „prawicowym” getcie, tylko Sorosowa „Rzeczpospolita”, pod nowym naczelnym, demonstracyjnie wręcz kibicującym władzy, informuje, że specjalny zespół prokuratorski, zebrany przez Adama Bodnara do postawienia politykom PiS zarzutów o nielegalny zakup systemu i nielegalne jego używanie, zwyczajnie się rozsypał. Połowa wyznaczonych do niego prokuratorów (a wyznaczano przecież, jak można się domyślić, tych uznawanych za pewnych) albo już zrezygnowała, albo rezygnację właśnie składa. A zarzutów jak nie było, tak nie ma.

Pięknie rymuje się to z widowiskową kompromitacją komisji sejmowej, która w sprawie tegoż samego Pegasusa chciała doprowadzić do wsadzenia do aresztu, choćby na chwilę, Zbigniewa Ziobrę. Ostatecznie, po serii buńczucznych zapowiedzi, że się odwoła od uniemożliwiającego to wyroku sądu, przewodnicząca komisji się jednak nie odwołała i klęska całego projektu staje się tym bardziej wymowna. Jak by nie patrzył: system zakupiono legalnie, używano go za każdym razem pod przepisową kontrolą sądów, a kanadyjski „ekspertki” think tank Citizen Lab, na enuncjacjach którego oparto cały medialny rwetes w tefalenach i szpringerach, został przez media hiszpańskie zdema-

skowany jako szemrana jacejka, prawie na pewno stworzona przez służby Putina i dla jego celów. Wcale się nie dziwię prokuratorom, że wolą rzucić robotę, niż zostawić swoje podpisy pod propagandowym niby-śledztwem, od dawna służącym już jedynie produkowaniu złotych pasków w przrządowych telewizjach.

Podobnie jak trudno się dziwić niedawnej dymisji szefa departamentu, któremu kazano udowodnić „nadużycia” przy dysponowaniu grantów z Funduszu Sprawiedliwości, oraz jego zastępczyni. Powoływanie kolejnych „komisji” dowodzi, że jest co przykrywać. Nie tylko Pegasus okazał się chabetą, inne „zbrodnie” też... ©

PROTOKÓŁ ROZBIĘŻNOŚCI

Polska według Huntingtona



MAREK JUREK

Gdy 30 lat temu Samuel Huntington ogłosił „Zderzenie cywilizacji”, spieraliśmy się, na ile ta książka może wyjaśniać globalną geopolitykę. Tymczasem dziś widać, jak cenne mogą być huntingtonowskie kategorie, byśmy zrozumieli siebie samych. Bo coraz wyraźniej widać, że Polska jest „narodem pękniętym”, a nawet „narodem na rozdrożu”.

Narodem pękniętym jesteśmy od czasu „odrodzenia stanisławowskiego”, kiedy to elita skupiona wokół dworu Stanisława Augusta postanowiła nadać nam nową tożsamość. Skończyć się miały sarmatyzm i kontrreformacja stawiające w hierarchii dobra

wspólnego na pierwszym miejscu wiare; przyjsz miał oświecenio- wy, „modernizacyjny” – a potem i rewolucyjny – patriotyzm. To zaczęło się już wtedy.

Okoliczności historii, upadek niepodległości to wzmocniły, ale przecież nie wywołały. Polska już wcześniej miała przestać być przedmurzem chrześcijaństwa, stać się miała awangardą demokracji. Samo chrześcijaństwo interpretowane było w tej wersji polskiej kultury jako historyczna zapowiedź liberalizmu i „brama do Europy”.

Oczywiście problem nie tylko jest historyczny, lecz także staje się coraz bardziej aktualny. „Naród pęknięty” w teorii

Huntingtona to naród, który należy do dwóch cywilizacji naraz. Na przykład wyznaje tradycyjne wartości chrześcijańskiego Zachodu i nie odrzuca antychrześcijańskiej kontrkultury Zachodu współczesnego. „Naród na rozdrożu” to naród, którego elita chce przeprowadzić go z jednej cywilizacji do drugiej. I to właśnie przeżywamy, choć w towarzyszeniu okrzyków o zachowaniu „suwerenności” i „tożsamości”. Consensus „proeuropejski” zakłada jednak, że nie ma z tej drogi żadnego odwrotu, więc że (w praktyce) suwerenności i tożsamości będziemy w Unii Europejskiej bronić do końca, aż do ich ostatecznego zaniku. ©



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



PIECZEŃ RZYMSKA

Postępowcy walczą o bezkarność



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

Włoski rząd po roku deliberacji i dyskusji zatwierdził megadekret bezpieczeństwa. Zaostrza kary za atak na policję, terroryzm, okupację mieszkań, blokowanie dróg i torowisk, dewastację dzieł sztuki, oszustwa, których ofiarą padają ludzie starsi, kradzieże kieszonkowe, wysyłanie dzieci na żebra zamiast do szkoły.

Chodzi o ochronę policji (blisko 300 policjantów w ubiegłym roku odniosło poważne obrażenia podczas demonstracji i protestów) i stawienie czoła bólowi życia, głównie wielkomiejskiego. Być może wreszcie położony zostanie kres pladze zajmowania mieszkań socjalnych przez zorganizowane gangi. Gangsterzy włamują się do mieszkań

socjalnych, gdy lokatorzy na chwilę wyjadą, wymieniają zamki i „wynajmują” je komuś innemu. Jeśli wśród nowych „lokatorów” jest kobieta w ciąży lub z małym dzieckiem, to nie można ich eksmitować. Nowy dekret zezwala policji na opróżnianie zajętych mieszkań natychmiast, bez względu na to, kim są dzicy lokatorzy. Cięża czy małe dziecko przestaną chronić złodziejki kieszonkowe przed aresztem (rekordzistka była zatrzymywana ponad 100 razy, ale natychmiast puszczano ją wolno). Solidne kary dla przylepiających się do asfaltu, blokujących tory lub dewastujących dzieła sztuki w imię świeżego powietrza powinny dać do myślenia ekoterrorystom.

Mądre postępowe głowy, od czasu gdy w ubiegłym roku

opublikowano projekt dekretu, gadały w telewizjach, że łamię on podstawowe prawa konstytucyjne i godzi w demokrację. Politycy opozycji podnosili, że dokument jest emanacją faszystowskich ciągotek obecnej władzy, a jego prawdziwy cel to zduszenie pod karą więzienia protestów społecznych. Przeciwko dekretowi odbyły się demonstracje w Rzymie. Anarchiści, studenci i uczniowie zaatakowali policję, bo chcieli wtargnąć do Senatu. Na kordon protestująca rzuciła się również młodzież w Mediolanie, a opozycja po raz kolejny nie zdobyła się na potępienie przemocy. To jest kurs na kolejną klęskę wyborczą. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA-
PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TRZASK JAK
MICKIEWICZ

Im bliżej wyborów prezydenckich, tym większe fale celebryckiego uwielbienia zalewają „jedynego właściwego” kandydata, czyli Rafała Trzaskowskiego. Niedługo się nam biedaczyna utopi. Jaki on wysoki, jaki oczytany, elokwentny, no po prostu prezydent, na którego nie zasłużyliśmy. W ubiegłym tygodniu miejsce miała premiera wywiadu rzeki z wiceszefem PO. Premierze towarzyszy audiobook – w wykonaniu nie byle kogo, bo samego Michała Żebrowskiego. Aktor znany jest z nieco niepokojącej fascynacji Trzaskowskim, swoim kolegą ze szkolnej



FOT. JACEK SZYBOWSKI/FORUM

ławcy. – Odkąd pamiętam, zachęcał nas do nauki, zabierał na jakieś wycieczki. Z tego robił albumy, dzielił się wiedzą. Udzielał korepetycji za darmo z języka angielskiego i nie tylko. Człowiek, który w zasadzie zna chyba każdy język europejski, z wyjątkiem niemieckiego. Zna historię tych narodów lepiej niż ci cudzoziemcy – to cytat z jednego z wywiadów Żebrowskiego. Nagranie audiobooka stało się kolejną okazją do wychwalania polityka. Aktor postawił Trzaskowskiego w jednym

rzędzie z najwybitniejszymi polskimi pisarzami. „Przez dziesięciolecia miałem zaszczyt i przyjemność czytać dla Państwa wielu wspaniałych polskich Autorów... Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Miłosza, Sienkiewicza, Żeromskiego, Wyspiańskiego, Broniewskiego, Leśmiana, Herberta, Grochowiaka, Tuwima, Brzechwę, Baczyńskiego, Prusa... a teraz czytam Trzaskowskiego. Podsumuję to krótko... nie wiem, co lepsze. Panie Prezydencie... zadanie wykonane” – napisał w sieci. Lepszy Leśmian czy Trzaskowski? No, naprawdę ciężki wybór.

KOLEGA KOLEDZE

Michał Żebrowski tak nastodził kole-dze-prawie-prezydentowi-Polski, że ten musiał się jakoś odwzajemnić. „Dla jednych Skrzetuski, dla innych Pan Tadeusz, dla mnie – »Żeber«. Michał Żebrowski, przyjaciel od dzieciństwa, czyta mój wywiad rzekę”. Na zachętę fragment wywiadu: „Rodzice czytali książki, posyłali mnie na angielski, ale podwórko było identyczne i kolejki też, a paczki dostawaliśmy z kościoła, tak jak wszyscy. A to, do czego doszedłem w życiu, sam sobie wywalczyłem. Studiowałem dwa fakultety równocześnie i zarabiałem na własne utrzymanie. Mówią: a, on miał łatwiej, bo zna pięć języków. Ale tych języków trzeba się było przecież nauczyć”. Ach ten Rafał, prawdziwy prezydent.

NEPOTYZMU NIE
STWIERDZONO

Wiosennych premier czas – wielkimi krokami zbliża się premiera spektaklu „Hamlet”, który ma być symbolicznym pożegnaniem Jana Englerta z funkcją dyrektora artystycznego Teatru Narodowego (pełnił ją przez niemal 30 lat). Jednak ogłoszenie obsady przedstawienia wywołało niemałe kontrowersje, ponieważ w głównych rolach Englert obsadził swoje... żonę oraz córkę. Podniosły się, co raczej nie dziwi, głosy zarzucające mu nepotyzm. O burzę zapytano Beatę Ścibakównę, żonę artysty (Gertruda w „Hamlecie”). Aktorka z ironią przywołała słowa Romana Polańskiego.

– Ale to wspaniałe! Roman Polański, jak go zapytano, dlaczego wciąż obsadza w filmach swoją żonę, odpowiedział: „Dla czego miałbym cudzą żonę obsadzać?” – odparła. Zasugerowała tym samym, że wybór bliskich do współpracy wcale nie jest czymś kontrowersyjnym. Najważniejsze są zrozumienie i wspólne poczucie estetyki. – Jestem przekonana, że taki tytuł jak „Hamlet” wzbudza naprawdę olbrzymie emocje. Jest to tytuł, który jest rzadko w sumie grywany. Wiadomo, że niektórzy inscenizatorzy do różnych tytułów i do różnych autorów dobudowują różne sytuacje, rzeczy, dodatkową literaturę – dodała Ścibakówna. Czyli nepotyzmu nie stwierdzono.

ANETA NAM
WYJAŚNI

Znad Wisły przenosimy się do Ju Es Ej. Aneta Glam, celebrytka znana z takich programów jak „Żony Miami” i „Królowa przetrwania”, opowiedziała o imprezach organizowanych w willi Donalda Trumpa. Przedstawicielka Polski w Hollywood zdradziła kulisy w śniadaniówce Polsatu. Pani Aneta stwierdziła m.in., że wydarzenia organizowane w posiadłości polityka nie są tak ekskluzywne, jak się niektórym wydaje. – To nie jest nic fajnego, żeby pójść do posiadłości Trumpa, bo tam trzeba mieć zaproszenie, żeby móc kupić bilet, ale ten bilet można wykupić. Na takich eventach to jest 300 osób. To nie jest aż tak bardzo ekskluzywny event, ponieważ to nie jest w takiej głównej części posiadłości Trumpa, tylko to jest taka część jego posiadłości, którą wynajmuje na różne bardzo szczytne cele i eventy, nawet charytatywne, nawet dla zwierząt – opowiadała. Celebrytka zdradziła także, że goście mają dostęp tylko do wydzielonej części posiadłości. – Szczególnie teraz, jak on jest prezydentem, to niebezpieczne dla niego. On tę posiadłość zawsze wynajmował, tę jedną część właśnie na eventy. A reszta domu, prawie nikt nie może wchodzić, tylko rodzina – wyjawiała. Z takimi ekspertami do spraw Ju Es Ej polsko-amerykańskie relacje będą najlepsze w historii. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż nadchodzą Winter Holidays, które polegają w głównej mierze na tym, że uprawia się dość smutny, a potem bardzo wesoły churching, zwieńczeniem którego jest konsumpcja jajek w wielu polskich domach, postanowiliśmy zabawić się intelektualnie i przygotowaliśmy dla was krótkie zestawienie, co w swoim jajku niespodziance mogłyby znaleźć osoby kandydackie na urząd prezydenta tego kraju.

Rafał Trzaskowski – nasz kandydat na pewno w jajku niespodziance nie znalazłby prezydentury, iż to oczywiste, że wygra. Znajdzie za to długopis – of kors po to, aby podpisem ustawę odrzucić albo skierować do Trybunału Konstytucyjnego (On w końcu działa czy nie? Jest legitymny czy nie? Nie nadążamy), iż nie mamy najmniejszych wątpliwości, iż będzie to ponadpartynna prezydentura.

Szymon Hołownia – niestety, jeden z naszych ulubieńców i ikoniczna twarz odsunięcia pisu od władzy mogłby posłużyć jako ilustracja do mema pod hasłem „oczekiwania kontra rzeczywistość”. Dlatego w jajku niespodziance znalazłby debatę z Mentzenem. A w przypadku jej wygrania skok sondażowy z 6 na 7 proc.

Karol Nawrocki – w sumie jajko niespodzianka pewnie nie ma najlepszego makro, więc trudno przypuszczać, iżby utrzymujący najlepszą formą fizyczną kandydat obywatelski uległ takiej pokusie, skoro nie uległ nawet pokusie

promowania własnej książki własnym nazwiskiem. Jednak skoro bawimy się w metafory, to mógłby znaleźć karnet na Lechię, niestety już zapewne na I ligę, a nie Ekstraklasę. Zwłaszcza iż po wyborach pewnie będzie miał dużo czasu.

Sławomir Mentzen – iż w programie u Stanowskiego wyszło na to, że nie za bardzo

kluczyć, a następnie posłużyłoby jako metafora niesprawiedliwości neoliberalnego systemu ekonomicznego, gdzie dwie osoby kupują niby takie same jajko, ale jedna może mieć lepszą niespodziankę niż druga.

Grzegorz Braun – nie chce nam się wierzyć, iż Grzegorz Braun mógłby kupować niepolskie jajka niespodzianki, trochę również obawiamy się insynuowania, co mógłby tam znaleźć, ale jakaś niepowstrzymana ciekawość badawcza pcha nas do tego, iżby napisać, że mogłaby to być maseczka antycovidowa.

Magdalena Biejat – jej prezydentura wydaje się równie realna, co powszechny dostęp do tanich mieszkań na wynajem – czyli teoretycznie możliwa, ale głównie w PowerPointcie. W jajku niespodziance mogłaby znaleźć plakat z hasłem „Lewica wraca do gry”, tylko nikt nie powiedział, jaka to gra i czy ktokolwiek więcej bierze w niej udział.

Krzysztof Stanowski – znajdzie tam możliwość wystąpienia w debacie w Telewizji Polskiej SA w likwidacji, co chyba dla niego jest najlepszym prezentem, a po cichu mamy nadzieję, iż dla nas również, jako iż od dawna nie traktujemy tych wyborów poważnie, a jako event, przy którym – mamy nadzieję – będą się działy fajne memicznie rzeczy xD.

Radosław Sikorski – ajajaj, nie tym razem... © ©



umie przygotować jajecznicę, mamy pewne wątpliwości, czy poradziłby sobie z odwinieniem sreberka z jajka niespodzianki. Zakładając jednak, że mu się to udało, nie powinien w środku znaleźć nic, iż kupując jajko, oczekuje się zabawki za darmo, a za darmo – jak wiadomo – nic nie ma, na wszystko trzeba zapracować, a w ogóle jajko niespodzianka to socjalizm.

Adrian Zandberg – jak wiadomo, jajko niespodzianka to socjalizm, a więc jajko zostałoby podzielone między kolektyw Partii Razem, tak iżby nikogo nie wy-

PODSŁUCHANE

W czasie wojny...

Jak było na tym szkoleniu, Rafał?

A daj spokój, Władek, musicie to jakoś zmodyfikować, prze-

cież to nie jest dla normalnych ludzi.

OK, możemy pomyśleć. Ale co konkretnie?

Po pierwsze – cały dzień na dworze...

Wiesz, w czasie wojny...

... i w dodatku bez nawet choćby dwóch godzin na drzemkę.

Ja w jakiejś kufajce...

Jakby wojna była...

... jakieś krzesiwo. Stary, przecież to jest XXI w., są zapalniczki!

Ale chodzi o to...

I jeszcze biegać mi kazali.

Ja rozumiem – 10 m.

Ale nie 500! To było 10 dni temu,

a ja nadal muszę odysypać. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To kwestia deklaracji [...] na miarę przyjęcia chrześcijaństwa”.

JAKUB BIERZYŃSKI, przedsiębiorca i publicysta, na X o tym, dlaczego – jego zdaniem – Polska powinna przyjąć euro



dwaj panowie g

No i stało się: kandydaci na kandydatów zostali prawdziwymi kandydatami, a jest ich wielu. Sięgając do klasyka, znaczący tekst piosenki grupy Exodus: „Wielki wyścig ogłoszono / O nagrodę dnia / Wśród tysięcy ludzi / Biegnę także ja”. W związku z ich niespodziewaną mnogością pojawiły się apele, by podnieść próg liczby wymaganych do rejestracji podpisów. Na przykład ze 100 do 200 tys. Słyszeliśmy nawet z okolic Nowogrodzkiej, że powinno być ćwierć miliona.

Skład finałowej siedemnastki zarejestrowanej przez PKW napawa sztab PiS optymizmem. Usłyszeliśmy z jego okolic, że – po pierwsze – maluchy zmobilizują dodatkowych wyborców antysystemowych. A po drugie, ich mnogość przyczyni się do efektu spłaszczenia wszystkich wyników, w tym lidera, czyli Trzaskowskiego. Chodzi bowiem o to, by Rafał Kazimierz wszedł do drugiej tury z jak najniższym wynikiem.

Wracając do podpisów. Niektórym było ciężko. Kilka tygodni wcześniej nawet na tyle ciężko, że przez chwilę sztab PiS się zastanawiał, czy aparat partii nie powinien pomóc w zbieraniu Markowi Jakubiakowi. Ostatecznie jednak zrezygnowano z tego pomysłu, żeby ludziom w głowach nie mieszać. Nas kandydatura Jakubiaka cieszy. Uważamy, że w każdym wyścigu powinien startować jakiś husarz.

Tymczasem Dobry Donald z Waszyngtonu przewraca świat do góry nogami, używając ceł, dekretów oraz Elona Muska. Do rezydencji w Mar-a-Lago pielgrzymują coraz to nowi liderzy prawicy z całego świata, by zacieśniać stosunki. No i głupia sprawa: nie ma wśród nich żadnego Polaka. Złośliwi z Nowogrodzkiej sugerują, by pytanie „dlaczego” zadać tym, którzy twierdzą, że mają w Ameryce najlepsze stosunki, to znaczy Bielanowi i Morawieckiemu.

Żeby nie było: chcielibyśmy też pochwalić rezolutnego Mateusza. Za działalność na niwie europejskiej.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Jak zapewne pamiętacie, premier Mateusz został niedawno szefem Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (partii, nie frakcji w europarlamencie). Traktuje swą funkcję poważnie i osobiście czyta różne partyjne kwity. A potem stawia trudne pytania, np. dlaczego aż tyle wydaje się pieniędzy na rozmaite

złoty i spotkania. Nie, nie chodzi o to, że Mateusz nienawidzi złotych i spotkań. Chodzi mu o nadmierne wydatki bankietowe. Włosi dostają w związku z tym szału, gdyż z natury są żywiołowi i bankietowi. Odpowiadamy Włochom: można wyciągnąć człowieka z banku, ale banku z człowieka – nigdy.



Wracając do kampanii prezydenckiej – obie strony robią rozmaite symulacje i analizy przepływów. Naszą uwagę zwróciła analiza przeprowadzona w okolicach sztabu PiS. Wynika z niej, że kandydat Grzegorz Michał Braun pożywia się kosztem kandydata Krzysztofa Jakuba Stanowskiego. Co więcej, niektórzy zastanawiają się całkiem poważnie, czy w drugiej turze o zwycięstwie kandydata nie zadecyduje właśnie Braun, wskazując, na kogo jego kilka procent wyborców ma zagłosować. Przyznacie, że byłby to wielki chichot losu.

Chcieliśmy zabrać głos w sprawie powodów, dla których kandydat Rafał Kazimierz jest dumny z Polski. Są to, jak wiadomo, wafelki i ogórki. Wafelki są amerykańskie, a ogórki – niemieckie. Jaki kandydat, takie kondominium.

Ápropos wafelków: odnotowujemy pyszny trolling przygotowany przez PiS w sprawie Prince Polo i Rafała Trzaskowskiego. Otóż leżały one przygotowane na stole, przy którym Paweł Szefernaker czekał na przedstawicieli sztabu Rafała, żeby negocjować warunki debaty. Niestety, wafelki się nie przydały, gdyż od Rafała nikt nie przyszedł.

Skoro o sprawach niemieckich: odnotowaliśmy powstanie w Morągu Muzeum Prus Górnych. Tak nazwano wyremontowane (zresztą za polskie pieniądze) dawne Muzeum Herdera. W rewanżu domagamy się powstania Muzeum Dolnej Polski w Miśni. Co z tego, że niemiecka – kiedyś była polska. Gdy zdobył ją Bolesław Chrobry. Oczekujemy, że rząd w Berlinie wyasygnuje odpowiednie fundusze.

Ápropos Berlina. Andrzej Sebastian jest jak Nike z wiersza Zbigniewa Herberta („Najpiękniejsza jest Nike w momencie kiedy się waha”). Osoba głowy państwa waha się, czy klepnąć Radkowi Sikorskiemu dwie ważne nominacje ambasadorskie. A konkretnie chodzi o Jana Tombińskiego w Berlinie oraz Macieja Hunię w Tel Awiwie. Musimy dodać, że są też

kandydatury, co do których Andrzej Sebastian absolutnie się nie waha. To Bogdan Klich w Waszyngtonie i Ryszard Schnepf w Rzymie. Brak wahania oznacza, że nadal będą pełnić funkcje jedynie facetów pilnujących tymczasowo ambasady do chwili, gdy mianowany zostanie prawdziwy ambasador.

Wracając do kandydata Rafała Kazimierza. Otwieramy oczy niedowiarkom w sprawie wojskowego szkolenia, które Rafał podobno przeszedł, tyle tylko, że nie wiadomo do końca jak, gdyż ciężko jest znaleźć ludzi, z którymi miał się szkolić. Wyjaśniamy: są ludzie zwyczajni i nadzwyczajni. Rafał, co oczywiste, należy do nadzwyczajnych. Zwykłym szkoleniu zajmuje cały dzień. Nadzwyczajni przechodzą je tak szybko, że nawet trudno zauważyć.

Ciekawe wieści z Rumunii i Węgier. Wedle sondaży pierwszą turę wygra kandydat George Simion, czyli człowiek EKR w Bukareszcie. Kto będzie w drugiej? Kandydatów centrolewu jest kilku, w tym rumuński Trzaskowski, czyli mer Bukaresztu Nicusor Dan. Inna zza kulis – bratanek Viktor Orbán miał zalecić silnej partii węgierskiej w Rumunii, współtworzącej zresztą rząd, by w pierwszej turze głosować na Antonescu – kandydata tejże koalicji rządzącej. To nie dziwi. Ale w drugiej turze, jeśli wejdzie do niej rumuński Trzaskowski, miejscowi Węgrzy mają głosować na Simiona, czyli poprzec rumuńskiego nacjonalistę. To się nazywa pragmatyzm.

Jeszcze o kierunku rumuńskim – i w Polsce, i w Rumunii dla prawicy nadchodzą kluczowe tygodnie. Nic więc dziwnego, że niektórych polityków PiS można częściej spotkać w Bukareszcie niż w Warszawie. Ale to działa też w drugą stronę. Słyszeliśmy np., że w kampanii internetowej kandydata Karola Tadeusza sztab oficie korzysta z doświadczeń rumuńskich.

Życie towarzyskie. Gościliśmy ostatnio w gronie prawników i bardzo nam się spodobały rozmaite krążące tam insajderskie historyjki z życia mecenasa Ryszarda Kalisza i jego kancelarii. Na

przykład charakterystyczne dla starej komunobetonowej lewicy poczucie humoru. Oto jedna z opowieści: podobno kilka tygodni temu do kancelarii Kalisza zgłosił się gość z firmy CD Projekt. Wiecie, ci od gier wideo, „Wiedźmina” itd. Odbyła się miła rozmowa. Do ogarnięcia była jakaś sprawa prawna. Po spotkaniu Kalisz zawiązał asystentkę i prosił, żeby odnowić kontakty z Robertem Biedroniem. Asystentka na to: OK, ale jaki jest kontekst? Na co Rychu Kalisz: Są pieniądze do zarobienia przy gej-mingu.

Druga opowieść z życia Ryszarda dotyczy potentata na rynku finansowym. Do Kalisza przyszedł jeden z prezesów polskiego oddziału zagranicznego banku. Ryszard po spotkaniu wyszedł i złapał jakiegoś młodego prawnika u siebie. I mówi do niego: „Naprawimy Raiffeisena, wielkie zadanie przed Tobą!”. I tyle. Wyjaśniamy: Ryszard Kalisz porozumiewa się z otoczeniem skąpo, uważając, że wszyscy w lot rozumieją. Młody prawnik nie wiedział co dalej. Potem odpalił czat GPT. Wpisał po angielsku: „Jak naprawić Raiffeisena?” i wysłał odpowiedź Ryškowi. A Rysiek bez wahania pchnął to do tego faceta z banku. Przyszła odpowiedź: „Richard! Tell me more!”. Nie ręczymy za prawdziwość tych opowieści, ale jak mawiają Włosi: se non è vero, è ben trovato. Co na polski wyklada się „nawet jeśli nie jest to prawda, to jest to dobrze wymyślone”.

Tymczasem w służbach. Trwają kolejne odsłony rozgrywki o władzę między dwoma generałami – Kujawą i Bondarykiem. Czyli odwieczny bój między Legią i Gwardią, jak określano w PRL rozgrywki między bezpieką wojskową a cywilną. Kujawa to Legia, czyli wojsko. Bondaryk robi za Gwardię, czyli za cywilną milicję. Idzie z grubsza rzecz na noże. Fruwają rozmaite kompromaty, które mają doprowadzić do kolejnych (po odejściu szefowej CBA) dymisji w służbach. Bawi nas, że najczęściej padają zarzuty z gatunku „korek, worek i rozporek”. Z czego najpopularniejszy jest korek. Chodzi o jeden z grzechów głównych – nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu. A w szczególności w picciu. ©©

RELOKACJA WOJSK USA Z JASIONKI

Dowództwo armii USA w Europie i Afryce ogłosiło relokację amerykańskiego personelu i sprzętu wojskowego z lotniska w Jasionce pod Rzeszowem (na zdjęciu: przylot amerykańskich żołnierzy w lutym 2022 r.). Jak zauważył gen. Christopher Donahue, decyzja ta ma pozwolić amerykańskim podatnikom na zaoszczędzenie „dziesiątków milionów dolarów rocznie”.

„Nadal zapewniamy ten sam poziom wsparcia Siłom Zbrojnym Ukrainy zgodnie z wytycznymi Dowództwa Europejskiego USA i nadal jesteśmy w Polsce” – oznajmił w komunikacie płk Michael Weisman, starszy rzecznik armii USA w Europie. Amerykańskie oddziały mają trafić do innych, „bardziej stałych baz” w Polsce. Odpowiedzialność za hub logistyczny w Jasionce ma z kolei

przejąć misja sojusznicza NSATU (NATO Security Assistance and Training for Ukraine). Jak zaznaczył na platformie X wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, obecnie w misję w Jasionce zaangażowane są „głównie wojska norweskie, niemieckie, brytyjskie i polskie”.

W Europie na stałe stacjonuje ok. 65 tys. żołnierzy amerykańskich. **(jap)** ©

FOTO: DANIEL ODELMANOWICZ/PAP







Krystian Kratiuk

Całun Turyński pozostaje zagadką, z którą bardzo nie lubią konfrontować się ci, którzy już dawno zamienili wiarę na „światopogląd naukowy”

Było już ciemno. W świątyni panował ruch, gdyż niespodziewanie rozdarła się zasłona przybytku oddzielająca Miejsce Święte od najświętszego zakątka, zwanego Świętym Świętych. Symbolizowała ona granicę między ludzkim światem a boską rzeczywistością. Na pobliskim wzgórzu znajdowała się Maryja, pełna cierpienia, wspierana przez Jana – jednego z tych, których niedawno Chrystus zapytał: „A wy, za kogo Mnie uważacie?” (Mt 16, 15).

Wkrótce przybył Józef z Arymatei i podjął rozmowę z żołnierzami strzegącymi ciał skazańców zawieszonych na narzędziach kaźni. Przekazał im zgodę Piłata na zabranie ciała Jezusa. Miał ze sobą płótno, w które, najpewniej z pomocą Matki Chrystusa i apostoła Jana, a być może przy wsparciu innych osób, owinięto zwłoki zamordowanego Nauczyciela. Do ciała dołączono wonności, zgodnie ze zwyczajem tamtejszej tradycji pogrzebowej.

Tak przygotowane ciało złożono w grobie wykutym w skale – miejscu, które Arymatejczyk przygotował niedawno dla siebie i swoich bliskich. Uznając się za ucznia Jezusa i pozostając pod jego ogromnym wpływem, zdecydował się w ten sposób oddać mu hołd. Czy ktokolwiek z uczestników pogrzebu przypuszczał, że po trzech dniach w grobie nie będzie już ciała, a jedynie pozostanie płótno? Tego nie wiemy. Tradycja pozwala jednak wierzyć, że Matka Chrystusa mogła przeczuwać, co się wydarzy. Sam Jezus kilkakrotnie zapowiadał swoje zmartwychwstanie, choć była to jedna z tych nauk, które dla wielu jego słuchaczy pozostawały niezrozumiałe. Wielu ludzi do dziś nie jest w stanie tego pojąć.

Wszystkie Ewangelie wspominają o Józefie z Arymatei i płótnach grobo-

Najnowsze wyniki są jednoznaczne: słynne płótno liczy ok. 2 tys. lat

FOT. ARCHIVES/AFP/EAST NEWS

Za kogo Mnie uważacie?



wych, które przyniósł. Święty Jan Apostoł używa w tym kontekście greckiego słowa „othonia” (gr. ὀθόνια), oznaczającego pojedyncze tkaniny lub fragmenty materiału do owijania poszczególnych części ciała. Z kolei ewangeliści synoptyczni posługują się terminem sindón (gr. σινδών), określającym duże płótno bądź całun zdolny przykryć całą postać. Czy wspomniane płótno to znany dziś chrześcijanom Całun Turyński?

NAUKA NA POMOC WIERZE

Na to pytanie ten artykuł nie odpowie – podobnie jak nigdy nie uczynił tego oficjalnie Kościół katolicki. Przedstawiciele tej wspólnoty podchodzą do sprawy z odpowiedzialnością, unikając stanowczych deklaracji o autentyczności bądź fałszywości Całunu jako płótna grobowego Zbawiciela. Każdy wierzący sam musi poszukać odpowiedzi we własnym sercu.

Sercom jednak z pomocą przychodzi nauka. W sierpniu 2024 r. ogłoszono niezwykle cenne dla tej kwestii wyniki badań. Oto odkrycia naukowców z Włoch rzucają nowe światło na jedną z najciekawszych zagadek chrześcijaństwa – wyniki badań przeprowadzone przez zespół profesora Liberato De Caro z Instytutu Krystalografii we Włoszech wskazują, że tkanina ta może być znacznie starsza, niż dotychczas ustalano przy pomocy podobnych badań.

Włoskie badania przeprowadzone zostały metodą szerokokątnego rozpraszania promieniowania rentgenowskiego (WAXS). Technika ta, stosowana do analizy strukturalnej starożytnych materiałów, pozwala na precyzyjne określenie stopnia degradacji tkaniny. Na tej podstawie można ocenić jej wiek.

Przełomowe badania przeprowadzono na małej próbce tkaniny, o wymiarach zaledwie 0,5 mm x 1 mm, mniejszej niż ziarenko ryżu. Wyniki są jednoznaczne – płótno liczy ok. 2 tys. lat.

Wynik ten odpowiada datowaniu podobnymi metodami kolejnego znaleziska – fragmentu płótna z twierdzy Masada. To starożytna forteca położona na szczycie skalistego płaskowyżu nad Morzem Martwym w Izraelu. Badany fragment płótna pochodził z lat 55–74 n.e. Zgodność wyników badania fragmentu całunu i płótna z Masady skłoniła badaczy do hipotezy, że Całun Turyński może rzeczy-

wicie pochodzić z czasów Nowego Testamentu. Naukowcy opublikowali swoje odkrycie w recenzowanym czasopiśmie „Heritage”.

CAŁUNOLOGIA

Zapewne słyszeli państwo o niesamowitych faktach związanych z Całunem, każdego roku przed Wielkanocą pozostaje bowiem niezwykle szeroko omawianym tematem. Całun jest prawdopodobnie najczęściej badanym przedmiotem w dziejach świata. Dość powiedzieć, że istnieje cała gałąź nauki zajmująca się badaniami nad tym konkretnym płótnem – nazywana jest syndologią lub też syndonologią (od wspomnianego wcześniej ewangelicznego słowa „sindón”).

Dlaczego więc wiadomość o ustaleniu daty włoskich badaczy z 2024 r. miałaby być szczególna czy przełomowa? Otóż wyniki tych badań wskazują, że sto-

błądy metodologiczne. Twierdzono, że próbki mogły zostać zanieczyszczone bakteriami, grzybami lub sadzą po pożarze z 1532 r. Podnoszono także, że pobrana próbka mogła pochodzić z obrzeży Całunu, które były częściej dotykane lub naprawiane.

W 2002 r. dr Orazio Petrosillo stwierdził, że Całun zawiera mieszankę włókien: 40 proc. z I w. oraz 60 proc. z późniejszych czasów (płótno bywało bowiem łatanie na przestrzeni wieków). W 2008 r. badania Raymonda Rogersa potwierdziły obecność włókien bawełnianych i gumy w badanych próbkach, co podważyło rzetelność wyników z 1988 r.

Profesor Giulio Fanti w 2009 r. przeprowadził alternatywne datowanie mechaniczne przy użyciu spektrometrii w podczerwieni, spektrografii ramanowskiej i analizy mechanicznej. Wyniki wskazały, że Całun może pochodzić

Chrystus, zmartwychwstając, okryty całunem, powrócił do życia, do życia na zawsze, dając tym samym życie wieczne swoim wyznawcom

pień naturalnego starzenia się celulozy w próbce Całunu jest zgodny z hipotezą, że tkanina ta może mieć ok. 2 tys. lat, a to stoi w sprzeczności z wcześniejszym datowaniem radiowęglowym z 1988 r. To właśnie w wyniku kilku badań z lat 80.

na całym świecie ponownie rozpropagowano tezę o powstaniu całunu wskutek... średniowiecznego fałszerstwa. Film wyprodukowany na ten temat przez Discovery zaniósł ten pogląd pod strzechy.

Przypomnijmy w olbrzymim skrócie – w 1988 r., za zgodą kard. Anastasia Ballestrera, mikrobiolog Giovanni Riggi pobrał próbkę Całunu Turyńskiego o powierzchni 8 cm kw. Fragmenty tej próbki trafiły do trzech niezależnych laboratoriów: w Zurychu, Oksfordzie oraz Tucson w Arizonie. Każda z nich otrzymała także dodatkowe próbki kontrolne o znanym wieku, aby sprawdzić skuteczność metody.

Po szczegółowym oczyszczeniu próbek zastosowano metodę datowania węgla C14, która wskazała, że Całun powstał między latami 1260 i 1390. Wyniki te jednak od razu wzbudziły kontrowersje. Krytycy wskazywali na możliwe

z szerokiego okresu lat 300 p.n.e. do 400 n.e., co wpisuje się w okres życia Jezusa Chrystusa i radykalnie zaprzecza ustaleniom z 1988 r.

ZDJĘCIA I PYŁKI

Odkryć naukowych pozwalających wierzyć, że płótno pochodzi sprzed 2 tys. lat, w dodatku z regionu, w którym żył i umarł Chrystus, jest znacznie więcej.

Badania nad Całunem Turyńskim rozpoczęto już pod koniec XIX w. Przełomem były fotografie wykonane w 1898 r. przez Seconda Pię, które ujawniły zaskakująco szczegółowy wizerunek mężczyzny widoczny w negatywie. W odpowiedzi na rosnące zainteresowanie w 1902 r. Yves Delage, sceptyczny naukowiec, po przeprowadzeniu badań orzekł, że prawdopodobieństwo, iż Całun nie jest autentyczny, wynosi zaledwie 1 do 10 mld

W 1931 r. Giuseppe Enrie wykonał kolejne zdjęcia, a w 1939 r. na konferencji w Turynie profesorowie Ruggero Romanese i Giovanni Judica Cordiglia niezależnie stwierdzili, że Całun ukazuje wizerunek człowieka poddanego



brutalnej męce, wykluczając możliwość fałszerstwa.

Zgodność wizerunku z ustaleniami współczesnej medycyny pogłębił w pierwszej połowie XX w. prof. Pierre Barbet, który wskazał, że rany po gwoździach znajdują się w nadgarstkach, a nie w dłoniach, co zgadza się z rzeczywistą anatomią i metodą ukrzyżowania – nieznaną w średniowieczu. Przypomnijmy: na obrazach z tego okresu Chrystus zawsze ma przybite do krzyża dłonie, nie nadgarstki.

Szczególnie poruszające mogą wydać się badania Maxa Freia-Sulzera z lat 70., ujawniające na Całunie Turyńskim pyłki 58 gatunków roślin. Spośród nich tylko 17 występuje w Europie, natomiast 41 jest charakterystycznych dla Azji i Afryki. Frei odkrył, że aż 38 z tych 41 gatunków rośnie w Judei.

Izraelski botanik Avinoam Danin potwierdził te wyniki i wskazał obecność pyłków charakterystycznych dla Judei, takich jak czystek kreteński, parolist krzaczasty (kapar) i Gundelia tournefortii – ciernisty krzew kwitnący wiosną. Uwaga – rośliny te nie występują wspólnie nigdzie poza Judeą!

Ilość pyłku ciernistego krzewu znacznie przekracza jego naturalny opad, co interpretowane jest jako wynikające ze złożenia kwiatów tego gatunku na Całunie. Alan Whanger z kolei odkrył jednak, że skoncentrowane pyłki Gundelia tournefortii występują na Całunie wokół głowy widocznego tam mężczyzny, co mogłoby wskazywać na wykorzystanie tej rośliny do wykonania korony cierniowej. Według większości badaczy roślin biblijnych w Piśmie Świętym pod hebrajską nazwą „galgal” kryje się właśnie ta roślina.

MONETY I NAPISY

Badania nad lnianym płótnem Całunu Turyńskiego obejmowały analizę techniki tkackiej i datowanie radiowęglowe. W 2002 r. niemiecka konserwatorka Mechthild Flury-Lemberg odkryła, że spłot tkaniny jest identyczny ze spłotem lnianych całunów z żydowskich grobów w Masadzie, datowanych na lata 40 p.n.e.–73 n.e.

W 2005 r. Raymond Rogers wykazał, że próbka użyta w badaniu z 1988 r. zawierała włókna doszyte później i barwione korzeniem marzany barwierskiej.

Analiza chemiczna wykazała także wysoką zawartość waniliny w próbce, co sugerowało młodszy wiek materiału. Rogers oszacował wiek najstarszych fragmentów Całunu na 1000 r. p.n.e.–700 r. n.e.

W 1979 r. Pietro Ugolotti i Giovanni Tamburelli zauważyli w oczodołach postaci na Całunie ślady monet z czasów cesarza Tyberiusza (29–30 n.e.).

Tego samego roku odkryto też greckie i łacińskie napisy, m.in. „INNECEM” („na śmierć”), „NAZAPE(N)NUS” („Nazareńczyk”) i „IHSOY” („Jezus”). W 2009 r. Barbara Frale zasugerowała, że napisy te mogą stanowić odbicie aktu zgonu Jezusa, dokumentującego Jego śmierć i złożenie w grobie zgodnie z rzymskimi procedurami.

BADANIA KRWI

W latach 1981–1982 lekarz Pierrelugi Baima Bollone zidentyfikował na Całunie grupę krwi AB, często występującą wśród Żydów (ok. 18 proc. populacji). Grupa ta jest równocześnie stosunkowo rzadka w skali globalnej (4–5 proc. populacji), co dodaje temu odkryciu doniosłego znaczenia. Wcześniej pojawiła się hipoteza, że stara krew z czasem zawsze nabiera cech grupy AB, jednak teoria ta została obalona.

Alan Adler i John Heller potwierdzili obecność w plamach na Całunie bilirubiny, co wskazuje na traumatyczne przeżycia ofiary, takie jak bicie i ukrzyżowanie. Obecność bilirubiny jest bowiem istotnym argumentem potwierdzającym, że czerwone plamy na Całunie to właśnie krew osoby w stanie silnego wstrząsu, a nie pigment czy farba – jak sugerowali zwolennicy tezy o fałszerstwie.

Inne analizy ujawniły też obecność nanocząsteczek kreatyniny z ferrytyną, co jest charakterystyczne dla stanu po urazach mięśni szkieletowych – odkrycie to dodatkowo potwierdza, że osoba uwieczniona na Całunie była poddana torturom lub intensywnemu wysiłkowi fizycznemu.

Dalsze badania przeprowadzone w 1978 r. potwierdziły obecność żelaza związanego w hemie na zakrwawionych fragmentach Całunu. Fluorescencja w promieniach rentgenowskich wykazała typowe dla krwi spektrum promieniowania odbitego oraz charakterystyczne



widma transmisyjne w mikrospektrofotometrii. Obecność porfiryryny – pochodnej hemoglobiny – potwierdzono za pomocą fluorescencji w ultrafiolecie. Przeprowadzono również pozytywne testy hemochromagenowe i cyjanometemoglobinowe, które potwierdzają autentyczność krwi.

W testach immunologicznych potwierdzono obecność ludzkiej albuminy, a testy proteazowe wykazały rozkład białek na aminokwasy, co jest zgodne z procesem degradacji starej krwi.

Pomimo licznych dowodów na autentyczność krwi chemik Walter McCrone nadal uparcie twierdził, że czerwone plamy to pigment używany przez artystów w XIV w. Jego hipoteza spotkała się jednak z silną krytyką środowiska naukowego, a syndolodzy podkreślili zgodność wyników testów z cechami prawdziwej krwi.

SKĄD SIĘ WZIĄŁ CAŁUN W TURYNIE?

Wydawać by się mogło, że tak wiele poszlak wskazujących na starożytne pochodzenie płótna powinno uciszyć sceptyków. Skąd więc tak wielka popularność rozslawionej po badaniach z lat 80. tezy o średniowiecznym malarskim fałszerstwie?

Nasuwać ją się od razu odpowiadają jest oczywiście niesłabnąca chryścianofobia – i tego wątku nie należy lekceważyć. Ale prócz niechęci możliwych tego świata do wiary chrześcijańskiej istotny w tej narracji pozostaje jeszcze jeden czynnik. Otóż świat dowiedział się o istnieniu tak często badanego dziś płótna właśnie dopiero pod koniec średniowiecza.



Jedna z pierwszych pozabiblijnych relacji dotyczących płótna pogrzebowego Chrystusa pochodzi z II w. z tzw. Ewangelii Hebrajskich

FOT. ZOFIA BAZAK/EAST NEWS

Pierwsze udokumentowane pojawienie się Całunu na Zachodzie miało miejsce w połowie XIV w. we Francji. Około 1353 r. rycerz Geoffroi de Charny wystawił Całun w kościele de Lirey. W 1453 r. wdowa po jego wnuku przekazała Całun rodzinie książąt sabaudzkich. W 1502 r. Całun został przeniesiony do kaplicy w Chambéry, gdzie przechowywano go w specjalnie do tego celu zbudowanej kaplicy Świętego Całunu. W 1532 r. w kaplicy wybuchł pożar, który uszkodził srebrną skrzynię zawierającą Całun, powodując nadpalenia płótna. Uszkodzenia te zostały naprawione przez siostry klaryski, które dodały łatki w miejscach spalenizny.

W 1578 r. książę Emanuel Filibert przeniósł Całun do Turynu, aby ułatwić pielgrzymkę św. Karola Boromeusza, który chciał oddać cześć relikwii w podziękowaniu za ustąpienie epidemii dżumy w Mediolanie. Od tego czasu Całun jest przechowywany w Turynie. W 1694 r. został umieszczony w specjalnie wybudowanej kaplicy Całunu Turyńskiego, zaprojektowanej przez architekta Guarina Guariniego, przylegającej do katedry św. Jana Chrzciciela. W 1997 r. w kaplicy wybuchł pożar, jednak dzięki szybkiej interwencji strażaków Całun nie uległ zniszczeniu. Obecnie Całun jest przechowywany w katedrze w Turynie, w specjalnej, hermetycznie zamkniętej gablocie zapewniającej odpowiednie warunki klimatyczne i bezpieczeństwo.

Skoro jednak po raz pierwszy Całun pokazano publicznie dużej grupie chrześcijan dopiero 1,3 tys. lat po śmierci Chrystusa – i tylko jego późniejsze losy są dobrze opisane – to naturalne staje

się pytanie, co działo się z tym płótnem przez poprzednie XIII stuleci.

TRZYNAŚCIE TAJEMNICZYCH STULECI

Tutaj skazani jesteście na apokryfy i legendy. Jedna z pierwszych pozabiblijnych relacji dotyczących płótna pogrzebowego Chrystusa pochodzi z II w. z tzw. Ewangelii Hebrajskich. Według niej Jezus miał oddać swoje pogrzebowe płótno św. Piotrowi. Źródła z IV w. wskazują zaś, że płótno miało trafić do ewangelisty Łukasza, a dopiero potem do Piotra.

Wspomina się także, że płótno być może zostało zabrane do Edessy – jednego z pierwszych chrześcijańskich ośrodków na Bliskim Wschodzie. Według tradycji król Abgar V z Edessy, nieuleczalnie chory, miał wystąpić posłańca do Jezusa z prośbą o uzdrowienie. W jednej z wersji tej legendy Jezus przekazał Abgarowi chustę z wizerunkiem swojej twarzy, znaną jako mandylion. Niektórzy badacze, w tym Ian Wilson, sugerują, że mandylion mógł być w rzeczywistości złożonym Całunem Turyńskim ukazującym jedynie twarz Chrystusa.

Tkanina ta miała zostać ukryta w murach Edessy, a w 544 r. cudownie odnaleziona podczas oblężenia miasta przez Persów. Przekazy sugerują, że Mandylion stał się symbolem ochrony miasta, a jego cudowne działanie przypisywano wizerunkowi Chrystusa. W 944 r. Mandylion został przeniesiony do Konstantynopola po oblężeniu Edessy przez wojska bizantyjskie. Relacje z tamtego okresu wspominają, że na tkaninie widoczna była nie tylko twarz, lecz także całe ciało Jezusa. To odkrycie zrodziło teorię, że Mandylion mógł być Całunem Turyńskim złożonym w taki sposób, by eksponować jedynie wizerunek twarzy. Po przeniesieniu do Konstantynopola Mandylion był wystawiany publicznie, a w 1204 r. podczas IV krucjaty zniknął z miasta. Można przypuszczać, że to właśnie wtedy Całun trafił do Francji.

Jedna z teorii głosi, że Całun trafił po zdobyciu Konstantynopola do Aten, gdzie był przechowywany przez księcia Ottona de La Roche. Inna hipoteza wiąże Całun z zakonem templariuszy, którzy mieli przechowywać tkaninę jako relikwię w swojej siedzibie w Paryżu. Po rozwiązaniu zakonu

w 1314 r. Całun miał trafić w ręce rodu de Charny – i tutaj dopiero zaczyna się już udokumentowana i naszkicowana wcześniej historia płótna.

PRZEŚWIETLENIA I PRZEBARWIENIA

Wszystko to jednak brzmi tak enigmatycznie, szczególnie dla sceptyków, że można zrozumieć ich próby poszukiwania tego, co nazywają „logicznym wyjaśnieniem”. Takie miałyby być według nich właśnie malarskie fałszerstwo, dokonane w połowie XIII w. Tym bardziej że taką właśnie datę powstania płótna potwierdzać miały badania z 1988 r.

Jednak i tu zwolennikom tezy o autentyczności Całunu z pomocą przychodzi nauka. W 1978 r. wszechstronne analizy Całunu przeprowadziła amerykańska grupa badawcza STURP. W opublikowanym trzy lata później raporcie stwierdzono, że obraz na płótnie nie zawiera śladów farb ani barwników, a jego struktura wykazuje cechy... trójwymiarowe. Naukowcy nie byli w stanie wyjaśnić sposobu powstania wizerunku, choć zaobserwowali ślady utleniania i odwodnienia włókien, co mogło być skutkiem działania ciepła lub środków chemicznych. Proces ten jednak nie tłumaczył w pełni pochodzenia obrazu.

Co prawda, Walter McCrone, jeden z badaczy z grupy STURP, w 1979 r. ogłosił, że na Całunie odkrył ślady ochry i innych pigmentów, sugerując, że tkanina rzeczywiście została pomalowana ok. 1355 r. Twierdził też, że znalazł ultramarynę, mimo że na Całunie nie występują niebieskie barwy. Wnioski McCrone'a podważali jednak inni eksperci, w tym Mark Anderson i John Heller, którzy wykazali, że ślady te były organiczne, a nie pigmentowe. Podkreślali, że liczba wykrytych substancji była zbyt mała, by można było nimi stworzyć cały obraz.

W 2011 r. włoscy naukowcy z instytutu ENEA po pięciu latach badań wykazali, że obraz na Całunie barwi jedynie powierzchnię warstwę włókien o grubości zaledwie 200 nanometrów. Podkreślili, że taki efekt można uzyskać – uwaga – wyłącznie za pomocą intensywnego promieniowania UV o mocy 34 mld watów! To, rzecz jasna, wyklucza możliwość stworzenia wizerunku za pomocą średniowiecznych technik.



■ Dodatkowo wykryto, że ślady krwi znalazły się na Całunie przed powstaniem obrazu, co wskazuje na autentyczny kontakt z zakrwawionym ciałem.

ŚWIETLISTY WYBUCH... ŻYCIA?

Od lat 30. XX w. badacze sugerowali, że wizerunek na Całunie mógł powstać właśnie na skutek silnego impulsu energetycznego przypominającego błysk. Sugerowano m.in. działanie promieniowania protonowego, rentgenowskiego lub ultrafioletowego. Rosyjski naukowiec Aleksander Bielakow sugerował, że wystarczyłaby bardzo krótka emisja światła. Teorie te zakładały, że źródło promieniowania działało pionowo i było niezwykle intensywne.

W 2002 r. Giulio Fanti jako przyczynę powstania obrazu zaproponował hipotezę wyładowania koronowego. Uważał, że wyładowanie elektrostatyczne mogło spowodować powstanie delikatnej warstwy zabarwienia na powierzchni włókien, podobnie jak obraz na przedniej stronie Całunu. Raymond Rogers skrytykował tę teorię, wskazując, że plazma i wyładowania koronowe pozostawiłyby ślady na włóknach, których na Całunie nie zaobserwowano.

W 2011 r. badacze z ENEA stwierdzili, że obraz na płótnie mógł powstać na skutek silnego promieniowania ultrafioletowego, przyspieszającego proces starzenia się lnu. Oczywiście żadnego sprzętu wytwarzającego takie promieniowanie w średniowieczu nie znano.

Nie znano go także w starożytności. I tutaj, jeszcze bardziej dosadnie, ustalenia naukowe przygotowują nam miejsce na wiarę. Otóż czy Jezus Chrystus, Bóg Żywy, który wskrzeszał umarłych, przemieniał wodę w wino i jednym ruchem ręki odejmował śmiertelne choroby, nie mógłby 2 tys. lat temu w ciemnym grobie użyć czegoś, co dziś nazwalibyśmy właśnie „silnym promieniowaniem”?

Tym bardziej że wiemy już – znów dzięki naukowym odkryciom – iż w momencie powstania życia ludzkiego, kiedy plemnik łączy się z komórką jajową, dochodzi do gwałtownego uwolnienia jonów cynku z powierzchni komórki jajowej, a zjawisko to jest dosłownie widzialne pod mikroskopem jako... błysk fluorescencyjnego światła. A przecież Chrystus, zmartwychwstając, okryty

całunem, dokonał rzeczy nieporównywalnie większej niż „zwyčajne” powstanie życia. On powrócił do życia, do życia na zawsze, dając tym samym aktem życie wieczne swoim wyznawcom. Jak wielki musiałby to być błysk „fluorescencyjnego światła”?!

ROZBŁYSK GIBSONA I EMMERICH

Taką mniej więcej sceną błysku kończy się film „Pasja” Mela Gibsona z 2004 r. Pamiętają państwo: kamera powoli przesuwa się po zimnej, kamiennej ścianie grobu, a widz stopniowo dostrzega owijające ciało Jezusa lniane płótna. W pewnym momencie ciemność zaczyna się rozjaśniać — delikatne światło przebija się przez zakamarki groty, jakby słońce wstawało po długiej nocy. To światło nie jest zwyčajne – wydaje się pulsować, niemal jakby „rosło” na oczach widza. W kulminacyjnym momencie światło nagle staje się niezwykle jasne – niemal eksploduje jasnością, która wypełnia cały ekran.

Gibson inspirację do swego najpiękniejszego filmu czerpał m.in. z objawień Anny Katarzyny Emmerich, XIX-wiecznej niemieckiej mistyczki. Było jej dane widzieć całe życie Chrystusa – nie tylko moment zmartwychwstania. Również Mękę Pańską.

W swoich wizjach Emmerich opisywała niezwykle brutalne biczowanie Chrystusa, które miało obejmować niemal całe ciało. Mistyczka wspominała, że oprawcy używali biczów zakończonych metalowymi kulkami lub ostrymi haczykami, co powodowało liczne rany, głębokie rozcięcia i siniaki. Na Całunie Turyńskim rzeczywiście widoczne są podobne urazy, rozmieszczone w sposób sugerujący, że Chrystus był biczowany przez dwóch oprawców stojących po przeciwnych stronach.

Emmerich opisywała także liczne rany na kolanach oraz plecach wynikające z upadków podczas drogi na Golgotę. Tego typu urazy są widoczne na Całunie, gdzie dostrzegalne są ślady silnych otarć i zasinień w tych rejonach ciała.

Kolejna zadziwiająca zgodność dotyczy miejsc przybicia do krzyża. Emmerich wskazywała, że gwoździe nie przebijały dłoni – jak często bywa to przedstawiane w sztuce religijnej – lecz nadgarstki. Takie przybicie zapewniało lepszą stabilność ciała na krzyżu. Na

Całunie widać właśnie rany w okolicach nadgarstków, co potwierdza relację mistyczki.

Anna Katarzyna Emmerich nie znała opisów Całunu. Doznawała swych wizji w latach 1819–1824, a więc na długie kilkadziesiąt lat przed naukowymi odkryciami niezwykłych właściwości płótna z Turyngu...

KTO I CO CHCE NAM POWIEDZIEĆ?

Na koniec pozwolę sobie wtrącić pewną hipotezę. Każdego katolika, który kiedykolwiek spotkał się z informacjami na temat całunu, dziś tak precyzyjnie przebadanego, z całą pewnością zastanawia, jak to możliwe, że Bóg dopuścił do tego, by przez kilkanaście stuleci relikwia pozostawała kompletnie nieznaną światu.

Zastanawiam się, czy nie mogłoby być tak dlatego, że w czasie, gdy Całun pozostawał ukryty, wiara w Boga, w Jezusa Chrystusa pozostawała dla całych społeczeństw czymś zgoła oczywistym. XIV w., gdzie datujemy początki pewności co do losów płótna, był również okresem istotnych przemian intelektualnych i kulturalnych, które stworzyły fundamenty pod przyszły rozwój nauki w epoce renesansu. Następował gwałtowny rozwój uniwersytetów, w filozofii pojawił się nominalizm i humanizm, skierowano również dużą uwagę na nauki przyrodnicze. I to właśnie wtedy, w okresie, który moglibyśmy określić jako początek wielkiego zwątpienia w Boga, po raz pierwszy na szeroką skalę pojawia się wyciągnięte ze skarbów coś, co można nazwać... dowodem naukowym.

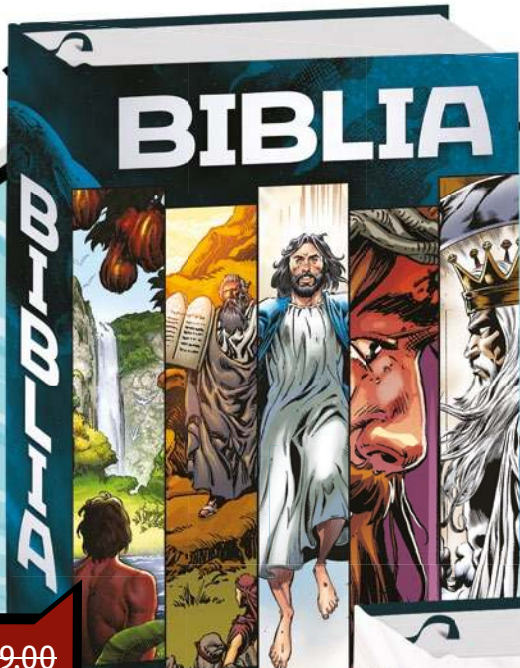
A siedem stuleci później, w naszych czasach, w których wiarę w Chrystusa i Jego zmartwychwstanie powszechnie zastępuje „światopogląd naukowy”, Całun ów pozostaje niepozwalającą się wyjaśnić, niedającą spokoju zagadką. Również, a może szczególnie dla tych, którzy w opowieści o Wielkiej Nocy dawno przestali już wierzyć.

Ale każdego, nawet ich, szczególnie w tych dniach, mężczyzna z Całunu zdaje się znów stawiać przed koniecznością odpowiedzi na pytanie: „A wy, za kogo Mnie uważacie?”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorem jest redaktorem naczelnym PCHh4.pl.

READ A ~~BOOK~~ BÓG

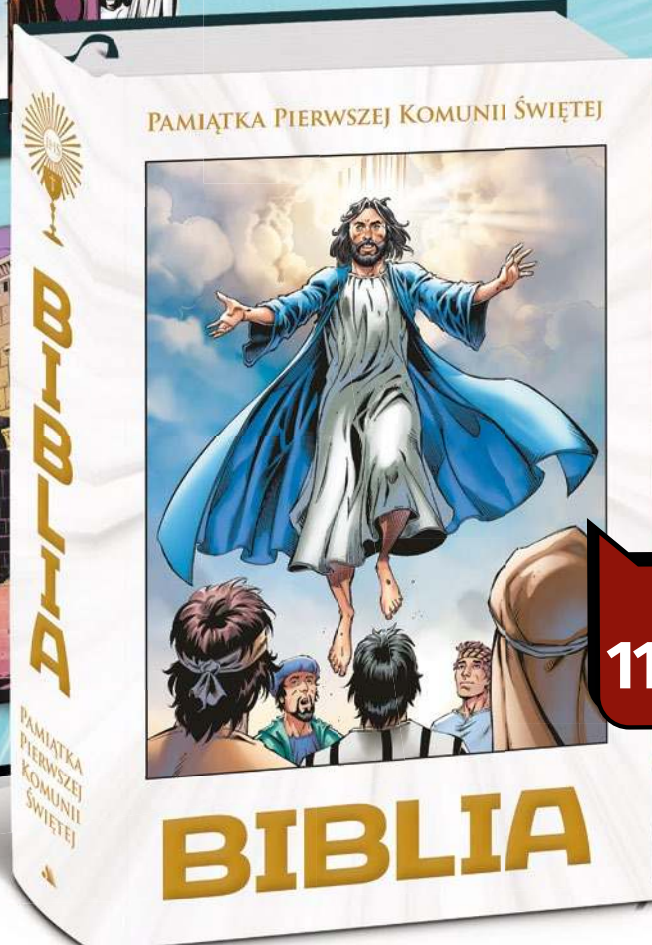


149,00

99,00

BIBLIA W KOMIKSIE

DZIEŁO WYBITNYCH AUTORÓW TWORZĄCYCH
DLA MARVEL I DC COMICS!



169,00

119,00

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ!



Zamów na:
www.religijna.pl

lub zadzwoń:
12 345 42 00



Piotr Semka

Uzyskanie reputacji szarej eminencji budzi zazdrość, a niekiedy ułatwia realizowanie osobistych zamierzeń, ale na dłuższą metę blokuje drogę do awansu we własnej partii. Niby wszyscy to wiedzą, ale chętnych do tego typu kariery nie brakuje. Przyjrzyjmy się szarym eminencjom polskiej polityki

Nie ma na świecie politycznej sceny bez tego fenomenu. Jak pod tym względem wygląda polska polityka? Czy szare eminencje są wpływowe czy też niekiedy tylko udają swoją wszechmoc? Weźmy pod lupę nasze obozy polityczne i spróbujmy określić, kogo obdarza się sławą politycznego machera. Kto starannie ukrywa swoją polityczną sprawczość? A kto aspiruje do tej roli, ale nie odnosi sukcesów?

WSZECHMOCNI, ALE ZNIENAWIDZENI

Wszystko się wzięło od popielatego koloru habitu członków zakonu kapucynów. Jeden z zakonników tego zgromadzenia, o. François Joseph Le Clerc du Tremblay (1577–1638) przez wiele lat pełnił funkcję najbliższego doradcy i politycznego stratega wszechmocnego kard. Richelieu. To od koloru jego habitu nazwano go „szarą eminencją”. Jego polityczne znaczenie zdumiewało ówczesnych dziejopisów, którzy wskazywali, że utalentowany mnich równoległe do rozgrywania politycznych szachów pisywał poematy i był autorem dzieł religijnych.

I właśnie ten rys przedziwnej wszechstronności pozostaje do dziś bardzo częstym znakiem firmowym osób, które uchodzą za szare eminencje. To ludzie, którzy mają w określonych, specyficznych dziedzinach oszałamiającą wyobraźnię i praktycyzm, a jednocześnie



W krainie szarych eminencji

W śródożyłku PO przebojem pojawiła się nowa gwiazda w postaci Agnieszki Rucińskiej. Ta niegdysiejsza dziennikarka Polskiego Radia odeszła z PR1 w styczniu 2017 r., by zostać szefem biura prasowego partii

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER



z jakichś powodów wolą stać na dalszym planie, zazwyczaj służąc silniejszym od siebie.

W polskiej polityce po 1989 r. znani byli tacy polityczni mocarze. Przypomnijmy choćby wszechmocnego doradcę Wałęsy jako lidera ruchu Solidarności – prof. Bronisława Geremka. Geremek zresztą jest ciekawym potwierdzeniem tego, że szare eminencje zazwyczaj nie dochodzą do samego szczytu polityki. Mimo że był niezwykle wpływowym doradcą Wałęsy, to ani nie został pierwszym solidarnościowym premierem, ani długo nie udało mu się przewodzić Unii Wolności. Gdy wreszcie objął kierownictwo swej macierzystej partii, to tylko po to, aby obejrzeć jej smętny koniec.

Bo szare eminencje słono płacą za swój status. Skuteczni w kuluarach polityki ściągają na siebie żywiołową niechęć mas partyjnych, które widzą w nich czynnik manipulacji. Niekiedy kariera szarej eminencji kończy się i zaczyna w tym samym czasie, co kariera jego „politycznego pana”. Tak było z Mieczysławem Wachowskim – klasyczną szarą eminencją pierwszej połowy lat 90., która utrzymywała się na stanowiskach ministerialnych w Kancelarii Prezydenta tylko w czasie kadencji Wałęsy. Wachowski nie doczekał nawet końca kadencji, gdyż Wałęsa „zwodował” go na trzy miesiące przed wyborami w 1995 r. Uznał, że słynny „Mieciu” zbyt go kompromituje.

W polskiej polityce lat 80. i 90. odnotować też trzeba specyficzny fenomen hierarchów kościelnych, którzy mieli opinię szarych eminencji polskiej polityki. Taki status wielu publicystów przypisywało wprawdzie arcybiskupowi gdańskiemu Tadeuszowi Gocłowskiemu (1931–2016), a potem apb. Sławojowi Leszkowi Głódziowi. I wreszcie o. Tadeuszowi Rydzyskiemu. Status kościelnej szarej eminencji przypisywano też do niedawna metropolicie warszawskiemu abp. Kazimierzowi Nyczowi, który według wielu opowieści miał załatwiać wiele delikatnych misji dla polskiego Kościoła z racji swych dobrych stosunków z politykami Platformy Obywatelskiej.

Warto też zaznaczyć, że bywają różne typy szarych eminencji. Pierwszy typ

to rodzaj wpływowego doradcy, który zazwyczaj ma stały dostęp do ucha politycznego lidera. Cieszy się swoją pozycją za cenę rygorystycznego trzymania się w cieniu i unikania np. wywiadów dla mediów. Bardzo często taki typ szarej eminencji używany jest do zakulisowych negocjacji, co także wymaga stuprocentowej dyskrecji. Ale obok tego jest też szara eminencja – wizjoner. Owszem, potrafi doradzać swoim politycznym protektorom sposoby prowadzenia polityki lub wychodzenia z kryzysów, ale jednocześnie lubi pojawiać się w mediach, gdzie umiejętnie kolportuje swoje wizje. Osobników takich można poznać po tym, że pytani o swoje wpływy zamieniają wszystko w żart lub ironizując prześmiewczo, sprowadzają swoje domniemane zdolności perswazyjne do absurdu.

Szare eminencje to osoby, które dostrzegają pewne procesy polityczne szybciej i wyraźniej i bez trudu potrafią wymyślać plany ratunkowe dla swoich politycznych patronów. Jak już wspominałem, płacą za to bardzo często blokowaniem ich ewentualnych awansów ze strony tych, którym niczego nie doradzają, a których irytuje ich wpływowość. Zdarza się też zresztą, że niekiedy szare eminencje wpadają w pułapkę swej legendy. Szczególnie w wypadku kłęski obwiniani są o to, że fatalnie doradzili przywódcy, a ich zaklinanie się, że akurat w tym wypadku niczego takiego nie doradzali, jest szyderczo odrzucane, zazwyczaj na fali ogólnej niechęci do ich wszechmocności.

WPŁYWOWI W KOALICJI 13 GRUDNIA

Donald Tusk ma swój ścisły krąg najbliższych doradców, a jednocześnie wykonawców swoich pomysłów. Trudno określić, w jakim stopniu są to wizjonerzy, a w jakim stopniu realizatorzy rozmaitych operacji. Dobrym przykładem takiego wiernego paladyna jest Paweł Graś – szef gabinetu politycznego obecnego prezesa Rady Ministrów. U boku Tuska usytuował się w 2007 r. i miejsca swego pilnuje bardzo czujnie i skutecznie. Przypomina nieco Mieczysława Wachowskiego z epoki Wałęsy.

Doradcą do kwestii politycznej taktyki i PR jest Igor Ostachowicz, który także jest u boku Tuska od prawie 20 lat. W tym

środoisku przebojem pojawiła się nowa gwiazda w postaci Agnieszki Rucińskiej, tyle że to już jest nabytek koalicji 13 grudnia. Ta niegdysiejsza dziennikarka programu pierwszego Polskiego Radia i korespondentka sejmowa odeszła z PR1 w styczniu 2017 r., by zostać szefem biura prasowego partii. Dziś w randze podsekretarza stanu w kancelarii premiera nie odstępuje Tuka. Niekiedy nawet demonstruje swoją daleko posuniętą wierność wobec swego pryncypała. W czerwcu zeszłego roku, gdy dziennikarz Telewizji Republika zadał Tuskowi kłopotliwe pytanie dotyczące żołnierza postrzelonego na granicy, Rucińska wybuchła furją i dosadnie obrugła utożsamianego z opozycją żurnalistę. „Będziesz siedział w piekle za to, wiesz?” – wykrzyczała wyraźnie wzburzona.

Ostatnio w kręgach rządowych mówi się o powrocie do otoczenia Tuska jednego z najstarszych współpracowników lidera Platformy. Chodzi o Jana Krzysztofa Bieleckiego, premiera z 1991 r., który pojawia się w otoczeniu Tuska, gdy potrzebne są porady ekonomiczne lub kadrowe. Powrót JKB – jak nazywany jest niekiedy w kręgach platformerskich – kojarzony jest ze słabą pozycją obecnego ministra finansów Andrzeja Domańskiego, który ponoć rozczarowuje Tuska swoim przeciętnym formatem intelektualno-politycznym.

Swoistą szarą eminencją jest oczywiście Roman Giertych, który według licznych plotek z wnętrza Platformy sufluje Tuskowi działania prawne przeciwko politykom PiS. I wreszcie – jeśli uznać inne pogłoski – ważną rolę w mobilizowaniu Tuska do polityki „demokracji walczącej” odgrywa Bartłomiej Sienkiewicz, który choć został wysłany do europarlamentu, to potrafi żywo reagować na kolejne epizody wojny politycznej z PiS i podsuwać liderowi PO swoje pomysły na anihilację głównej partii opozycyjnej.

Partie sojusznicze także mają osobowości utożsamiane ze statusem szarej eminencji. Michał Kamiński uważany jest za wpływowego doradcę lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza. Popularny w kręgach dziennikarzy „Miś” należy do tych szarych eminencji, które lubią pojawiać się w studiach radiowych lub udzielać wywiadów. Kamiński lubi wchodzić w pozę koalicyjnego nonkonformisty



■ i pozwala sobie na pewien margines krytykowania Tuska i Platformy. Ale robi to zawsze w ramach ściśle określonej etykiety i zawsze wie, gdzie zatrzymać się w swoich słabiutkich zresztą kpinkach z PO. Zdarza mu się też dawać do zrozumienia, że ocierał się o ważne ustalenia, np. niedawno w rozmowie z Krzysztofem Ziembcem przyznał się en passant do bycia głównym negocjatorem paktu PSL z Szymonem Hołownią. O wiele bardziej swobodny jest w snuciu efektownych teorii na temat obozu PiS. Ostatnio podzielił się opinią, że Tomasz Sakiewicz walczy na śmierć i życie o wpływy na dworze Jarosława Kaczyńskiego z Mateuszem Morawieckim.

W Polsce 2050 status szarej eminencji u boku Szymona Hołowni miał bardzo długo Michał Kobosko, były redaktor naczelny magazynu „Forbes”. Według politycznej plotki to on miał być głównym doradcą Hołowni w kontaktach z wieloma biznesowymi gigantami. Jednak ostatnio jest mniej widoczny, gdyż zwieńczył swoją polityczną karierę atrakcyjnym finansowo stanowiskiem eurodeputowanego w Brukseli.

W wypadku Nowej Lewicy – jak głosi sejmowa plotka – szare eminencje są jednocześnie towarzyszami życia liderów. W wypadku Roberta Biedronia jego najlepszym doradcą jest jego partner Krzysztof Śmiszek, a w wypadku Włodzimierza Czarzastego dostęp do ucha lidera Lewicy ma ponoć blisko z nim związana Anna Maria Żukowska.

Jeśli to prawda, to jest to bardzo specyficzny model bycia szarą eminencją, ale emocjonalnie rozumiały.

SZARZY PO PRAWĘJ STRONIE

W wypadku Jarosława Kaczyńskiego wieloletnią szarą eminencją i doradcą był Ludwik Dorn. Ten solidarnościowy socjolog był współautorem wielu najlepszych i najinteligentniejszych posunięć Kaczyńskiego jako lidera Porozumienia Centrum, a potem współlidera (wraz z bratem) partii Prawo i Sprawiedliwość.

Ten doskonale działający duet lider i jego doradca wyczerpał swoją formułę dopiero wraz z prezydenturą Lecha Kaczyńskiego. Obaj bracia najważniejsze sprawy zaczęli omawiać w cztery oczy, podczas gdy Dorn coraz częściej pozostawał na korytarzu. Urażony w miłości

własnej polityk zerwał z braćmi Kaczyńskimi. Z czasem zamienił się w ich śmiertelnego wroga, co z kolei uczyniło go popularnym na łamach mediów wojujących z Kaczyńskimi. W 2010 r. zasłynął powiedzeniem na temat PiS: „Ta czaszka już się nie uśmiechnie”. Po tej dość posępnej przepowiedni Ludwik Dorn miał okazję być świadkiem, jak PiS dwukrotnie wygrywa wybory prezydenckie i dwukrotnie triumfuje w wyborach do Sejmu. Antypatii do lidera PiS z Nowogrodzkiej nie wyzbył się aż do śmierci w 2022 r.

Inna osobą uważaną za szarą eminencję w otoczeniu Kaczyńskiego był Adam Lipiński, w opinii wielu jeden z niewielu doradców, z którego zdaniem Kaczyński nie dyskutował. Dziś Lipiński znaczy znacznie mniej, jako członek rady Narodowego Banku Polskiego oczekuje do kresu swej kariery.

Jeśli spojrzeć na aktualny stan wpływów, to można zaryzykować twierdzenie, że trzech najbliższych doradców stratega z Nowogrodzkiej stanowi plejada Mariusz Błaszczak, Adam Bielan i aktualnie, z racji swej funkcji szefa sztabu Karola Nawrockiego, Paweł Szefernaker. Adam Bielan to już od ponad dwóch dekad, wraz z Ryszardem Czarneckim, główny negocjator PiS w kontaktach zagranicznych. Ryszard Czarnecki pytany o swój status szarej eminencji odpowiada enigmatycznie: „No cóż, siwy strzelca strój. Często bywam na pierwszej linii frontu, aby przyczynić się do zwycięstwa. Nie każdy może być pułkownikiem czy generałem, ale czasami decyduje szara piechota”.

Ze starego zaciągu najbliższych współpracowników Kaczyńskiego z początku lat 90. swój status doradcy w szeroko rozumianym obozie PiS zachował 79-letni Józef Orzeł. W różnych okresach doradzał on Mateuszowi Morawieckiemu czy potem Przemysławowi Czarnekowi. Jednak według wielu opinii nie dotyczy to już Jarosława Kaczyńskiego. Jak relacjonują wpływowi politycy PiS, „Jarek przestał już słuchać Józka i nie tęskni za jego diagnozami”. A jeszcze niektórzy dodają do tego: „I chyba nie robi zbyt dobrze, odsuwając od siebie kogoś z innym punktem widzenia”.

W obozie Konfederacji szaroeminencyjny kostium świetnie leży na Przemysławie

Wiplerze. Ten prawnik z licznymi znajomościami biznesowymi uznawany jest za jednego z ojców niedawnej fali wznoszącej Sławomira Mentzena. Ale – jak to bywa w wypadku szarych eminencji – za swoją wpływowość musi płacić. Wipler jest prawdziwą płachtą na byka dla polityków ruchu narodowego z Krzysztofem Bosakiem na czele. Według licznych opinii to oni mieli storpedować pomysł Mentzena, aby Wipler został szefem klubu parlamentarnego Konfederacji. Obecnie szefem klubu konfederatów jest Grzegorz Płaczek, który pełni tę funkcję od 10 stycznia 2025 r., zastępując Stanisława Tyszkę, który przeniósł się do Parlamentu Europejskiego. Wipler to typ szarej eminencji, która lubi brylować w mediach. Zdaniem wielu obserwatorów popełnia spory błąd, mając słabość do wywiadów w telewizji i radiu. Jeden z krytycznych wobec niego konfederatów wskazuje: „Polityczny cynizm w czasie jego tyrad w studiach dziennikarzy politycznych aż paruje uszami. Poza tym nie mamy pewności, kiedy występując z pewnymi pomysłami, działa w imieniu całej partii, a kiedy po to, aby zadowolić wielu swoich znajomych z kręgów biznesowych”.

Ten przegląd szarych eminencji w różnych obozach politycznych skłania do jednego szerszego wniosku. Uzyskanie takiej reputacji budzi zazdrość, a niekiedy ułatwia realizowanie osobistych zamierzeń, ale na dłuższą metę blokuje drogę do awansu we własnej partii. Polityczni mentorzy doceniają znaczenie takich superdoradców, ale bardzo często wydają się niepokoić ich ewentualnym awansem, czy dana szara eminencja nie zbiera zbyt dużo delikatnej wiedzy o swoich pryncypałach. Jak każda efektowna kariera status szarej eminencji niesie w sobie efekt niepokoju u tych, którzy powinni być takim osobom wdzięczni za ich doradztwo. A ewentualne zerwanie z dawnym cicerone odbywa się zazwyczaj gwałtownie i bardzo brutalnie.

Niby wszyscy to wiedzą, ale czas pokazuje, że chętnych do takiej szarej kariery wciąż nie brakuje. Świadomość uczestniczenia z głosem doradczym w najważniejszych politycznych rozgrywkach wciąż ponoć tak samo jak hazard czy narkotyki.



Z Józefem Orłem,
filozofem i ekonomistą,
założycielem Klubu Ronina
rozmawia Karol Gac

Trzaskowskiego może spotkać niemiła niespodzianka

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

KAROL GAC: Jak pan ocenia dotychczasową kampanię wyborczą? Są w niej jakieś wyraźne osie?

JÓZEF ORZEŁ: Jest kilka najważniejszych spraw i osi, ale nie układają się one jednoznacznie po jednej czy drugiej stronie sporu politycznego. W sprawach wewnętrznych to m.in. codzienna inflacja czy szkodliwe rządy Donalda Tuska, które nie budują dobrobytu i gospodarki. Tu jednak nie ma widocznej polaryzacji. Nie ma też jej w sprawach bezpieczeństwa i geopolityki. Mamy również brak jasności, w którym kierunku pójdzie Donald Trump, choć jednocześnie trudno będzie wpychać Tuska w jedną ze stron. Krótko mówiąc, te wybory nie dadzą się ułożyć według jednego, głównego programu, który by Polaków podzielił na

dwa obozy. Wydaje mi się również, że PiS nie umie postawić jasno dwóch-trzech priorytetów, które by zero-jedynkowo dzieliły Nawrockiego i Trzaskowskiego, takich jak wpuszczanie nam migrantów przez Niemców na zachodniej granicy za zgodą polskiego rządu i podpisanie przez ten rząd w grudniu 2023 r. paktu migracyjnego, który będzie nas obowiązywał do przyjmowania migrantów wbrew zapowiedziom Donalda Tuska.

Podczas naszej ostatniej rozmowy powiedział pan, że „może się okazać, iż Karol Nawrocki to nie jest zła kandydatura, jeśli z jego CV nie wypadnie jakiś nowy »trup« i będzie gryzł trawę”. Do pierwszej tury wyborów nieco ponad miesiąc. Jak pan ocenia dotychczasową kampanię Nawrockiego oraz jego szanse?

Chyba nie okazał się najlepszym kandydatem, na którego PiS mógł postawić. Nie jest w stanie dotrzeć do poziomu poparcia PiS, a przy okazji samej partii spadają sondaże. Pytanie więc, czy nie mamy tu negatywnego związku przyczynowo-skutkowego. A przecież żadne poważne „trup” z szafy nie wypadły, co najwyżej małe szkieleciki. Wydaje się, że niecały elektorat PiS zobaczył w Karolu Nawrockim swojego bohatera, choć na jego spotkania przychodzi bardzo dużo ludzi. Trzeba jednak zauważyć dwa ważne czynniki. Po pierwsze, jak słyca z terenu, duża część aktywu PiS nie jest aktywna w tej kampanii, choć to akurat wiemy od dawna. Po drugie, pojawia się pytanie, czy te badania odpowiadają rzeczywistości poparcia czy nie jest



■ tak, że „pompowany” jest Sławomir Mentzen, a dołowany jest Karol Nawrocki. Ale jeśli to prawda, to będą to najwyżej 3–4 punkty procentowe, a więc nie oznacza to wielkiej zmiany.

Ważniejsza jest jednak druga tura.

To prawda. Myślę, że mobilizacja, której jesteście ostatnio świadkami, choćby ze strony kierownictwa PiS, spowoduje, że stali wyborcy tej partii zgłoszą 18 maja na Nawrockiego. Tym samym utrzyma on swoją przewagę nad Mentzenem i wejdzie do drugiej tury. Wówczas sytuacja zmieni się radykalnie, bo Rafał Trzaskowski nie może liczyć na zbyt duży przepływ elektoratu innych kandydatów koalicji rządzącej, bo mają oni niskie poparcie. Według sondaży koalicja rządząca ma teraz mniej niż PiS z Konfederacją. Pytanie więc, jak się zachowają wyborcy Sławomira Mentzena. Pojawiło się badanie, że ok. 80 proc. wyborców PiS oraz Konfederacji deklaruje, że jeśli ich kandydat nie wejdzie do drugiej tury, to będą głosowali na tego drugiego. Z innych badań wynikało, że będzie to ok. 50 proc. Niezależnie od tego, to spora szansa dla Nawrockiego.

W grudniu mówił pan też, że „Nawrocki, szukając nowego elektoratu, mimochodem może pociągnąć PiS za sobą”. Tymczasem, według średnich sondażowych, ma poparcie niższe niż PiS, o czym pan wspomina. Z czego to wynika?

Nie szuka. Karol Nawrocki wciąż prowadzi narrację przeznaczoną tylko dla twardego elektoratu PiS, nie idzie w kierunku wyborców niezdecydowanych. Mamy też dysonans poznawczy pomiędzy obserwacją spotkań gromadzących wielu ludzi a słabymi notowaniami w sondażach. Jaka jest prawda? Przekonamy się niestety dopiero 18 maja i ewentualnie 1 czerwca. Jeśli nawet pan Mentzen rzeczywiście miałby być „pompowany”, to mimo wszystko zastanawia różnica między notowaniami pana Nawrockiego a PiS. Ona jest wytłumaczalna tylko tak, że elektorat PiS do końca nie uznał Nawrockiego za swojego kandydata.

Pomimo wsparcia przez prezesa PiS?

Od początku było jasne, że Nawrocki jest kandydatem PiS i nie mogło być tu żadnych wątpliwości. Mogło się jednak

narodzić przekonanie u części elektoratu, że lepszy byłby ktoś ze znanych liderów PiS. Sam też tak myślałem, ale zapadła inna decyzja. Myślę, że mimo wszystko Karol Nawrocki będzie miał wyższe poparcie w pierwszej turze niż w tych sondażach.

A może jest też tak, że jakaś część elektoratu PiS traktuje pierwszą turę jako możliwość pokazania partii swojego ewentualnego niezadowolenia?

Może tak być. Problemem jest to, że w Polsce nie istnieją poważna debata publiczna ani poważne badania opinii. W związku z tym nie wiemy, jaka część wyborców PiS ma żal do kierownictwa PiS, że nie rozliczyło się ono z wyniku wyborów w 2023 r. Jarosław Kaczyński ogłosił, że może i jakieś błędy były, ale on bierze wszystko na siebie. Tylko że w ten sposób wszystko pozostało po staremu, PiS nie zmienił kierunku swojej polityki

Jeśli Karol Nawrocki awansuje do drugiej tury, wówczas stanie się bardziej umiarkowany. To sprawi, że jego przeciwnikom będzie go trudniej atakować

i programu, nie odsunął osób odpowiedzialnych za błędy, demoralizację i łamanie prawa. Nie widać tego również w narracji Karola Nawrockiego, a mógł o tym mówić jako nominalnie kandydat niezależny, obywatelski. Taka debata, przynajmniej po stronie prawicowej, się nie odbyła. W związku z tym nie wiemy, jaka część elektoratu ma pretensje do PiS, i dlatego nie demonstruje poparcia dla Nawrockiego, ale pewnie je pokaże przy urnach wyborczych, zwłaszcza w drugiej turze, a wtedy frekwencja zawsze jest wyższa. Mamy wtedy jasny wybór – albo jeden z kandydatów, albo drugi.

A jak pan odbiera notowania Sławomira Mentzena? Ma stosunkowo wysokie poparcie i trend wzrostowy. Spodziewał się pan takiego scenariusza?

Zauważmy, że do góry idą zarówno Sławomir Mentzen, jak i Konfederacja, czyli odwrotnie niż w PiS. Moim zdaniem

wynika to z dwóch czynników. Po pierwsze, że elektorat prawicowy w Polsce robi się bardziej liczny niż lewicowy. To pewna niespodzianka, bo na ogół rząd po pierwszym roku dostaje wyższe notowania. Być może wpływ na to miały niedotrzymywanie obietnic przez rząd Tuska i zwycięstwo Donalda Trumpa w USA. Ponadto część społeczeństwa ma dosyć supremacji PO – PiS, czyli wojny między tymi ugrupowaniami. Jeśli one walczą ze sobą, nie zważając na nic, a tym bardziej na otoczenie międzynarodowe „w czasie przedwojennym”, to część elektoratu szuka trzeciej oferty. Odpowiedział na nią Sławomir Mentzen, który w kwestiach bezpieczeństwa i geopolitycznych wypowiada się pod większość wyborców. W dodatku jego kampania jest sprawnie prowadzona pod względem organizacyjnym, finansowym i technologicznym.

Spójrzmy zatem na Rafała Trzaskowskiego, który jest liderem sondaży. Czy kandydat Koalicji Obywatelskiej może mieć realny problem w drugiej turze? Pytam w kontekście potencjalnego przepływu wyborców. Wydaje się, że tu Trzaskowski ma ograniczone możliwości.

Nie jestem przekonany, że Rafał Trzaskowski wygra, ponieważ nie ma szans na spore przepływy głosów w drugiej turze, bo nie ma skąd ich wziąć. Rozczarowani wyborcy innych lewicowych kandydatów niekoniecznie muszą dać się namówić na głosowanie na Trzaskowskiego. I jest ich za mało.

A tradycyjny straszak w postaci Jarosława Kaczyńskiego i PiS?

To zależy, co wydarzy się po pierwszej turze. Moim zdaniem znikną z wieców i ekranów Jarosław Kaczyński i inni liderzy PiS, sam Karol Nawrocki zaś będzie bardziej umiarkowany. To sprawi, że drugiej stronie będzie go trudniej atakować. Oczywiście ta narracja się pojawi, ale mocniejsza będzie narracja o trzaskowym Tusku lub tuskowym Trzaskowie, czyli Berlinie i Brukseli. Kluczem jest to, czy elektorat Konfederacji będzie namawiany przez Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka, by zgłosił na Karola Nawrockiego... I czy da się namówić. Bosak mówił kilkukrotnie, że chce, by w drugiej turze wygrał dowolny kandydat, byle nie Trzaskowski. Mentzen też to raz powtórzył. Ale to nie znaczy,



że wezwą swój elektorat, by gremialnie oddał głos na Nawrockiego. Jeśli to zrobią, to Trzaskowskiego spotka niemiła niespodzianka.

Czy w takim przypadku może nas czekać jakiś rodzaj wariantu rumuńskiego czy rząd się jednak na to nie odważy?

Na miejscu PiS głośno bym mówił, że ten wariant Georgescu–Le Pen może objąć Polskę, a uratować demokrację w Polsce może tylko bardzo wyraźna wygrana Karola Nawrockiego, tak jak Donalda Trumpa w USA. Gdyby Trump wygrał tam nieznacznie, to nie wiadomo, jak potoczyłaby się sytuacja. Pytanie, czy jakiegokolwiek demokratyczne zasady obowiązują jeszcze w Polsce. Odebranie pieniędzy PiS było najwyraźniej przegrówką do tego, co może się wydarzyć, a także pokazaniem modelu postępowania. Punktem wspólnym tego, co się stało w Rumunii i we Francji i co się może zdarzyć w Polsce, jest postawa sądów, które orzekają przeciw prawicy, by ją wyeliminować z procesu wyborczego. Pytanie ogólne brzmi, czy establishment euro-

pejski zdecydował, że nie odda władzy, i czy to obejmie Polskę. Zwłaszcza że nie wiadomo, jaka może być reakcja naszego społeczeństwa. I czy będzie i jaka reakcja ekipy Trumpa.

Załóżmy, że Nawrocki jednak przegra z Trzaskowskim. Co czeka PiS? Wewnętrzna walka? Podważanie przywództwa Jarosława Kaczyńskiego? Czy raczej syndrom obłożonej twierdzy i zwanie szeregow?

Jeśli Karol Nawrocki nie dostanie się do drugiej tury, to nastąpią w PiS mocne ruchy odśrodkowe i podważanie przywództwa kierownictwa, a może nawet rozpad PiS. Jeśli jednak Nawrocki będzie w drugiej turze i dostanie wynik nie gorszy niż 48 proc., to PiS utrzyma spójność, aczkolwiek już teraz są w nim grupy, które prowadzą oddzielną politykę.

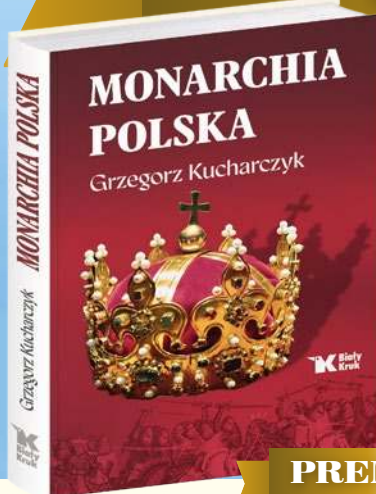
Na koniec pytanie o koalicję rządzącą. Donald Tusk konsumuje koalicjantów? Spada im poparcie tak, że gdyby były już wybory parlamentarne, Tusk przestałby rządzić. Tymczasem 25 maja urządza marsz „prodemokratycznych sił”, stawiając koalicjantów niejako pod ścianą.

Jeśli pójdą na ten marsz, to będzie widać, że są przystawką dla Tuska, jeśli nie pójdą – nie będzie ich widać w ogóle. Logika rozwoju sytuacji politycznej w Polsce powoduje, że Donald Tusk nie chce i nie warto mu ratować swoich koalicjantów. Przy takiej dominacji premiera, który narzucił swoje przywództwo, w dodatku puste programowo, ich zanikanie będzie postępować. W wyborach parlamentarnych Szymon Hołownia i Lewica albo będą w okolicach progu wyborczego, albo wejdą na listy Koalicji Obywatelskiej, co Tusk proponował już przed wyborami w 2023 r., płacąc za to cenę samolikwidacji. Lewica nie ma żadnego wyboru. Może sobie pokrzytkować koalicję, ale nie jest dla niej alternatywą. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku PSL, który nie musi się obawiać, że nie wejdzie do parlamentu, bo zawsze się mu to udaje. Zobaczymy niedługo, czy PSL nie zacznie mówić swoim własnym głosem. Zwłaszcza w obliczu rosnącej możliwości koalicji PiS-Konfederacja. Ale PSL będzie liczył na rozpad PiS i zagarnięcie jego części.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

MONUMENTALNE DZIEŁA NA MILENIUM KRÓLESTWA POLSKIEGO

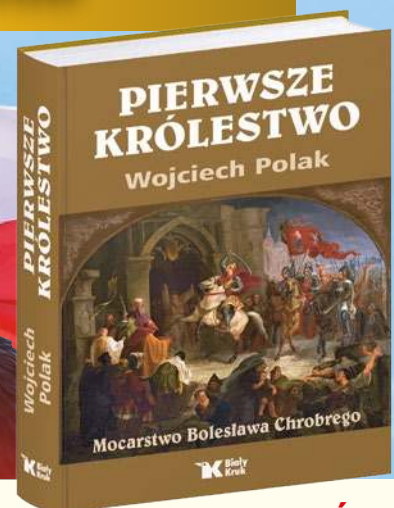


232 str.,
105 ilustracji,
16,5 × 23,5 cm,
twarda oprawa
Cena 79 zł



179 ilustracji, 344 str.,
16,5 × 23,5 cm, twarda oprawa
Cena 89 zł

PREMIERA



ZAMÓW:

Dla czytelników „Do Rzeczy” **25% taniej!**
Wejdź na stronę bialykrak.pl i wykorzystaj kod rabatowy **DORZECZY25**

bialykrak.pl, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl. Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie tylko sam Jarosław Kaczyński, lecz także praktycznie całe jego otoczenie nie rozumieli nigdy i nie rozumieją nadal, że życzliwe, ale chodzące własnymi drogami media są dla partii politycznej pożytkiem, a nie problemem

Kancelaria Sejmu RP po raz kolejny zablokowała dostęp do Telewizji Republika – informują posłowie opozycji. Oczywiście zainteresowani łatwo przestawią sejmowe telewizory na YouTube albo własny zestaw satelitarny, ale wojna kancelarii z Republiką wydaje się przejawem czegoś więcej niż partyjna zajadłość: najwyraźniej na Republikę zaczęli przełączać sejmowe telewizory także posłowie koalicyjni, tak jak w dawnej PZPR co przytomniejsi aparatczycy, by wiedzieć, co się naprawdę dzieje, słuchali Wolnej Europy. Sprawa dobrze pokazuje sytuację na medialnym froncie, jednym z kilku, na których rządzący pewni byli półtora roku temu łatwego zwycięstwa, a tymczasem planowany „blitzkrieg” ugrzązł. Miało być szybkie odcięcie społeczeństwa od „prawicowego hejtu” i odzyskanie „rządu dusz” na skalę złotych lat 90., gdy władza i salon Adama Michnika kontrolowały wszystko, a opozycja publikować mogła tylko w kilku niskonakładowych, nieatrakcyjnych graficznie tygodnikach, stale walczących o przeżycie wobec kłopotów z dystrybucją i odcięcia od rynku reklamy. Tymczasem „prawicowy hejt” nie tylko ma się nieźle, lecz także coraz mocniej wciska się do „bańki” rządzących.

Wszystko zaczęło się od zwykłego „chciejstwa” i potrzeby takiego wy tłumaczenia sobie przez środowiska lewicowo-liberalne klęski poniesionej w roku 2015, a zwłaszcza klęsk kolejnych, z lat 2019 i 2020, w sposób nienaruszający wyższościowego urojenia, na którym zbudowały one całą swą tożsamość. Wy tłumaczeniem było więc: społeczeństwo (wiadomo, że będące en masse matołami, które wierzą

Media prawicy: jak nie przegrać sukcesu



Jarosław Kaczyński odbierający od Tomasza Sakiewicza nagrodę 25-lecia „Gazety Polskiej”, 6 lutego 2018 r.

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

we wszystko, co się im powie – to przekonanie zresztą, jak dowodzi kampania Rafała Trzaskowskiego, nadal pozostaje silne) zostało ogłupione przez „pisowską” TVP. Prowadziło to do prostego wniosku: zabrać PiS telewizję, a jego poparcie rozwieje się jak dym. Stąd nacechowana pośpiechem bandyterka Bartłomieja Sienkiewicza i „likwidatorów”, choć elementarny zdrowy rozsądek podpowiadał, że w ciągu kilku miesięcy można przejąć cały interes lege artis. Stąd też przekonanie, że ujdzie ona bezkarnie.

OGOŁOCENIE TELEWIZJI SAKIEWICZA

W istocie popularność PiS i jego zwycięstwa miały swoje konkretne przyczyny i za partią tą wciąż stoi liczny, wierny elektorat. Wystarczyłoby, gdyby upojona sukcesem wyborczego „mikrotargetowania” ekipa Tuska poczytała prace życzliwych sobie socjologów. Tymczasem po siłowym wejściu do TVP jej widzowie masowo przełączyli się na Republikę, która ze stacji niszowej w kilka miesięcy wyrosła na najpopularniejszą telewizję informacyjno-publicystyczną w Polsce.

Dlaczego właśnie ona, a nie telewizja Jacka i Michała Karnowskich (obecnie wPolsce24), mimo że ta druga zawsze była bliższa przekazowi płynącego z Nowogrodzkiej i z gorliwością wchodziła natychmiast we wszystkie partyjne zakręty, równoległe do każdorazowej linii partii? Nikt nigdy tego poważnie nie przedyskutował, ale postawiłbym tezę, że właśnie dlatego. Wzajemne stosunki Republiki i całego koncernu „Gazety Polskiej” z PiS są znacznie chłodniejsze i bardziej skomplikowane, niż chcieliby zarówno jej najgorętsi wrogowie, jak i zwolennicy. Pamiętajmy, że dojście PiS do władzy w 2015 r. omal Republikę nie zabiło. Partia postawiła wtedy na media państwowe i w ciągu dosłownie kilku tygodni ogołociła telewizję Tomasza Sakiewicza z pracowników, którym zaproponowano znacznie korzystniejsze warunki w TVP i PR. Przez całe osiem lat to media państwowe, łatwe do bezpośredniego kontrolowania, były oczkiem w głowie PiS. Skończyło się to ich krańcowym stoczeniem się w prymitywną propagandę, która ostatecznie przyniosła PiS więcej szkody niż pożytku – choć partyjna centrala uparcie nie chce przyjąć tego do wiadomości.



Nie tylko sam Jarosław Kaczyński, lecz także praktycznie całe jego otoczenie nie rozumiało nigdy i nie rozumie nadal, że życzliwe, ale chodzące własnymi drogami media są dla partii politycznej pożytkiem, a nie problemem. Poprzez reprezentowanie różnych nurtów, nie tylko tego, który aktualnie ustala partyjną linię, może wiązać formację z wahającymi się grupami elektoratu, poprzez otwartą dyskusję nad postępowaniem polityków, ich krytykę, a gdy trzeba, kwestionowanie ich decyzji, buduje poczucie wspólnoty ideowej i w jej obrębie daje możliwość zmiany chybionych politycznych decyzji bez utraty wiarygodności. Właśnie dlatego nikt nie wymaga od, powiedzmy, „National Review” zachwalania każdego słowa Donalda Trumpa albo od „Spectatora” podbijania bębna torysom, cokolwiek ci akurat robią.

TEPY UPÓR PiS

Niestety, u nas nad postrzeganiem sprawy ciąży do dziś doświadczenie lat 90.: ówczesna dominacja, w mediach masowych praktycznie monopol michnikowszczyzny, wynikający z zasadniczych ustaleń w Magdalence, oraz rozdrobnienie i skłócenie partyjek „prawicowych”. Te warunki ukształtowały niepisana „doktrynę Kaczyńskiego”, zgodnie z którą każde medium musi być albo nasze, albo ich, i to wrogi, lewicowe nie jest problemem, bo prawicowy wyborca i tak jest przez nie tylko obrażany i poniżany, więc na niego nie wpływają – problemem jest właśnie medium „prawicowe”. Może ono bowiem „prawicowy” elektorat przekonać do głosowania na innego polityka bądź inną partyjkę prawicy albo wzmocnić wbrew prezesowi którąś z frakcji, na chwiejnej równowadze między którymi zbudowana jest jego pozycja. Dlatego trzeba je trzymać pod ścisłą kontrolą albo lepiej, żeby go nie było. Jako bezpośrednio zaangażowanemu w sprawę trudno mi nie przypomnieć, że gdyby nie tępy upór PiS za jego pierwszych rządów, z lat 2005–2007, by utrzymać państwową kontrolę nad spółką wydającą „Rzeczpospolitą”, a potem również tygodnik „Uważam Rze”, wówczas numer jeden na rynku tygodników opinii, moglibyśmy mieć przez wszystkie minione lata na rynku potężny konserwatywny koncern medialny oparty na zagranicznym kapitale.

W pewnym sensie sytuacja mediów konserwatywnych po roku 2023 się poprawiła – po utracie władzy PiS zwyczajnie stracił zarówno kij, jak i marchewkę, za pomocą których starał się wtłoczyć wszystkie nielewicowe media we wzorzec propagandy wyznaczany przez Jacka Kurskiego i TVP Info. Pozostał co prawda bojkot reklamodawców, zastraszone przez rządzących, którzy od czasu rzekomego „skandalu”, którym miały być słowa Jana Pietrzaka o migrantach (jak marny był to pretekst, dowodem fakt, że nawet bodnarowscy prokuratorzy nie zdołali się w nich dopatrzeć niczego nagannego i szybko, cichcem umorzyli sprawę), nie ukrywają nawet, że kto traktuje media „prawicowe” normalnie, rynkowo, będzie miał kłopoty, a w kraju takim jak Polska Tuska możliwości psucia niepokornym firmom interesów są wielkie. Ale, z drugiej strony, nagonką, zwłaszcza po włączeniu do niej naczelnego kabotyńca III RP, Jerzego Owsiaka, epatującego płacziwymi opowieściami o tym, jak lęka się o życie i musi chodzić z tego powodu do psychoterapeuty, uruchomiła wielką ofiarności darczyńców, co w pewien sposób łagodzi problem.

Zagrożenie widzę gdzie indziej i Republika jest nie jedynym jego przykładem, ale najjaskrawszym. Sukces sprawił, że upodobniła się do dawnej TVP Info – z jej poetyką nieustannego klipu wyborczego i histerycznymi frazami na paskach. Coraz mniej przypomina tę starą Republikę, gdzie nawet w sprawie tak dla szefostwa ważnej, jak tragedia w Smoleńsku, mogłem na antenie bez niczyjego oporu przekonywać widzów, że raport Antoniego Macierewicza niczego nie udowodnił, a narracja o „zamachu w Smoleńsku” zaprzecza zdrowemu rozsądkowi.

Wydaje się, że bardziej „zasięgowe” media prawicy nie potrafią wyjść z ukształtowanego w ostatnich latach wzorca obsługi emocji „żelaznego elektoratu”. A przecież nawet jeśli elektorat ten liczy się w milionach, to wciąż tylko przekonywanie przekonanych. Im bardziej się ich utwierdza w radykalizmie, tym bardziej niestrawny staje się „pisowski” przekaz dla „normalsów”. Rządzącym, mimo poniesionej w mediach klęski, pozostaje tylko, jak w Sejmie, podtrzymywać mur wykluczenia wobec niekontrolowanego przez nich przekazu. Jak na razie czynią

to na tyle skutecznie, że nawet najgrubsze skandale tej władzy, demaskowane na prawicy, nie przebijają się do większości społeczeństwa.

SCHRONIENIE DLA PARTYZANTÓW

Alternatywą dla prawicowych telewizji pozostaje Internet – ale tylko teoretycznie. Owszem, rządy PO sprzyjają kolejnym krytycznym wobec nich inicjatywom w sieci – kanały internetowe Krzysztofa Ziemca, Anity Gargas, Bartłomieja Gracza to tylko te, które odniosły największy sukces. Problem w tym, że polegać one muszą na platformie YouTube, której absurdalna polityka demonetyzacyjna (wystarczy użyć słów „samobójstwo”, „ruscy” albo „mefedron”, by algorytm na wiele dni odciął reklamy) praktycznie uniemożliwia stworzenie sensownego modelu biznesowego. Nie może sobie z tym poradzić nawet stanowiący, zasłużony, symbol internetowego sukcesu Krzysztof Stanowski. YouTube pozostaje więc wciąż tylko wygodną łóżką szyderców, leśnym schronieniem dla partyzantów, którzy ustawiają sobie na biurku telefon i za jego pośrednictwem dzielą się komentarzami, ale zbudowanie na nim, takim, jakim jest obecnie, trwałego sukcesu, to zadanie niewykonalne. A inwestycja we własny plejer, a zwłaszcza w jego spopularyzowanie, przekracza możliwości nawet najbardziej popularnych politycznych influencerów.

Można oczywiście liczyć na to, że urzędowy optymizm i równoległe do kameleonizmów PO zygaki TVN24 czy mediów Ringier Axel Springer w końcu okażą się dla przeciętnego Polaka bardziej odpychające niż sekciarska natrętność perswazji „prawicowej”. Ale czy naprawdę nie byłoby warto wykorzystać tego czasu lepiej?

PS Już po napisaniu niniejszego tekstu Sąd Administracyjny w Warszawie unieważnił (decyzja nie jest na razie prawomocna) koncesje na nadawanie naziemne przyznane przez KRRiT obu „prawicowym” telewizjom, na wniosek konkurencji, która proces koncesyjny przegrała. Nawet jeśli, teoretycznie, decyzja ta miała merytoryczne podstawy, po tak wielu przejawach partyjnego zaangażowania judykatury po stronie PO, to nikt, poza zdeklarowanymi zwolennikami władzy, w to nie uwierzy. A to znaczy, że mamy „to samo, ale jeszcze bardziej” – i „prawicowe” media wypchane są jeszcze głębiej w sytuację, w której najlepiej się czują, ale która niekoniecznie najlepiej im służy. Być może o to chodziło.



Grzegorz Braun to polityk wzbudzający wielkie emocje, według sondaży rozpoznawalny dla ponad 90 proc. Polaków. Obecny kandydat na prezydenta bynajmniej nie jest jednak pierwszym Braunem zaangażowanym w życie publiczne. Rodzina reżysera obfituje w artystów, działaczy patriotycznych czy żołnierzy. Barwne losy Braunów w ciekawy sposób ilustrują najnowszą historię Polski, a także źródła politycznych wyborów Grzegorza.

OD HARCERSTWA DO NIEPODLEGŁOŚCI

Pradziadek prezesa Korony, Karol Braun, był prawnikiem i działaczem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. „Sokół” zorganizował w 1910 r. w Krakowie obchody 500-lecia zwycięstwa pod Grunwaldem. Wtedy odsłonięto pomnik Jagiełły na placu Matejki, ufundowany przez Ignacego Jana Paderewskiego. Była to największa pod zaborami manifestacja polskości. Wtedy pierwszy raz publicznie odśpiewano „Rotę”. Uroczystą defiladę otwierała grupa prezesów gniazd „Sokoła”, a na jej czele szedł właśnie Karol Braun. Jego żona, Henryka, także była zaangażowana społecznie – już w II RP była komendantką Krakowskiej Chorągwi Harcererek. Jej ojciec, Konstanty Miller, był muzykiem i lekarzem, który na emigracji w Paryżu przyjaźnił się z Norwidem.

Wujem Henryki był z kolei Roman Żuliński, nauczyciel matematyki. Uczył w szkole i popularyzował w Polsce odkrycia zachodniej nauki. Na podstawie prac znanych matematyków, takich jak Cauchy, Lacroix czy Duhamel, napisał nowatorski podręcznik „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego”. Gdy wybuchło powstanie styczniowe, wziął w nim udział wraz z pięcioma braćmi. Okazał się dobrym organizatorem, więc powierzono mu ważne stanowisko ministra poczty w Rządzie Narodowym. W 1864 r., w wieku ledwie 30 lat, został powieszony przez Rosjan na stoku Cytadeli Warszawskiej wraz z Romualdem Trauguttem i trzema innymi przywódcami niepodległościowymi.

Żulińskiego – młodego i błyskotliwego patriotę, który w innych okolicznościach mógłby wiele zdziałać dla kraju – Grzegorz nazywa „jedną z legend mojego dzieciństwa”. Ta historia dobrze ilustruje

Saga rodu Braunów



Kacper Kita

Barwne losy Braunów w ciekawy sposób ilustrują najnowszą historię Polski. Jak mocno Grzegorz Braun czuje się ukształtowany przez zaangażowaną politycznie rodzinę?

także jego krytykę tradycji powstań i zrywów. „Potem politycy piszą elokwentne wspomnienia, gdzie tłumaczą, dlaczego nie można było inaczej. Ja zaś sądzę, że rolą polityka jest nie tworzyć uliczki jednokierunkowej, a raczej mnożyć rozwiązania po to, by możliwe suwerennie wybierać to, które przyniesie mojemu narodowi jak najmniej strat, a najwięcej, daj Boże, zysków”.

WALECZNY LOTNIK

Trzej synowie Henryki i Karola walczyli o niepodległość Polski i jej granice. Wszyscy zaczęli od harcerstwa. Najstarszy z nich, Kazimierz Braun, jeszcze w szkole był aresztowany przez Austriaków za zorganizowanie z kolegami w dniu wolnym ironicznej „akademii” wykpiwającej Franciszka Józefa, o czym ktoś doniósł władzom – szczęśliwie udało mu się wybronić przed sądem przy pomocy ojca. Mając 17 lat, Kazimierz zaciągnął się do Legionów. Zaangażował się w Polską Organizację Wojskową, brał udział w roz-

brajaniu zaborców w 1918 r., a potem w wygranej wojnie z Ukraińcami o Galicję Wschodnią. Następnie walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Jako strzelec pokładowy atakował z samolotu konnicę Budionnego, a w sierpniu 1920 r. odznaczył się odwagą podczas walk o Lwów. Niestety, kilka miesięcy później jako 21-latek zginął w wypadku lotniczym podczas szkolenia. Pośmiertnie otrzymał Virtuti Militari. To kolejna „legenda” dzieciństwa Grzegorza Brauna. Zainteresowania lotnicze pozostały w rodzinie. „Należę do może nie tak licznej grupy polskich posłów, którzy potrafią na kartce w kratkę z prawa Bernoulliego wytłumaczyć, jak powstaje siła nośna na profilu lotniczym” – mówi.

WYBITNY STRYJ

Drugim synem Karola był z kolei znany pisarz Jerzy Braun. Jako 19-latek zgłosił się na ochotnika i także walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Był aktywnym poetą, publicystą i krytykiem literackim. Według jego scenariusza



FOT. TABELSZ KONIAKZ/REPORTER

powstał w 1928 r. „Huragan” – debiut Józefa Lejtesa, jednego z najważniejszych reżyserów przedwojennej Polski. Był to niemy film z kadrami inspirowanymi rysunkami Artura Grottgera o powstaniu styczniowym. Po premierze okazało się jednak, że odpowiedzialność finansowa spoczywa na Jerzym, przez co rodzina Braunów popadła przejściowo w długi. Gdy sześć dekad później Grzegorz zaczął przejawiać zainteresowanie karierą reżysera filmowego, jego dziadek – Juliusz, brat Jerzego – zaniepokoił się, czy nie będzie z tego kłopotów materialnych.

To Jerzy – harcerz i artysta – napisał tekst znanej piosenki „Płonie ognisko i szumią knieje”. Grzegorz wspomina, że był to utwór „rodzinny” i „dzieci dopiero z czasem orientowały się, że inni także go znają”. Jerzy Braun opowiadał się za prymatem katolicyzmu w życiu publicznym i był zagorzałym antykomunistą. Jako zagrożenie postrzegał także masonerię oraz jej próby wpływu na Kościół. Podczas drugiej wojny świato-

wej był zaangażowany w konspirację. Do założonej i kierowanej przez niego katolicko-niepodległościowej organizacji Unia należały tak różne i znane postaci jak Feliks Koneczny, Karol Wojtyła, Zofia Kossak-Szczuczka, Anna Świrszczyńska, Kazimierz Kumaniecki, Juliusz Osterwa, Stefan Jaracz, Kazimierz Wyka czy Jerzy Turowicz. Jerzy Braun wziął udział w powstaniu warszawskim, choć formalnie zgłaszał decydom wątpliwości co do jego sensu. Należał do kierownictwa państwa podziemnego, a w czerwcu 1945 r. był ostatnim Delegatem Rządu na Kraj. W tej roli napisał tzw. Testament Polski Walczącej. Grzegorz deklaruje, że jest dumny ze stryjcznego dziadka, który „z jednej strony wykazał się zdrowym politycznym sumieniem i nie należał do podżegaczy do zagłady, a z drugiej nie uchylał się” od walki.

Po wojnie Jerzy był dziennikarzem katolickiego „Tygodnika Warszawskiego”, który otwarcie krytykował komunistów. Po jego zamknięciu przez stalinow-

skie władze Braun został aresztowany i skazany na dożywocie. Był okrutnie torturowany – śledztwo prowadził osławiony Józef Różański. Stracił oko i wszystkie zęby, przeszedł trzy zawały serca. W 1956 r. zwolniono go po ośmiu latach. W więzieniu prowadził wykłady z filozofii dla innych więźniów i opowiadał o sowieckich łagrach.

W 1965 r. uzyskał zgodę na wyjazd do Rzymu na Sobór Watykański II. Tam też zmarł dekadę później. Na emigracji m.in. przygotowywał audycje dla Radia Watykańskiego, publikował pisma filozoficzne i teologiczne oraz wygłaszał odczyty o polskiej kulturze. Grzegorz nazywa Jerzego „mocnym, monumentalnym punktem odniesienia” dla siebie. Jednakże zaznacza, że nie może „we wszystkim przyjąć jego programu”, bo oprócz „głębokiej ideowości” i ogromnego dorobku przejawiał także skłonność do „pobożnego socjalizmu” oraz religijnego „modernizmu”, co traktuje jako „ostrzeżenie”. Za zasługę pisarza uważa, że „przed wojną i w jej trakcie nie popadł w przechył – nie poparł ani Hitlera, ani Stalina”.

POLITYKA WYPISANA BLIZNAMI NA PLECACH

Trzeci syn to dziadek Grzegorza, Juliusz Braun. On również zgłosił się do wojska w lipcu 1920 r., gdy Warszawa była zagrożona przez bolszewików. Choć miał ledwie 16 lat, został mianowany kapralem na podstawie doświadczenia dowódczego z harcerstwa i umiejętności posługiwania się bronią nabytej podczas szkoleń legionowych i sokolskich. Został skierowany na zachodnią granicę Polski, by pilnować jej jako wartownik. Potem został prawnikiem, zrobił doktorat z ekonomii, był adwokatem i działaczem Akcji Katolickiej. W 1939 r. znów zgłosił się do wojska na ochotnika – poprzednio był zbyt młody, by być objęty poborem, a teraz zbyt stary. Przez chwilę był we wrześniu kierownikiem. Piskora, a potem trafił wraz z nim do niemieckiej niewoli, z której uciekł. Ponownie aresztowany przez Niemców odmówił podpisania volkslisty, choć proponowano mu mieszkanie i karierę w niemieckiej administracji, a „pozy-skanie” go (pod pretekstem odległych korzeni austriackich i znajomości języka) jako osoby znanej w regionie byłoby dla hitlerowców sukcesem.



W wiejskim domu Braunów pod okupacją mieszkał m.in. wysiedlony przez Niemców z Poznania historyk prof. Kazimierz Tymieniecki, przyjaciel Juliusza i ojciec chrzestny Kazimierza, ojca Grzegorza Brauna. Tam właśnie u prof. Tymienieckiego podziemny egzamin doktorski zdał Gerard Labuda, późniejszy wybitny mediewista. Z domu korzystali także partyzanci. Juliusz Braun, podobnie jak jego brat Jerzy, był zaangażowany we wspomnianą chrześcijańską konspiracyjną organizację Unia. Był jej szefem na Kielecczyźnie i brał udział w przygotowaniu jej wizji ustroju niepodległej Polski. Niemcy aresztowali go w ramach reperkusji po jednej z akcji podziemia, ale szczęśliwie nie wykryli jego zaangażowania niepodległościowego i wypuścili po kilku miesiącach. Po zwolnieniu Braunowie zamówili jako wotum obraz Serca Pana Jezusa u Józefa Mehoffera – przedwojennego znajomego Juliusza. Opłacili go szczególnie cennymi pod okupacją masłem i miodem oraz przewieźli po kryjomu.

Po 1945 r. Juliusz Braun próbował prowadzić normalne życie i brać udział w odbudowie Polski po wojnie. Objął stanowisko dyrektora Izby Przemysłowo-Handlowej w Częstochowie, analogicznie do tego, które sprawował przed inwazją. Chciał połączyć katolicką tożsamość Jasnej Góry z dynamicznym rozwojem miasta jako ośrodka przemysłowego, handlowego i akademickiego. Z jego inicjatywy w styczniu 1946 r. powołano pierwszą w historii Częstochowy uczelnię, Wyższą Szkołę Administracyjno-Handlową, która miała być kuźnią miejscowych elit. Doktor Juliusz Braun został jej rektorem. We wrześniu 1946 r. zorganizował w Częstochowie Wystawę Gospodarczą, otwartą dzień przed świętem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Poświęcił ją prymas August Hlond, a zwiedzili kard. Adam Sapieha i bp Stefan Wyszyński, kolejny stary znajomy Juliusza.

Po konsolidacji władzy komuniści dokreślili jednak śrubę i weszli na wyższy poziom represji wobec środowisk patriotycznych i katolickich. Latem 1948 r. Juliusz Braun został zwolniony z obu stanowisk, a po kilku miesiącach aresztowany w tym samym czasie co starszy brat i wielu innych dawnych działaczy podziemnej Unii.

Dziadek Grzegorza spędził pięć lat w stalinowskim więzieniu. Poznał tam wielu bohaterów walki o niepodległość, słyszał zabijanie ich strzałem w tył głowy

Jego syn, Kazimierz, wspomina, że dwa tygodnie wcześniej Juliusz mógł spotkać się z bp. Wyszyńskim, nowym prymasem. Był już bezrobotny i wiedział, że atmosfera wokół niego się zagęszcza. „[...] długo rozmawiali przy biurku gospodarza. Ksiądz Prymas rozpoczynał swą posługę w czasie, gdy gwałtownie narastał komunistyczny terror. Ojciec był jego ofiarą. Na koniec widziałem ich serdeczne pożegnanie. Prymas objął ojca za ramiona i coś długo, cicho do niego mówił. Zostałem przywołany przez ojca. Ukląkłem na oba kolana. Ksiądz Prymas położył mi na chwilę rękę na głowie. Ojciec też ukląkł. Prymas nas pobłogosławił. Myślę, że to błogosławieństwo i słowa księdza Prymasa były dla ojca szczególnym umocnieniem w ciągu długich lat więzienia”.

UB przyszła po Juliusza o godzinie szóstej 6 grudnia, w dniu św. Mikołaja. Jego syn podejrzewa, że ubecy byli świadomi, iż Braun przykładą dużą wagę do obchodzenia uroczystości kościelnych w gronie rodzinnym, więc zakładali, że będzie w domu. Nie mylili się. Dziadek Grzegorza spędził kolejne pięć lat w stalinowskim więzieniu. Poznał tam wielu bohaterów walki o niepodległość, słyszał zabijanie ich strzałem w tył głowy. W przetrwaniu pomogła mu wiara – szczególnie bliska była mu św. Teresa z Lisieux, do której modlił się o ocalenie. Miał potem udział w rozbudowie Częstochowy, a ostatnie 20 lat życia spędził w Kielcach, gdzie pracował w Sekcji Świętokrzyskiej Komitetu Zagospodarowania Ziemi Górskich Polskiej Akademii Nauk. W 1973 r. udało mu się w końcu uzyskać tytuł profesora, który zapewne miałby dwie dekady wcześniej, gdyby nie więzienie. Był doradcą miejscowej Solidarności, internowanym w stanie wojennym.

„Dziadek miał na plecach wypisaną politykę – blizny z więzienia za politykowanie z bratem” – wspomina Grzegorz. Obecny poseł dobrze poznał Juliusza – miał 23 lata, gdy dziadek zmarł. Był dla niego ważnym punktem odniesienia. Szwagier Juliusza, Jan Szymanowski, otrzymał Virtuti Militari za udział w kampanii wrześniowej. Został uznany za poległego w walce, ale pojawił się przed rodziną żywy, gdy przygotowywali już jego pogrzeb. On też został po wojnie uwięziony przez komunistów. „Jest to dla mnie istotne, że na przełomie lat 40. i 50. wszyscy dorośli mężczyźni w rodzinie mojego taty siedzieli po więzieniach” – mówi prezes Korony.

AKTORKA, KTÓRA SIĘ SOWIETOM NIE KŁANIAŁA

Młodsza siostra Juliusza była Jadwiga Domańska z domu Braun, aktorka teatralna, która występowała przed wojną m.in. ze słynnym Ludwikiem Solskim. Po inwazji Niemiec zaangażowała się w Związek Walki Zbrojnej i została kurierką na trasie Warszawa – Wilno. Przykładowo podczas jednej z akcji na podszywec jej zakietu była nadrukowany meldunek do przekazania. Talent aktorski Jadwiga wykorzystywała do oszukiwania Niemców i Sowietów. Gdy w końcu została aresztowana przez NKWD, została skazana na osiem lat łagru i trafiła pod Nowosybirsk. Ostatecznie spędziła tam półtora roku, pracując w trudnych warunkach w fabryce krawieckiej. Udało się jej wydostać po układzie Sikorski-Majski, choć początkowo NKWD nie chciało jej wypuścić i próbowało ją zmusić do współpracy. Gdy dowiedziała się, że powstaje polskie wojsko w ZSRS, sprzedała starą torbę na miejscowym bazarze, kupiła kilogram chleba, melon i bilet kolejowy do Buzułuku. Tam dołączyła do nowo uformowanej armii Andersa.

Jadwiga pracowała m.in. jako sanitariuszka i szyfrantka, ale przede wszystkim wykorzystywała talent do organizacji widowisk artystycznych. W 1943 r. za zgodą gen. Andersa utworzyła Teatr Dramatyczny przy Armii Polskiej na Wschodzie, angażujący żołnierzy, zapewniający im rozrywkę i oddech oraz łączność z narodową kulturą i europejską klasyką. Domańska przeszła cały szlak bojowy od ZSRS przez Irak i Egipt do Włoch. Po wojnie połączyła



się z córką i mężem Ludogierdem, który był zaangażowany w konspirację i jako inżynier chemik produkował granaty dla Armii Krajowej. Żyli na emigracji w Wielkiej Brytanii, a potem w Kanadzie.

Jadwiga pracowała jako nauczycielka i była działaczką polonijną – wystawiała polskie sztuki (np. „Dziady”), prowadziła polski program telewizyjny. Zadanie artysty widziała jako „służbę wspólnej narodowej sprawie”. Tym niewątpliwie było jej zaangażowanie na rzecz podtrzymywania polskości w trudnych warunkach wojny i emigracji. Łączność z dorobkiem przodków pomaga spojrzeć z nadzieją na przyszłość własną i kolejnych pokoleń. Jadwiga zmarła w 1996 r. i mogła odwiedzić wolną Polskę. Grzegorz zdążył ją jeszcze poznać. „Mam od niej krzyżyk z odłamek spod Monte Cassino – mówi. – Zasugerowała gen. Andersowi po bitwie, żeby mechanicy zespawali ich większą liczbę. Dostaną go moje dzieci”.

SZLACHCIC, KTÓRY ZGINĄŁ, BRONIĄC PROBOSZCZA

Drugim dziadkiem reżysera był ziemianin Wincenty Sebastian Reklewski, właściciel majątku Mirogonowice w Świętokrzyskiem. Zapisał się w lokalnej pamięci pracowitością. Na swoich gruntach wystawił m.in. zmechanizowaną piekarnię oraz nowoczesny młyn wodno-motorowy. Był gorliwym katolikiem i miłośnikiem historii, a z wiarą łączyła się także dobroczynność – fundowanie stypendiów wiejskiej młodzieży czy kolonii dzieciom z ubogich rodzin. Jego krewnym i imiennikiem był Wincenty Reklewski – poeta preromantyczny, żołnierz Józefa Poniatowskiego, który walczył m.in. pod Raszynem i Smoleńskiem, a w 1812 r. dotarł z Napoleonem do Moskwy. Tam niestety zmarł na tyfus w wieku ledwie 26 lat.

Niezwykłym świadectwem wartości ojca matki Grzegorza wydaje się jego śmierć. W grudniu 1939 r. Reklewski dowiedział się od chłopów, że bandyci napadli na miejscowego proboszcza. Kazał więc zawieźć się na plebanie, choć wiadomo było, że może to być niebezpieczne. Próbował powstrzymać rabusiów, ale został zastrzelony przez jednego z nich. Proboszcz wspominał potem – „był to dobry gospodarz, pracowity bardzo, dla ludzi sprawiedliwy, dla

biednych uczynny i miłosierny, corocznie sownie wspomagał klasztor św. Katarzyny i na Świętym Krzyżu. Był przy tym dobrym i praktykującym katolikiem”. Za zgodą biskupa tablica upamiętniająca bohaterskiego gospodarza została wmurowana w ścianę kościoła. Latem 1944 r. w majątku Reklewskich miała miejsce koncentracja Brygady Świętokrzyskiej. „Nie mogłem o tym nie pamiętać, słuchając polakożerczego wykładu Jana Grabowskiego, który z polskich patriotów usiłuje robić morderców i rabusiów Żydów” – komentuje prezes Korony.

KOMUNIŚCI NIE MIELI LITOŚCI

Córką Wincentego jest Zofia Reklewska-Braun, matka Grzegorza. Miała trzy miesiące, gdy zamordowano jej ojca. „Gdyby ci bandyci byli bardziej przeczorni, parę lat później mogliby chodzić jako komunistyczni partyzanci” – komentuje poseł. Wobec przyzwolenia na przesładowanie polskiego ziemiaństwa „tacy sowieciarze zamordowali starszą siostrę mojej mamy”. W maju 1944 r. bandyci z Armii Ludowej zabili w pobliskich Grzegorzewicach 29-letnią Jadwigę Rauszer z domu Reklewską, która działała wraz z mężem w AK, oraz 24-letnią Kalinę Rauszer-Stypińską, kurierkę AK.

W całej rodzinie widzimy zatem styk kultury i polityki, charakterystyczny także dla reżysera, który został posłem

Po wojnie komuniści wypędzili Zofię i jej matkę z rodzinnego domu, a ich dobra znacjonalizowano. Od młodego wieku Zofia musiała pracować zarobkowo. Także majątek, w którym urodził się jej późniejszy mąż, prof. Kazimierz Braun, przejęli komuniści. Zofia jest historykiem literatury, a Kazimierz reżyserem teatralnym i pisarzem, autorem ogromnej liczby książek o różnorodnej tematyce – od teorii i historii teatru, przez powieści i poezję, do wspomnień.

Ojciec Grzegorza był dyrektorem teatrów w Lublinie i we Wrocławiu, wystawiał sztuki na scenach od Krakowa i Warszawy do związanej z rodziną

Tarnowa. Szczególnie bliscy byli mu Norwid i Różewicz. Władze patrzyły na Brauna podejrzliwie jako na „syna wrogu ludu” i inwigilowały go. W 1984 r. został zwolniony z pracy, bo jego inscenizację „Dżumy” Camusa odczytano – trafnie – jako krytykę stanu wojennego. Wyjechał z żoną do USA i został profesorem Uniwersytetu Nowojorskiego w Buffalo. Do dziś aktywnie pisze, choć zbliża się do dziewięćdziesiątki.

Jak wiele polskich rodzin, także tę dotyczą podziały polityczne. Młodszy brat Kazimierza to Juliusz Braun, działacz Solidarności, były poseł Unii Wolności i prezes TVP w latach 2011–2015. Jego syn (a więc kuzyn Grzegorza) to Michał Braun, działacz i radny PO, obecnie dyrektor Narodowego Instytutu Wolności.

„NIE MA POLITYKI BEZ METAPOLITYKI”

W całej rodzinie widzimy zatem styk kultury i polityki, charakterystyczny także dla reżysera, który został posłem. Narzuca się naturalne, powracające w dyskusjach na prawicy w Polsce i Europie pytanie: Który obszar jest ważniejszy? Co bardziej kształtuje społeczeństwo i jego los? Lepiej działać, wpływać na umysły poprzez kulturę i metapolitykę czy bezpośrednio akcją polityczną? Zdaniem prezesa Korony „tego nie da się rozdzielić. Polityka bez metapolityki staje się od razu polityczką”. Podkreśla znaczenie historii. „Musimy wiedzieć, dokąd zmierzamy, a do tego musimy wiedzieć, skąd przyszliśmy. Polska to nie jest tu i dzisiaj. To nie jest nasza własność”. W jego optyce „punkty odniesienia” zdobyte ze znajomości przeszłości „stają się punktami oparcia”.

Jak mocno Grzegorz Braun czuje się ukształtowany przez zaangażowaną politycznie rodzinę? „Z jednej strony mnie to kształtuje i determinuje w 150 proc. Miałem do polityki bliżej jako przedwcześnie rozpolitykowane dziecko, uczestniczące w rozmowach przy rodzinnym stole. A z drugiej strony mój światopogląd nie jest mi w najmniejszym stopniu zadany, nie odtwarzam zgranej płyty. Jestem zobowiązany moim bliskim i przodkom. To bezcenne wyposażenie i wielkie zobowiązanie”. Podkreśla przy tym: „To nie jest legitymacja ani przepustka. Raczej dług do spłacenia oraz wyzwanie”.



W tym roku Marcin Romanowski Wielkanoc spędzi daleko od Polski – jako pierwszy polski wygnaniec od czasu upadku komunizmu. Kiedy rozmawiamy w Budapeszcie, jeszcze nie planował, gdzie dokładnie spędzi święta, choć nie wyklucza, że będzie to również Eger. Posługuje tam polski zakonnik, który zaprosił go do wspólnego przeżywania Triduum Paschalnego i samych świąt.

Pół roku temu Romanowski po przegłosowaniu decyzji o uchyleniu mu immunitetu oraz aresztowaniu zdecydował się opuścić kraj. Nielegalna prokuratura postawiła mu kilkanaście zarzutów, o których mówi, że jego studenci nie zdaliby egzaminu, gdyby podobną argumentację usłyszał od nich na pierwszym roku prawa. Rzekomo miał działać bez kompetencji, bo nadano mu je nie nowym zarządzeniem, tylko zmianą dotychczasowego. Miał też wpływać na decyzje komisji konkursowych. Tyle że komisje nie podejmują decyzji, tylko... minister – czyli on. Straty z tego tytułu ludzie Bodnara wyliczyli na ponad 100 mln zł. To spowodowało, że prokuratura zablokowała mu konta bankowe. Od razu dodajmy: owe 100 mln zł to nie są pieniądze, które Romanowski sobie przywłaszczył. Wręcz przeciwnie – środki te zostały przeznaczone na projekty zgodne ze statutem Funduszu Sprawiedliwości, które zostały w pełni zrealizowane. Na przykład budynek Fundacji Profeto stoi i jest teraz więcej wart niż Fundusz za niego zapłacił.

Blokada środków na kontach Romanowskiego w praktyce oznacza, że wszystkie pieniądze, które na nie wpłyną, byłyby natychmiast zajmowane. To utrudnia mu funkcjonowanie na Węgrzech. Inna sprawa, że utrudnia też służbom obserwowanie Romanowskiego, który częściej niż dotychczas zmuszony jest do posługiwania się gotówką. – Dopiero tutaj w pełni zdałem sobie sprawę, jak ważne jest, żeby zachować prawo do posługiwania się gotówką. Karty, przelewy elektroniczne i tym podobne pozbawiają nas prywatności. Posługiwanie się tymi narzędziami to potężna broń, której można użyć przeciw obywatelowi – mówi Romanowski.

UCIEKINIER POLITYCZNY

Okoliczności, w jakich Romanowski znalazł się na Węgrzech, są dość pro-



Rząd Węgier przyznał Marcinowi Romanowskiemu azyl polityczny

FOT. PAWEŁ DAJBROWSKI/SE/EAST NEWS

Na wygnaniu



Cezary Gmyz
z Budapesztu i Egeru

Pół roku temu Marcin Romanowski po przegłosowaniu decyzji o uchyleniu mu immunitetu oraz aresztowaniu zdecydował się opuścić kraj. Wie, że nie może tu liczyć na uczciwe potraktowanie przez prokuraturę i sąd. Co robi na Węgrzech?



zaiczne. Po prostu wsiadł w samochód i korzystając z dobrodziejstwa systemu Schengen, przejechał przez dwie granice przez nikogo nieniepokojoy. Podjął pewne działania, by nie można było go namierzyć, ale nie chce się wdawać w szczegóły. Zdradza jednak, że pierwsza noc na wygnaniu musiał spędzić w samochodzie. Nie chciał bowiem korzystać z elektronicznych systemów rezerwacyjnych takich jak Booking czy Airbnb, gdyż mógłby zostać łatwo namierzony. Pechowo się złożyło, że ze względu na późną porę wszystkie hotele, do których zajeżdżał z pytaniem o wolne miejsca noclegowe, były już zarezerwowane.

Niebawem jego adwokat – Bartosz Lewandowski – ogłosił, że rząd Węgier przyznał Romanowskiemu azyl polityczny. – Sytuacja była precedensowa przede

dość intensywne kontakty z Węgrami już wcześniej, jako wiceminister sprawiedliwości. Do kręgu osób, z którymi współpracował, należy analityk jednego z najważniejszych węgierskich think tanków. Odpowiada tam za sprawy zagraniczne, ze szczególnym naciskiem na kwestie polskie, świetnie włada naszym językiem. Spotykamy się na kolacji niedaleko słynnego gmachu węgierskiego parlamentu. Boleje nad sytuacją w Polsce i pogorszeniem naszych wzajemnych stosunków. W szczególności nad ochłodzeniem relacji również z polskimi konserwatystami.

– Niestety, polskie media mainstreamowe robiły i robią wiele, manipulując wypowiedziami polityków węgierskich i polskich – mówi. Podaje przykład wypowiedzi byłego marszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego. Skrytykował on

oznacza to, że nie są w stanie dywersyfikować źródeł zaopatrzenia w surowce energetyczne w takim stopniu jak Polska mająca zarówno gazoport, jak i naftoport, co pozwala na import węglowodorów – ropy i gazu z kierunków innych niż rosyjski. Dodatkowo sytuację Polski polepszyło uruchomienie w końcówce rządów PiS Baltic Pipe, pozwalającego na import gazu ze źródeł norweskich. Węgrzy ze względu na swoje położenie geograficzne takich możliwości nie mają i z tego powodu są uzależnieni od Rosji znacznie bardziej niż Polska. Nawiasem mówiąc, w identycznej sytuacji jest Austria, która również nie ma dostępu do morza i prowadzi podobną politykę wobec Rosji. Jednak w Republice Alpejskiej od wielu lat rządzą chadecy należący do Europejskiej Partii Ludowej, czyli do tej samej europejskiej rodziny politycznej co Platforma Obywatelska, i dlatego Austria nie jest stawiana pod pręgierz tak jak Węgry.

Romanowski postrzega Victora Orbána jako polityka pragmatycznego. – Faktem jest, że po zwycięstwie Donalda Trumpa w USA notowania polityczne Orbána w Europie poszybowały i nagle wielu polityków europejskich zaczęło poszukiwać z nim kontaktu, widząc w nim człowieka, który może zadzwonić zarówno na Kreml, do Pekinu, jak i do Białego Domu. Orbán więc ma wszelkie podstawy do twierdzenia, że Węgry są ostatnim państwem UE, o którym można mówić, że jest izolowane – mówi Romanowski.

ROMANOWSKI NIE TRACI DUCHA

Udzielenie azylu Romanowskiemu doprowadziło obecnie rządzących w Polsce do szału. Nowy ambasador Węgier w Warszawie István Jjgyártó jako jedyny dyplomata z państw unijnych nie został zaproszony na inaugurację polskiej prezydencji w Unii Europejskiej, uczczonej koncertem w Teatrze Wielkim. Mimo tego Węgrzy nie odpuścili. Specjalnie dla Romanowskiego zmienili swoje ustawodawstwo, tak aby wprowadzić dodatkową kontrolę sądową przy wydawaniu ludzi ściganych Europejskim Nakazem Aresztowania (ENA). Teraz ostateczna decyzja w tej sprawie będzie podejmowana przez Sąd Najwyższy.

Po kryzysie migracyjnym z 2015 r. Węgry tak zmieniły swoje przepisy, żeby

Udzielenie azylu Romanowskiemu doprowadziło obecnie rządzących w Polsce do szału. Nowy ambasador Węgier w Warszawie István Jjgyártó jako jedyny dyplomata z państw unijnych nie został zaproszony na inaugurację polskiej prezydencji w Unii Europejskiej

wszystkim dlatego, że jest to azyl udzielony obywatelowi państwa członkowskiego Unii Europejskiej, gdzie co do zasady tego typu działań się nie podejmuje. Wychodzi się bowiem z założenia, że wszystkie państwa członkowskie Unii Europejskiej spełniają standardy państwa prawa, co niejako wyklucza możliwość czy konieczność udzielania azylu ich obywatelom. Niestety, Polska stała się niechlubnym wyjątkiem w tym zakresie. Przyznanie mi statusu uchodźcy politycznego spowodowało, że Węgry uznały, iż w naszym kraju nie mam szans na dostęp do uczciwego wymiaru sprawiedliwości. Wyjątkowość sytuacji polega oczywiście też na tym, że jestem politykiem, posłem do parlamentu – mówi były wiceminister sprawiedliwości.

Rzeczywiście ostatni czynny polityk musiał uciekać z Polski w 1947 r., kiedy kraj opuścił Stanisław Mikołajczyk, a jeszcze wcześniej – w 1933 r., kiedy to Wincenty Witos zbiegł przed odsiadką po procesie brzeskim.

Romanowski mówi, że na Węgrzech szybko znalazł się pod dobrą opieką. Miał

wprawdzie część posunięć rządu Orbána, ale zaraz dodał, że przyjaźń polsko-węgierska pozostaje niewzruszona. Jednak ten fragment przez TVN został pominięty, co sprawiło, że inne media liberalne – zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce – zaczęły mówić wręcz o zerwaniu stosunków między PiS a Fideszem Orbána. Romanowski mówi z kolei: – Węgrzy niezmiennie są bardzo przyjaźni Polakom, o czym przekonuję się każdego dnia. Niestety, w interesie elit europejskich jest, aby konserwatyści europejscy byli rozbici, i to się częściowo udaje.

Mój węgierski rozmówca zaprzecza, żeby władze w Budapeszcie były prorosyjskie. – Nasze historyczne doświadczenia z Rosjanami są podobne do polskich. Z całą pewnością Węgrzy nie stali się wielbicielami Rosji Putina. Jednak nasza sytuacja jest inna od polskiej. Przede wszystkim Polska jest krajem o wiele większym i ludniejszym, co sprawia, że ma inny potencjał, również w dziedzinie polityki zagranicznej – mówi.

Węgry mają też inny problem – nie mają dostępu do morza. W praktyce



szukających ochrony międzynarodowej migrantów raczej zniechęcać do myślenia o azylu nad Dunajem. W praktyce oznacza to, że na Węgrzech nie ma systemu pozwalającego np. na wypłacanie azylantom zapomogi czy przyznawanie im mieszkania. Ale Marcin Romanowski radzi sobie w środowisku międzynarodowym. Jak mówi, w okresie przejściowym korzysta ze zgromadzonych oszczędności, sporadycznie wygłasza również wykłady po angielsku i pisze specjalistyczne opracowania.

Jego sytuacji nie polepsza to, że po wyjeździe na Węgry zrezygnował ze statusu posła zawodowego i pieniędzy, które otrzymywał z Sejmu. Inna sprawa, że uposażenie poselskie według zapowiedzi rządzących i tak zostałoby mu odebrane. A nawet jeśli nie, to ma przecież zajęte rachunki bankowe.

Romanowski jednak nie narzeka. Przypomnijmy, że jest on numerariuszem Opus Dei zobowiązanym do celibatu, więc nie ma rodziny na utrzymaniu, a jego wydatki są dość skromne. Jedynym szaleństwem, na które sobie czasem pozwala, jest kolacja ze znajomymi na mieście przy węgierskim winie.

Podobnie jak w Polsce także na Węgrzech prowadzi ożywione życie duchowe. Uczestniczy w Mszach w pobliskim kościele, po węgiersku. Śmieje się, że relaksem jest Msza po angielsku czy hiszpańsku. Jednak podczas naszej wizyty na Węgrzech wziął udział we Mszy po polsku. Była ona odprawiana przez polskiego zakonnika w małej kaplicy w Egerze specjalnie dla Romanowskiego i jego współpracowników z jego okręgu wyborczego, którzy akurat przyjechali na Węgry, by się z nim spotkać. Romanowski podczas Mszy był lektorem, czytał fragmenty Pisma Świętego.

Poza tym były wiceminister ma raczej kontakty z Węgrami. Jednym z nielicznych wyjątków jest inna osoba z Polski będąca obecnie w procedurze azylowej, która również jest obiektem prześladowań ze strony rządzących obecnie układu. Z oczywistych powodów nie podajemy jej danych. Możemy jedynie napisać, że nie jest to ani polityk, ani urzędnik państwowy.

Romanowski dopina właśnie kwestie pracy w Budapeszcie. Jak wskazuje, jest to ważne przede wszystkim dlate-



Marcin Romanowski podczas Mszy zorganizowanej dla niego i jego współpracowników w kaplicy w Egerze

FOT. CEZARY GMYZ

go, że da mu to narzędzia do mocnego zaangażowania w walkę z bezprawiem antypolskiego reżimu Tuska. Właśnie kończy raport, który będzie dotyczył nadchodzących wyborów prezydenckich i niebezpieczeństw dla procesu demokratycznego, jak to ma miejsce w Rumunii czy we Francji. W Budapeszcie bez problemu funkcjonuje z angielskim i niemieckim, ale uczy się też węgierskiego. Teraz ma chwilę kryzysu, ale nie traci nadziei, że nauczy się go w stopniu pozwalającym wykonywać pracę intelektualną. Co prawda, Jan Paweł II żartował, że do tego potrzeba wieczności, ale może uda się szybciej.

Mimo że mu za to nie płacą, Romanowski nadal w miarę możliwości wykonuje obowiązki poselskie. Píše rozmaite opracowania, zasypuje rząd wieloma interpelacjami i zapytaniami. Jest też w bieżących kontaktach ze swoim biurem poselskim, które nadal funkcjonuje, bo nie ma podstaw prawnych, by cofnąć mu fundusze na jego prowadzenie. Wiele spraw daje się załatwić przez komunikatory, jednak skutecznie uniemożliwiono mu branie udziału w posiedzeniach Sejmu oraz komisji, które może jedynie obserwować przez Internet. O głosowaniu na komisjach czy posiedzeniach plenarnych nie ma mowy, choć możliwości techniczne głosowań zdalnych od czasu pandemii są.

Innym przejawem jego aktywności jest pisanie zawiadomień o popełnieniu przestępstw przez obecnie rządzących. Oczywiście ma świadomość, że sprawy

te nie będą podejmowane lub umarzone przez obecną prokuraturę. Jest jednak przekonany, że kiedyś będzie można do nich wrócić i ukarać tych, którzy nie chcieli ścigać oczywistych przestępstw. Jedną z takich spraw jest bezprawne pozbawienie go wolności, kiedy był jeszcze chroniony immunitetem Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Ta kwestia wydaje się oczywista, bo sąd uznał zatrzymanie za bezprawne i kazał go wypuścić. – Ciekawe, co w tej sprawie wymyślą, by odpowiedzialni za to bezprawie uniknęli odpowiedzialności – mówi Romanowski.

CZAS NA PRACĘ

Były wiceminister nie uważa, by czas spędzony na Węgrzech był zmarnowany. – Dużo pracuję, nawiązuję kontakty międzynarodowe nie tylko z Węgrami – mówi. Jedyne, co mu doskwiera, to brak możliwości podróżowania do innych krajów. Chciałby móc np. podróżować do USA, które po zwycięstwie Trumpa stały się mekką konserwatystów z całego świata. Wprawdzie w USA nie obowiązują ENA, ale nie jest jeszcze pewne, czy Interpol ostatecznie odmówi polskiemu władzom ścigania go. Prześlałem w każdym razie do centrali w Lyonie moje obszernie stanowisko pokazujące, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, a jestem ścigany z powodów politycznych. Pracuję też teraz nad kilkoma projektami, aby podjąć nie tylko nad Dunajem, lecz także nad Potomakiem sprawę prześladowań i tortur wobec więźniów politycznych w Polsce – mówi. Choć na razie nie chce podawać szczegółów.

Liczy jednak również na to, że konserwatywny zwrot dokona się w Europie, rząd koalicji 13 grudnia upadnie, a on sam będzie mógł wrócić do ojczyzny.

Z Marcinem Romanowskim spotkaliśmy się kilka dni przed śmiercią jego ojca. Poseł ze względu na ściganie go w Polsce nie mógł przyjechać na pogrzeb, gdyż zostałby natychmiast zatrzymany. Nie ma wątpliwości, że do śmierci jego ojca przyczyniła się polityczna nagonka ze strony polityków i prorządowych mediów, z którą mierzy się od ponad roku. Śmierć ojca jest dla niego bolesną stratą, a także zobowiązaniem dającym siły do walki z bezprawiem.



To jest rodzina! To jest Rodzina Radia Maryja. Tworzymy naszą kulturę – rodzinną, opartą na wierze, na tradycji, na patriotyzmie – mówił z entuzjazmem jeden z uczestników 33. pielgrzymki Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. W 2024 r. odbyła się pod hasłem „Uczestniczę w misji Kościoła”. Słuchacze toruńskiej rozgłośni spotykają się w narodowym sanktuarium co roku, w drugą niedzielę lipca. Oprócz wymiaru modlitewnego, w ramach którego szczególnie mocno wybrzmiewa modlitwa za ojczyznę, pielgrzymka ta ma element integracyjny. Sympatycy Radia Maryja i Telewizji Trwam mogą spotkać się wśród „swoich”. Na jasnogórskich błoniach trwają tego dnia rozmowy, zawiązują się znajomości. Nie brakuje dyskusji na temat nasilającej się krytyki ze strony rządu Donalda Tuska, który zapowiedział „rozliczenie” o. Tadeusza Rydyzka. – Chodzi o zabicie naszych serc i naszego ducha, gaszenie ducha patriotyzmu, a my właśnie jesteśmy patriotami i pobudzamy tego ducha patriotyzmu i polskości – podkreślił w rozmowie z mediami redemptorystów uczestnik pielgrzymki. – Ataki są wtedy, kiedy jest rocznica Radia Maryja, kiedy jest pielgrzymka Radia Maryja. To bardziej się nasila, ale na pewno nie wygra, bo z Panem Bogiem nikt nie wygrał – stwierdził ktoś inny. Dominują jednak słowa o poczuciu jedności. – Serce raduje się, dlatego że jest tu tylu ludzi. Wierzą w to, że ojczyzna będzie Bogiem silna – zaznacza jedna z pątniczek.

Pielgrzymów powitał i pożegnał ojciec dyrektor. – Mamy równocześnie trzy kontrole. Chcą znaleźć cokolwiek. Dwanaście osób codziennie nas kontroluje. Co Wy na to? – pytał o. Rydyk, na co zgromadzeni odpowiedzieli charakterystycznym dla tego środowiska hasłem „Alleluja i do przodu!”. – Kochani, ogromne dzięki, ogromne dzięki. Mamy za co się modlić. Z całego serca ogromne Bóg zapłać i dalej proszę o modlitwę, bardzo proszę o modlitwę, żeby z Polski odeszły demony nienawiści, które sączą się z góry, z najwyższych szczybli w drabinie rządzącej. Żeby skończyć z tym judzeniem – Polak na Polaka. Z zemstą. Z uwięzieniem niewinnych [...]. Przebaczymy tym, którzy czynią to zło. Przebaczymy, ale pamiętamy, na co kogo stać. Złodziejowi przebaczam, ale oddaj, coś ukradł, to tak

Alleluja i do przodu!



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Wspólnota wierzących patriotów czy zaślepieni radykałowie? Środowisko słuchaczy Radia Maryja od dekad jest obiektem ataków medialnych i politycznych. Sami członkowie Rodziny podkreślają, że chodzi im przede wszystkim o poczucie wspólnoty

mniej więcej jest – wskazywał redemptorysta. – Niech krzyż będzie od Bałtyku po Tatrę. Oddajemy się Matce Bożej – mówił, dziękując pielgrzymom.

Na fotorelacji ze spotkania można dostrzec głównie osoby starsze. W loży honorowej, blisko ołtarza, podobnie jak podczas poprzednich pielgrzymek i ogólnopolskich rocznic związanych z Radiem Maryja, obecni byli ministrowie w rządzie PiS – Przemysław Czarnek (zabrał największe owacje od zgromadzonych), Mariusz Błaszczak, Marek Gróbarczyk oraz były prezes Orlenu Daniel Obajtek.

RODZINNE STRUKTURY

Lipcowa pielgrzymka to jedno z najważniejszych wydarzeń dla słuchaczy, widzów i czytelników mediów związanych z o. Tadeuszem Rydykiem. Wszyscy oni określają się mianem „Rodziny Radia Maryja”. Statut Rodziny Radia Maryja zatwierdzony został przez Konferencję Episkopatu Polski w maju 2006 r., zaktualizowano go sześć lat później. Według strony rozgłośni Rodzina RM to „wspólnota słuchaczy Radia Maryja oraz osób identyfikujących

się z poglądami prezentowanymi w tej rozgłośni”. Wśród nich wielu formalnie przynależy do Kół Przyjaciół Radia Maryja będących jedną z form zorganizowanej działalności wokół toruńskich „dzieł medialnych” (tak o Radiu Maryja, Telewizji Trwam oraz „Naszym Dzienniku” mówi się w tym kręgu). Obok kół działają też terenowe biura Radia Maryja. Pierwsze powstało w 1992 r. przy parafii Trójcy Świętej w Bydgoszczy, co dało impuls do zakładania kolejnych. – W 1996 r. założyłam biuro i 28 lat prowadzę je cały czas – opowiadała pani Jadwiga z Terenowego Biura Radia Maryja przy parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Nowym Tomyślu podczas wrześniowego spotkania formacyjnego Terenowych Kół i Biur Przyjaciół radia Maryja.

Wśród uczestników była też pani Irena z Olsztyna. – Osobiście zakładałam to koło z mężem, który już nie żyje, i 31 lat jesteśmy z tym radiem – podkreśliła. – Dzielimy się tym, co można sobie przekazać, a więc co lepiej zrobić u nas w terenie. Wiadomo, że jeździmy tu na spotkania, ale to, co zrobimy tam,



• później procentuje – powiedział pan Adam z Koła Przyjaciół Radia Maryja przy parafii św. Mikołaja w Mikołajkach. Pani Maria z Kocudzy deklaruje, że toruńskie media są jedynymi, których potrzebuje. – Jeżeli mam wolną chwilę, to zawsze jestem z Radiem. U mnie innego programu nie ma, tylko jest Telewizja Trwam, Radio Maryja, i to mnie wspiera – podkreśla.

„Działalność Kół i Biur Radia Maryja opiera się na pięciu filarach. Najważniejszym z nich jest wspólna modlitwa oraz ciągła formacja. Osoby, które działają w Kołach i Biurach, są ambasadorami Radia Maryja w swoim środowisku” – wskazano w materiale RM. Opiekunem Kół oraz Terenowych Biur jest redemptorysta o. Dawid Wilczyński. – To krwiobieg naszej Rodziny. Bez tego krwiobiegu nie byłoby Radia Maryja – a przede wszystkim bez Błogosławieństwa Bożego, bo to ono jest na początku i ono jest dla nas najważniejsze – wyjaśnia. Koła Radia Maryja powstają przy parafiach za zgodą proboszczów, nie ma jednak oficjalnej informacji o liczbie kół, a także ich członków. Wiadomo, że w pielgrzymkach RRM bierze udział zazwyczaj co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób. Na 13. pielgrzymkę w roku 2005 przybyło ok. 500 tys. wiernych. W ramach swojej działalności koła propagują słuchanie Radia Maryja, wspólnie się modlą, kolportują materiały informujące o radiu, a także czynnie angażują się w działalność swoich parafii.

Członkowie kół organizują też pielgrzymki do sanktuariów maryjnych. Poszczególne „oddziały” mogą indywidualnie organizować różne wydarzenia – pokazy filmów, prelekcje czy comiesięczne zebrania.

Bardzo ważnym elementem działalności kół jest aktywizacja osób starszych, które nawiązują w ten sposób relacje i mają poczucie wspólnoty, a także misji. Działają też Koła Młodzieżowe. „Należy znaleźć kilka osób w swoim środowisku (klasa, szkolna, parafia, ruchy formacyjne, uczelnia, akademik, rodzina), które podzielą Wasze pragnienia i chcą spróbować robić razem coś dobrego” – czytamy w dokumencie pt. „ABC Młodzieżowych Kół Przyjaciół Radia Maryja”. Koło dla młodszych „współpracuje z Radiem Maryja w podejmowanych i proponowanych inicjatywach”, „animuje spotkanie



Uroczyny Radia Maryja w Toruniu, 7 grudnia 2024 r. FOT. EAST NEWS

modlitewne i formacyjne Rodziny Radia Maryja” oraz uczestniczy w życiu parafii.

Ważnym elementem RRM są Podwórkowe Kółka Różańcowe Dzieci. To modlitewny ruch założony w roku 1997 przez niepełnosprawną, wówczas dziewięcioletnią Magdalenę Buczek. Mottem kółek, które udało się utworzyć w 31 krajach, jest hasło „Nie ma dnia bez modlitwy, nie ma tygodnia bez Eucharystii, nie ma miesiąca bez spowiedzi”. Według danych ze strony PKRD należy do nich ok. 140 tys. dzieci. Buczek podkreśla, że jej inicjatywa to wprost odpowiedź na wezwanie Matki Bożej Fatimskiej z 1917 r.

WSPÓLNE ŚWIĘTOWANIE

Co roku w grudniu sympatycy toruńskich mediów gromadzą się na obchodach rocznicy powstania Radia Maryja. – Rodzina Radia Maryja wpisuje się w nauczanie Kościoła i realizuje zadania, które zostały ukazane przez Kościół. Wasza działalność, wasza misja, nasza misja, którą pełniemy jako Rodzina Radia Maryja, to budzenie nadziei, umacnianie nadziei. Można powiedzieć, iż Rodzina Radia Maryja jest misjonarzem nadziei. Bardzo gorąco wam za to dziękuję. To, że ucisk i cierpienie spotykają tych, którzy głoszą Dobrą Nowinę, prawdę o Jezusie Chrystusie, to jest rzecz normalna. Mówił o tym już św. Paweł Apostoł, który podkreślał, że ucisk rodzi wytrwałość, a wytrwałość wypróbowaną cnotę, a wypróbowana cnota nadzieję. Odwagi! Życzę Wam wiele cierpliwości, wytrwałości, ale przede wszystkim nadziei i miłości do Pana Jezusa – mówił o. Dariusz Paszyński CSsR, prowincjał Warszawskiej Prowincji Redemptorystów.

Pani Ewa, uczestniczka ostatnich uroczystości, tak opowiadała o tym, czym jest dla niej furtka głód: „Wszystkim, jest taką furtką radości i życia”. Z kolei pani Wioletta stwierdziła, że bycie częścią Rodziny RM to przede wszystkim poczucie wspólnoty. – Dla mnie kojarzy się jako wielka wspólnota osób wierzących, osób zgromadzonych wśród ludzi z pełnymi wartościami. Ludzie jednoczący się z Bogiem tworzą jedną wielką rodzinę – wskazała w rozmowie z TV Trwam. Obecna na 33. urodzinach rozgołni pani Jadwiga z Płocka opowiadała, że jest z Radiem od początku. – Spotykamy się zawsze w każdą trzecią środę miesiąca w stałych intencjach Radia Maryja. Przed Mszą św. jest modlitwa, a po Mszy św. spotykamy się w sali na plebanii na takie „rozmowy niedokończone” – wskazała.

RRM jest zjawiskiem dostrzeganym przez polityków. – To jest niezwykle doświadczenie, kiedy człowiek jest chory, i to na chorobę, w której nie jest się faworytem, jeśli chodzi o zwycięstwo finalne; słyszy to wsparcie i odczuwa je, a przede wszystkim czuje, że nad wszystkim jest moc Pana Boga – mówił podczas spotkania były minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, sympatyzujący ze środowiskiem o. Rydyzka. – Blisko cudu było moje wyzdrowienie z choroby bardzo ciężkiej, śmiertelnej, związanej z nowotworem z przerzutami. Dlatego jestem tak bardzo wam wszystkim wdzięczny za ten dar, który z modlitwy wpływał, za Bożą opiekę i za wspaniałych lekarzy, których dzięki łasce Pana Boga spotkałem – dziękował.



Do uczestników uroczystości zwrócił się prezydent. „Dziękuję całej Państwa społeczności za wierną, dobrą służbę Bogu i Ojczyźnie. Poprzez swoje działania Rodzina Radia Maryja umacnia bowiem jedność naszego narodu oraz siłę niepodległej Rzeczypospolitej. Serdecznie gratuluję znakomitych osiągnięć, które stały się Państwa udziałem. Można je mierzyć zasięgami audycji wśród odbiorców, nakładami publikacji, frekwencją na rozmaitych wydarzeniach, ale najcenniejszych ich świadectwem jest entuzjazm, wdzięczność i przywiązanie milionów ludzi, którzy z potrzeby serca identyfikują się z tymi dziełami i z poświęceniem angażują w ich rozwój” – napisał w liście Andrzej Duda.

Głównym świętem Rodziny Radia Maryja jest obchodzone latem „Dziękowanie w Rodzinie”. Impreza jest organizowana w toruńskim Porcie Drzewnym obok siedziby Akademii Kultury Społecznej i Medialnej – uczelni założonej przez o. Rydzyka. Wydarzenie ma charakter piknikowy. Obok modlitwy są stoiska z żywnością ekologiczną, górskimi kozuchami, kuchnia polowa i grill, a także wspólna zabawa. Podczas ostatniej edycji na scenie wystąpili zespół Bayer Full, Jacek Silski oraz zespół Zajazd. Goście korzystali z tętni solankowych znajdujących się na terenie Parku Pamięci (na 100 trzy-metrowych postumentach oddano tam hołd Polakom ratującym Żydów i sprawiedliwym Ukraińcom). – Kochani, jak podawałem Komunię Świętą, widziałem w waszych oczach ogromną miłość. To jest tak piękne. Widać wiarę i miłość. Niech Pan Jezus działa, On zrobi cuda – mówił do słuchaczy podczas Mszy św. dyrektor Radia i Telewizji Trwam.

Nie zabrakło odniesień do polityki. – Będą głosowali w Sejmie, żeby się chłopcy żenili. Czy to nie wstyd? Żeby się kobiety żeniły ze sobą – wskazywał krytycznie duchowny. – Hańba! – krzyknął któryś z wiernych, co spotkało się z odpowiedzią o. Rydzyka. – Nie krzyczcie, tylko do roboty się wziąć. Modlitwa i ewangelizacja. Nie czekać na biskupa czy księdza. Ty jesteś w tym środowisku. Mów, rozmawiaj, modlić się. Książkę dać dziecku – pouczaj. – Nie zniechęcajcie się. Widać w waszych oczach miłość do Pana Jezusa, On nas nie zawiedzie – dodał redemptorysta.

W Rodzinie Radia Maryja wszystkie „dzieci” są równe, ale, co widać w kolejnych przemówieniach, „ojcem” mającym zawsze głos rozstrzygający jest właśnie Tadeusz Rydzyk. Założyciel Radia często ruga słuchaczy, zwraca im uwagę, nie boi się krytykować, choć na koniec dodaje, że to wszystko dla dobra ich i Polski.

PEŁEN PAKIET

Kolejną płaszczyzną integracji członków radiomaryjnej Rodziny jest comiesięczny program w Telewizji Trwam – „W Naszej Rodzinie”. – To czas, kiedy staramy się o to dzieło. Pan Bóg sprawił, że mamy Radio Maryja, natchnął ojca dyrektora, [...] a wielu ludzi w to dzieło się włącza, buduje – za to też dziękujemy. To natchnienie dla nas, abyśmy tym dziełem próbowali natchnąć innych – mówił w marcowym wydaniu jeden z najbardziej rozpoznawalnych redemptorystów związanych ze środowiskiem, o. Grzegorz Moj. Gośćmi byli wykładowcy AKSiM, którzy zachwalali studia na uczelni. Program prowadzi niekiedy sam o. Rydzyk, a jeśli go nie ma, to łączy się ze studium telefonicznie. RRM ma też własny magazyn. Jest to wydawany od 1997 r.

magazyn „W Naszej Rodzinie”. „Kapitulacja elit wobec przemian geopolitycznych”; „Mandale, misy tybetańskie, łapacze snów i inne odloty...”; „Przedwiośnie. Jakie produkty wzmacniają organizm?” – to tytuły niektórych z artykułów.

Rodzina Radia Maryja oferuje swoim członkom pełen pakiet. Zarówno pod względem poglądów, mediów, jak i cyklicznych wydarzeń. Oni oprócz aktywności odwiedzają się datkami, m.in. dzięki którym „imperium” – jak działalność medialną o. Rydzyka określają jego krytycy – trwa. Rozpowszechniony jest jednak wizerunek sympatyka toruńskich mediów jako osoby starszej, bezmyślnie przekazującej całą swoją emeryturę pazernemu redemptoryście.

Termin „moherowa koalicja” został spopularyzowany przez Donalda Tuska. Użył go podczas debaty sejmowej nad exposé Kazimierza Marcinkiewicza w 2005 r. – Polska naprawdę nie jest skazana na, tak jak ją Polska od wczoraj nazywa, moherową koalicję – powiedział szef Platformy Obywatelskiej, odnosząc się do zawiązywanej wtedy koalicji Prawo i Sprawiedliwość-Liga Polskich Rodzin-Samoobrona RP.

To właśnie połowa pierwszej dekady XXI w. była okresem największych kontrowersji wokół Radia Maryja. Przez lata walczono, aby Telewizja Trwam mogła dostać miejsce na multipleksie. Ulicami Warszawy i innych miast przechodziły wtedy wielotysięczne manifestacje poparcia dla stacji. Ojciec Święty Jan Paweł II mówił do rodziny Radia Maryja: „Macie jeszcze dużo do zrobienia w Polsce”. Ojciec Tadeusz Rydzyk mocno wziął sobie te słowa do serca i mimo 80 lat nie zwalnia tempa. Ma ogromne wsparcie i poparcie w swoich „dzieciach”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



ORWELL HUXLEY C.S. LEWIS E.A. POE

Oszłamiająca podróż po literaturze, która zagląda w przyszłość i uczy:

- jak czerpać naukę z przeszłości, by wpływać na obecne decyzje?
- jak zachować człowieczeństwo w dehumanizującym się świecie?

PROMIC

WYDAWNICTWO PROMIC
ul. św. Bonifacego 9/1,
02-914 Warszawa

www.wydawnictwo.pl
sprzedaz@wydawnictwo.pl

22 651 90 54

*Do cen doliczamy koszty wysyłki.



Z prof. dr. hab. José Marią Florênciem, światowej sławy dyrygentem pochodzącym z Brazylii, który od 40 lat mieszka w Polsce rozmawia Radosław Wojtas

Bóg śpiewał, gdy stwarzał świat



FOT. ARCHIWUM JOSÉ MARIÍ FLORÊNCIA

RADOSŁAW WOJTAS: Jesień 1985 r. Przyjeżdża pan profesor z gorącej i kolorowej Brazylii do kraju za żelazną kurtyną, w którym zimą temperatury spadają do -30 st. C, w którym panuje dyktatura, a na gości z Zachodu zostających tu na dłużej władza patrzy podejrzliwie i zachodzi w głowę: szpieg czy wariat?

PROF. DR HAB. JOSÉ MARIA FLORÊNCIO: Ani szpieg, ani wariat. Zresztą nie przyjechałem na tak długo, bo na rok, dwa lata.

A niebawem minie lat 40. Zanim zapytam, dlaczego pan został, proszę powiedzieć, dlaczego pan przyjechał?

Ta historia zaczyna się parę lat wcześniej, kiedy wyjechałem z rodzinnego miasta i jako młody człowiek podjąłem pracę altowiolisty w jednej z najlepszych

wówczas orkiestr w Brazylii: OSMG – Orquestra Sinfônica de Minas Gerais. Płacili bardzo dobrze, dzięki czemu mogłem spełniać swoje cele i marzenia. Nauczałem altówki, podjąłem studia dyrygenckie, stworzyłem fundację i własną orkiestrę, kształciłem się w Brazylii, Nowym Jorku i Wiedniu... W wieku 20 lat byłem już cenionym muzykiem o stabilnej sytuacji finansowej. OSMG tworzyli muzycy 17 różnych narodowości. Dwoje z nich pochodziło z Polski: pierwsza skrzypaczka oraz jej mąż, fagocista. I to oni, obserwując moją karierę, powiedzieli mi: „Jesteś bardzo młody, potrzebujesz czasu, szlifu, dobrego mentora i kontaktu z najlepszymi orkiestrami, które nauczą cię dobrych

dyrygenckich praktyk”. Opowiedzieli mi o chłopaku, który był na stażu w Polsce i był z niego bardzo zadowolony. Tylko że ja tego chłopaka znałem, grałem pod nim, i nie podobało mi się, jak dyrygował. Pomyślałem, że nie jest to najlepszy przykład.

A co pan myślał o Polsce i o wyjeździe z Brazylii?

Pomyślałem, że Polska jest komunistycznym krajem, bez coca-coli, zimnym, położonym gdzieś między Paryżem a Moskwą. Dlaczego miałbym tam jechać? A moi przyjaciele na to: „A dlaczego nie?”. Złożyłem aplikację. Odpowiedź przyszła mniej więcej po roku, gdy grałem już w innej orkiestrze, w innym mieście.



Miałem dwa tygodnie na to, żeby pojawić się w Warszawie. Kupiłem bilet w jedną stronę.

Okęcie, rok 1985, przełom września i października. Łąduje pan i...

Złapałem taksówkę i zacząłem szukać hotelu, w którym mógłbym spędzić noc, a następnego dnia dowiedzieć się, co akademia ma mi do zaoferowania. Jeździeliśmy od hotelu do hotelu dobrą godzinę i wszędzie powtarzała się ta sama sytuacja – mówili mi, że nie ma miejsc. Pomyślałem, że to dziwne, bo hotelowe okna były ciemne, nie paliło się światło.

Kłamali? Dlaczego?

Żeby obcokrajowiec, szczególnie z Zachodu, mógł zatrzymać się w hotelu, rezerwację musiał kupić jeszcze w konsulacie PRL w swoim kraju i dostać specjalne skierowanie do hotelu. Był to pierwszy etap kontroli gości z zagranicy. Poza tym komuniści musieli mieć pewność, że obcokrajowiec będzie mógł zapłacić w dolarach 20-krotność ceny, którą płacili turyści z demoludów, i blisko 40-krotnie więcej, niż płacili Polacy. Ale prawdziwym powodem – o czym dowiedziałem się później – było to, że zbliżał się zjazd PZPR w Warszawie i wszystkie zarezerwowane na te dni pokoje musiały pozostać puste, żeby można je było bardzo dokładnie przeczesać.

No tak, podejrzany obcokrajowiec, może chce podłożyć pluskwę, podsłuchać towarzyszy...

Prawda? Niebezpieczeństwo mogące wywołać trzecią wojnę światową! (śmiech) Na szczęście pod jednym z hoteli zaczęła mnie pewna pani, która mi wyjaśniła, że choćbym szukał do rana, to i tak nigdzie nie znajdę miejsca, ale w jej „prywatnym hotelu” to co innego. Popatrzyłem, pomyślałem, uznałem, że ta na oko 80-letnia kobieta raczej nie stwarza zagrożenia, i zamieszkałem w pokoju, którego mi użyczyla. Jak usłyszałem, że chce za 7 dol. za dobę, to padłem na kolana i podziękowałem Bogu za moje szczęście. W hotelu musiałbym płacić 40 dol. za dobę. Dopiero później się dowiedziałem, że mieszkając tam przez tydzień, zostawiłem jej – jak na PRL-owskie realia – małą fortunę. Kiedy zapytałem taksówkarza, który woził mnie przez godzinę, ile płacę, ten zawstydzony, że zdiera za mnie skórę,

zapropował 3 dol. Upewniłem się: „Ile?” A on zmieszany: „Trzy dolary? Może być?”. Dałem mu 5 dol., był zachwycony.

Następnego dnia na Akademii Muzycznej poznałem niezwykle człowieka, prof. Henryka Czyża. Sympatia między nami nawiązała się w pierwszej sekundzie. Później przyjeżdżałem do niego na zajęcia z Łodzi, gdzie zamieszkałem, bo tam miałem możliwość nauki języka. Profesor okazał się niezwykle ważną osobą w moim życiu, co jest o tyle zabawne, że bardzo nie chciałem trafić w jego ręce, bo to on był profesorem tego stypendysty, którego dyrygowanie mi się nie podobało.

Ile słów po polsku potrafił pan wtedy wypowiedzieć?

Ani jednego. Ale nie było to poważnym problemem, bo Polacy okazywali mi dużo wyrozumiałości. Ładował w Polsce jakiś kolorowy ptak z Brazylii, którego wszyscy chcieli poznać, którego zapraszali do swoich domów na weekendy i na święta. Nie doświadczyłem tego ani w Nowym Jorku, ani w Wiedniu, z całą pewnością nie doświadczyłem w Niemczech, może w Hiszpanii czy we Włoszech. Ale i ja dawałem dużo od siebie. Jeżeli ktoś chce się dobrze poczuć w obcym kraju, to musi sprawić, żeby ten kraj przestał być dla niego obcy, a zatem musi go dobrze poznać – jego język, literaturę, historię, kulturę, tradycje...

Co pana zatrzymało w Polsce na 40 lat?

To był naturalny proces. Po roku spędzonym w Łodzi przeprowadziłem się do Warszawy. Kiedy zadzwoniliśmy z przyjaciółmi do prof. Czyża, by złożyć mu życzenia na Boże Narodzenie, ten powiedział, że ma dla mnie prezent: „W lutym zadyryguje pan koncert z orkiestrą Filharmonii Łódzkiej, a w kwietniu z orkiestrą filharmonii w Bydgoszczy”. A ja nawet nie wiedziałem, gdzie leży Bydgoszcz, myślałem, że to Białystok. Mój pierwszy koncert w Łodzi zebrał bardzo dobre recenzje, dostałem po nim 60 zaproszeń na kolejne dwa lata. Zacząłem podróżować z polskimi orkiestrami po Europie i po trzech latach od wyjazdu z Brazylii miałem już zadyrygowane koncerty na wszystkich kontynentach. Skończyłem tu studia, bo mój profesor bardzo chciał, żebym był „przedstawicielem polskiej szkoły muzycznej”. I usilnie pracowałem

nad tym, abym został w Polsce na stałe, a że opracował na to cały misterny plan, dowiedziałem się dopiero po 13 latach. W Łodzi poznałem moją żonę, założyłem rodzinę, zapuściłem korzenie.

Jest pan otwarty na to, co przynosi życie.

Nie jest tak, że za każdym razem podda się fali, ale zawsze potrafiłem zaufać temu, co się przede mną otwiera. Wierzę, że nic się nie dzieje przypadkowo. Urodziłem się w rodzinie, w której nie było żadnego muzyka, w mieście, w którym do dziś nie ma profesjonalnej orkiestry. Pewnego dnia, gdy miałem siedem lat, obudziłem się i powiedziałem sobie, że będę dyrygentem w Europie. Nie, że chciałbym być. Że będę! Nie opowiadam o tym często, bo ludzie będą mówić, że artystyce trochę się pomieszało w głowie, ale to było tak silne przeświadczenie, że tego samego dnia poszedłem do miejsca, gdzie uczono muzyki, i się zapisałem. Zresztą nie tylko siebie, lecz także mojego brata oraz trzy siostry. I rodziców. Wróciłem do domu i oświadczyłem: „Bracie, od jutra uczysz się gry na trąbce, a ty siostrzo na puźonie” itd. Rodzice w szoku: „Jakim prawem? Co ty sobie myślisz?”. „A wy – odpowiadam rodzicom – we wtorki i czwartki wieczorami macie próby chóru”. Najwyraźniej już w wieku siedmiu lat byłem dyrygentem dyktatorem.

Przyjechał pan do Polski w jej nie najlepszych czasach, jesienią, zamieszkał pan w Łodzi... Powiedziałbym, że zaczął pan poznawać Polskę raczej z mniej korzystnego profilu. Miał pan momenty, kiedy chciał pan pakować walizki?

Przy Rio de Janeiro – miejscu, w którym gdziekolwiek się spojrzy, tam jest ekstaza kolorów, drzewa mają niezwykle intensywnie zieloną barwę, gdzie jest pełno życia, słońca itd. – Łódź faktycznie wypadła szaro. Po dwóch miesiącach poczułem, że zaczynają mnie dopadać nostalgia i smutek. Postanowiłem, że nie poddam się temu. Poszedłem do fryzjera, założyłem najlepszy garnitur i kupiłem bilet w pierwszym rzędzie w filharmonii. Po bardzo udanym koncercie – dyrygował wspaniały dyrygent Andrzej Markowski, orkiestra zagrała m.in. słynny koncert Czajkowskiego na fortepian – powiedziałem sobie: „No to teraz nie będę sobie żałował, zjem kolację w najlepszej restauracji i wydam na nią tyle, ile trzeba”. Czyli



▀ pewnie jakieś 2 dol. Wszystkie restauracje były jednak pozamykane, włączyłem się po mieście, aż wreszcie wylądowałem w jakimś bufecie na Dworcu Fabrycznym. Zamówiłem kanapkę z jajem, herbatę i musiałem wyglądać pociesznie, bo pani sprzedająca w bufecie, jedyna obecna tam osoba oprócz mnie, wyciągnęła spod lady jakąś flaszkę i mi ją wręczyła bez słowa. Do akademika wróciłem pieszo.

Kanapka z jajem na Fabrycznym pomogła?

Ten wieczór niespecjalnie mi pomógł, ale jakoś przegnałem czarne chmury i już nigdy później nie miałem podobnego momentu. Kiedy zadawałem sobie pytanie, dlaczego miałbym zostać w Polsce, wtedy przychodziły mi do głowy m.in. nazwiska moich największych muzycznych autorzytetów. Dlaczego Polska? Z powodu Szymanowskiego, Penderieckiego, Lutosławskiego, Chopina, Wieniawskiego, z powodu Maksymiuka, Skrowaczewskiego, Semkowa, Henryka Czyży. Z powodu Filharmonii Narodowej, z powodu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, z powodu Sinfonii Varsovii. Z powodu Kieślowskiego, z powodu Zanussiego, nie mówiąc nawet o literaturze, o poziomie matematyków Uniwersytetu Warszawskiego, o znanej na całym świecie szkole logiki UW, zarówno w matematyce, jak i w filozofii, etc. Jest to bogactwo, którym nie każdy kraj może się poszczycić. Polacy często nie wierzą, że ktoś świadomie decyduje się tu żyć. Raczej myślą: nie wyszło mu.

Brazylijczycy dzielą muzykę na música erudita („muzyka uczona”) i música popular. Jakiego podziału pan dokonuje? Czym właściwie jest muzyka?

Muzyka nie dzieli się na poważną i rozrywkową. To z jednej strony krzywdzące dla muzyki szufladkowanie jako „klasyczna”, „poważna”, „erudycyjna”, a z drugiej strony krzywdzące jest to, że całą pozostałą muzykę nazywamy rozrywkową. A muzyka jest jednym wielkim fenomenem i dzieli się jedynie na dobrą i złą. Jest fenomenem obejmującym mnóstwo aspektów jednocześnie. Nie ma żadnego obszaru życia, żadnego miejsca na świecie, w żadnym momencie – bez muzyki. Nawet jeśli gdzieś nie słyhać żadnego dźwięku, człowiek nie słyszy nawet własnych myśli, to brak dźwięków nie jest brakiem muzyki. Jest pauzą. Łą-

czenie dźwięków, które ma formę i treść, nie jest muzyką. To jeden z jej aspektów – utwór muzyczny. Orkiestra symfoniczna nie jest muzyką. Muzyka jest fenomenem artystycznym, ukazującym jej wszechobecność w naszym życiu. I myślę sobie, że kiedy Bóg stwarzał świat, to On wtedy nie mówił. On śpiewał!

Kultura staje się dziś areną ostrych podziałów, m.in. ideologicznych i politycznych. Czy muzyka również? Czy muzyka może dzielić?

Muzyka potrafi dzielić, ale spośród wszystkich sztuk jest tą, która potrafi najsilniej łączyć. Dam panu przykład. Kiedy byłem szefem Filharmonii Poznańskiej, organizowaliśmy koncerty pod hasłem „Muzyka łagodzi obyczaje”. Odbywały się zawsze w dniu wyborów, zaczynały się o godz. 18 i trwały mniej więcej do zamknięcia lokali wyborczych. Zapraszaliśmy przedstawicieli wszystkich komitetów wyborczych. Przez chwilę wszyscy byli razem. Gdyby tam siedział przedstawiciel Komunistycznej Partii Chin i republikanin ze Stanów Zjednoczonych, to obaj słyszeliby tego samego Chopina. Każdy by go przetrwał po swojemu, ale przez tę krótką chwilę żyłby tym samym, co osoba siedząca obok, bez względu na to, kim ta osoba jest.

Z czego lub kogo, jeśli chodzi o muzykę, Polska może być dziś szczególnie dumna?

Mamy wiele powodów. Co pięć lat organizowany jest Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina, który za każdym razem stoi na niebotycznie wysokim poziomie. Coraz młodszy pianiści grają Chopina coraz lepiej. Dziś nie gra się jego muzyki tak, jak grało się ją jeszcze 10 lat temu. W ciągu ostatnich 20, 30 lat polska opera dokonała skoku jakościowego. Teatr Wielki jest dzisiaj w zupełnie innym miejscu, niż był jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Ale nie tylko on, lecz także Warszawska Opera Kameralna, Polska Opera Królewska, teatry rozsiane po całej Polsce. Wszędzie na świecie coraz trudniej o nowe nagrania płytowe, bo jest to coraz droższe, a pieniędzy jest na ten cel coraz mniej. W tym samym czasie produkcja nagrańowa Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina jest imponująca! Ogromna liczba świetnych płyt, które sprzedają się na pniu na całym świecie. Moja ostatnia płyta została nagraniem miesiąca magazynu

BBC, natychmiast puszczały ją największe radio na świecie. To wszystko w sytuacji, kiedy np. Sony Classical w zasadzie tylko remasteruje stare nagrania.

Nie ma w tym żadnego przypadku, bo w ostatnich dziesięcioleciach cała Polska dokonała skoku cywilizacyjnego. To wszystko musi iść razem. Gdy byłem szefem Filharmonii Poznańskiej, spytano mnie na jednej z konferencji prasowych, kiedy Filharmonia Poznańska będzie jak New York Philharmonic. Odpowiedziałem, że sekundę po tym, gdy Uniwersytet im. Adama Mickiewicza będzie jak Uniwersytet Columbia, gdy Teatr Wielki w Poznaniu będzie jak Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdy Lech Poznań będzie przynajmniej na poziomie Flamengo z Rio de Janeiro. Filharmonia wygląda tak, jak wyglądają ulice miasta, w którym działa. Zajmijmy się całym miastem, a wyniesiemy w górę także filharmonię. I robimy to. Możemy być dumni z poziomu polskiej kultury, nie tylko muzycznej. My, Polacy, jesteśmy bardzo podzieleni. Bujamy statkiem, na którym wszyscy płyniemy, ale jakimś cudem potrafimy nim tak sterować, by płynął do przodu i nie roztrzaskał się o skały.

Kiedy pierwszy raz powiedział pan o sobie per Polak?

Nie pamiętam dokładnie, ale kiedy pierwszy raz nazwałem siebie Polakiem, miałem głębokie przekonanie, że nim jestem. Chyba było to wtedy, gdy zauważyłem, że te wszystkie cechy Polaków uważane za wadliwe, są również częścią mnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

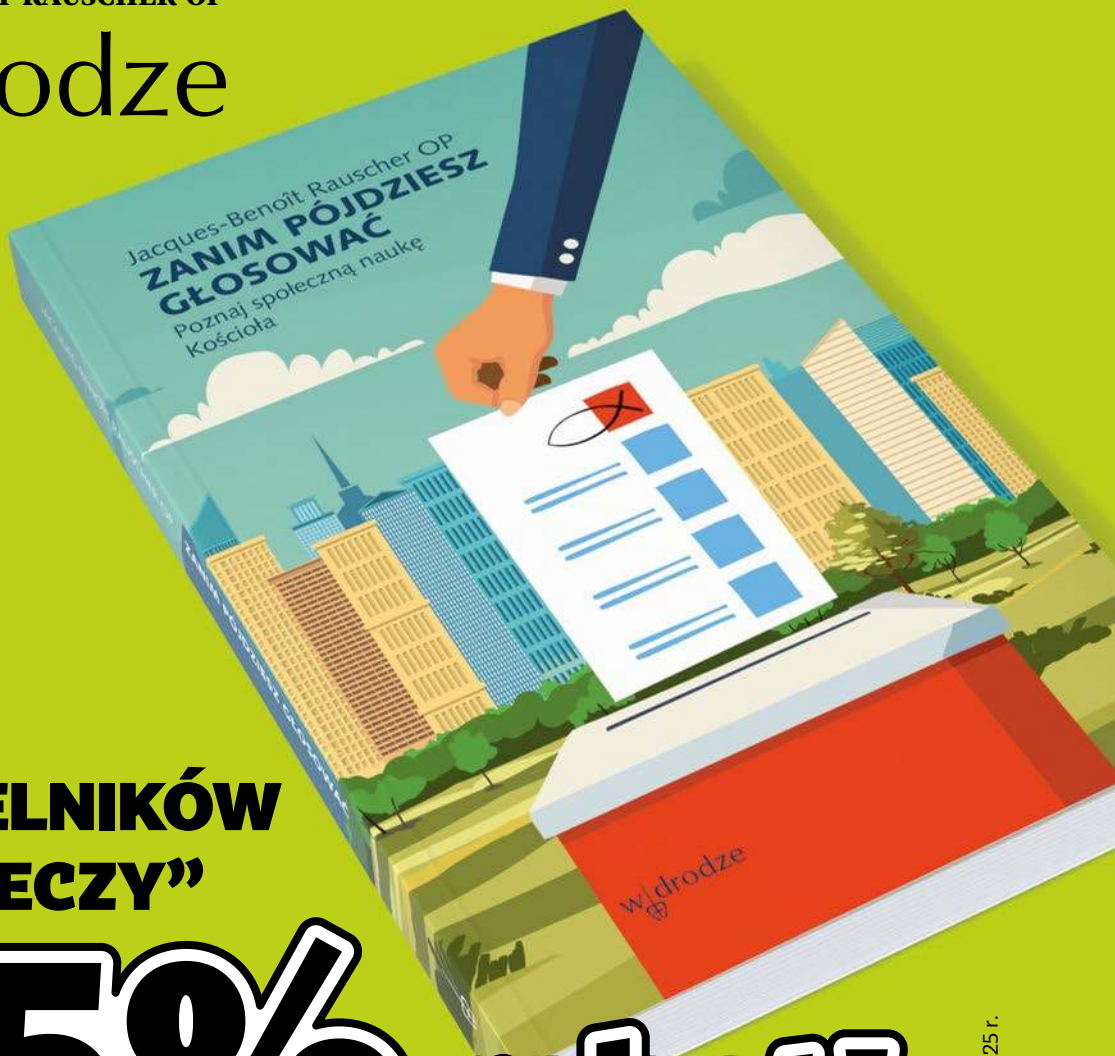
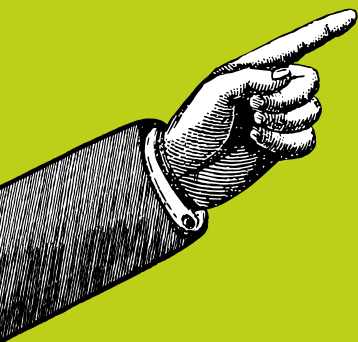
prof. dr hab. José Maria Florêncio – dyrygent, altowiolista, kompozytor, jedna z czołowych postaci polskiego świata muzycznego, profesor belwederski. Absolwent Uniwersytetu Minas Gerais w Belo Horizonte, Akademii Muzycznej im. F. Chopina w Warszawie, ukończył wiele kursów mistrzowskich, m.in. w Brazylii, w Juilliard School of Music w Nowym Jorku, Musikhochschule w Wiedniu. Sprawował m.in. funkcję: dyrygenta Teatru Wielkiego w Łodzi i Teatru Wielkiego w Warszawie – Opery Narodowej, dyrektora Muzycznego Opery Wrocławskiej, Teatru Wielkiego w Poznaniu i dwukrotnie Opery Bałtyckiej w Gdańsku, dyrektora naczelnego i artystycznego Orkiestry i Chóru PRiTV w Krakowie i Filharmonii Poznańskiej. Wykładowca Akademii Muzycznej w Poznaniu, przez wiele lat pełnił służbę Konsula Honorowego Republiki Federalnej w Brazylii. Tancerz. Posiadacz drugiego dana w karate.

Otwórz przestrzeń do debaty

Zapoznanie się z tekstami i pojęciami ma służyć podejmowaniu refleksji. Po lekturze tych samych tekstów i w oparciu o te same źródła chrześcijanie mogą się między sobą nie zgadzać w ocenie niektórych programów politycznych. Potrzebna jest więc dyskusja. I temu właśnie służy ta książka – otwarciu przestrzeni do debaty.

JACQUES-BENOÎT RAUSCHER OP

w|drodze



**DLA
CZYTELNIKÓW
„DO RZECZY”**

25% rabat!

Przy zakupie na **wdrodze.pl**, wpisz kod rabatowy: **dorzeczy***

   sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 694 480 625

* Oferta ważna do 30 kwietnia 2025 r.



Piotr Gociek

Dlaczego Oscary trafiają do filmów nijakich? Czemu po każdej ceremonii więcej dyskutuje się o tym, kto nagrody nie dostał? Cóż – w tym wyścigu zwycięzców się nie wybiera. Zwycięzców się kreuje

Zacniemy z innej beczki, ale też o nagrodach: kwiecień roku 1999, wyluzowany Emir Kusturica przyjeżdża do Krakowa na premierę filmu „Czarny kot, biały kot”. Podczas spotkania z dziennikarzami (jestem tam i ja) w kawiarni filmowej Graffiti ktoś pyta o festiwal w Wenecji. Kusturica podpala się natychmiast: „Oni mi tego Złotego Lwa zaje..li!” – huczy znad stołu.

Oni, to znaczy jury. Siedem miesięcy wcześniej 55. festiwal w Wenecji wygrał film Gianniiego Amelio „Cosi ridevano”, podczas gdy Kusturica musiał zadowolić się Srebrnym Lwem (właśnie za energetyczną komedię „Czarny kot, biały kot”). Krytycy i publiczność przyjęli decyzję buczeniem i niedowierzaniem. Panowało powszechne przekonanie, że film Kusturicy był o klasę lepszy od wszystkich pozostałych propozycji. No i co? No i pstro. Dzieje kina to także długa historia produkcji, które zdaniem ich twórców i producentów zasługiwały na więcej i którym konkurencja zaszczyty, używając słów Kusturicy, „zaje...a”. Po każdym festiwalu i po każdej ceremonii rozdania Oscarów skrzywdzonych nie brakuje. Choć, jak zauważył kiedyś Morgan Freeman, „bycie nominowanym nie oznacza jeszcze, że zasługujesz na Oscara”, to i tak świat pełen jest złamanych serc oraz zaskakujących werdyktów.

W przypadku festiwalu sprawa jest o tyle łatwa, że już po składzie jury można przewidzieć, którego rodzaju kino może być promowane, a które lekceważone. W 1994 r. w Cannes film „Trzy kolory: Czerwony” Krzysztofa Kieślowskiego nieoczekiwanie przegrał z „Pulp Fiction” Quentina Tarantino. Przewodniczącym jury był Clint Eastwood. Jeśli chodzi o Oscary, to odpowiedzialność rozkłada



się na tysiące członków amerykańskiej Akademii Filmowej (dziś już ponad 10 tys.), a z oscarowymi prognozami bywa bardzo różnie. O tym, kto dostanie nagrodę, decyduje kombinacja czynników, w której od ponad ćwierćwiecza coraz większą rolę odgrywają pieniądze, ale przestrzegalbym także przed niedocenianiem historii samej Akademii i dziejów kompletowania jej składu. Przyjrzymy się temu węzłowi gordyjskiemu na przykładzie tegorocznych decyzji. Ale najpierw krótki przewodnik, jak to się robi.

TAJEMNICA POLISZYNELA

Zanim zostaną ogłoszone nominacje, w swoich przewidywaniach i typach ścigają się krytycy oraz dziennikarze. Za ciekawe i często trafne wskazanie uważane są Złote Globy przyznawane przez przedstawicieli prasy akredytowanych w Hollywood. Głos należy jednak do członków Akademii – każdy z nich może zgłaszać, ale nie w każdej kategorii. Struktura Akademii jest bowiem taka, że mamy w niej 17 branż (aktorzy, reżyserzy, autorzy zdjęć itp.). Nominacje w części kategorii przyznawane są głosami jedynie członków danej branży: aktorzy głosują na aktorów, kompozytorzy na kompozytorów

itd. Jednocześnie każdy członek Akademii ma prawo głosować w kategorii „najlepszy film”. Odrębne reguły rządzią nominacjami dla najlepszych filmów zagranicznych oraz filmów animowanych – tutaj wszyscy członkowie zaproszeni są do wskazania na początek tzw. długiej listy (15 tytułów), z której w drugiej rundzie wybierają filmy nominowane. Kiedy już ogłoszona zostaje lista wszystkich nominacji we wszystkich kategoriach, reguły branżowe tracą znaczenie i w finale każdy członek Akademii może głosować w każdej kategorii.

Czy każdy rzeczywiście głosuje? Tajemnicą poliszynela jest fakt, że niekoniecznie. Czy wszyscy oglądają wszystkie nominowane filmy? Niekórtzy na pewno. Większość, jak sądzę, tylko część z nich: te, które najbardziej interesują ich ze względu na własne doświadczenie zawodowe, lub te, o których jest najgłośniejsze. Akademia robi, co może, żeby ułatwić im zapoznanie się z materiałami: członkowie otrzymują eleganckie boxy z płytami DVD, na których znajdują się nominowane tytuły. Jak wygląda taki box, zobaczyć można choćby na portalu aukcyjnym eBay, właścicielem takiego gadżetu można stać się za mniej niż 100 dol. W przypadku pojedynczych filmów jest dużo taniej.



w Hollywood



FOT. ANDRZEJ STOK

Kim są głosujący? Akademia sama decyduje, kogo wpuścić w swe szeregi. W ostatniej dekadzie czyni to z rozmachem. Jeszcze w roku 2012 liczyła 5,8 tys. członków, dziś – niemal dwa razy tyle. Ma to w dużym stopniu związek z wezwaniami do przebudowy struktury tej instytucji, której zarzuca się, że zbyt wielu jest w niej białych, starych mężczyzn, a zbyt mało przedstawicieli rozmaitych mniejszości (etnicznych, rasowych, seksualnych). Nie zmienia to faktu, że jeśli jesteś 90-letnim aktorem z Teksasu, który uczył się fachu od Ronalda Reagana, i trafiłeś do Akademii, powiedzmy, w roku 1960, to twój głos liczy się tak samo jak głos jakiejś filmowej gwiazdki LGBT, którą do Akademii zaproszono w ubiegłym roku.

Tropicieli politycznej poprawności najbardziej interesują kryteria DEI (Diversity, Equity, and Inclusion), ja chciałbym zwrócić uwagę na to, jak i bez tego różnorodną gromadką są członkowie Akademii. W roku 2024 zaproszono do niej tak różne osoby jak pisarz noblista Kazuo Ishiguro i piosenkarka Taylor Swift; szef Warner Bros-Discovery David Zaslav oraz autorzy niezależnych filmów animowanych, nie mówiąc już o całej masie

agentów czy speców od PR. Wszyscy oni stoją więc w jednym szeregu ze 100-letnią panią od charakteryzacji, której raz w życiu przydarzyła się nominacja do Oscara, powiedzmy w roku 1962, więc też została kiedyś zaproszona. Akademia Filmowa jest emanacją Hollywood, a Hollywood tylko w niewielkiej części składa się z reżyserów i aktorów. Ten biznes daje chleb dużo większej społeczności.

Oznacza to, że próba sterowania werdyktami Akademii poprzez dokooptowanie do niej nowych członków to dzieło, którego nie da się załatwić w rok czy dwa lata (nawet jeśli w ostatniej turze wskazano 700 nazwisk). A gdy już jest w środku, któż może zagwarantować, jak będzie głosował? Myślę, że propagandziści z obozu DEI przeceniają wpływ orientacji seksualnej oraz koloru skóry na gust filmowy. Czy naprawdę jest tak, że Latynosi zawsze głosować będą na Latynosów, kobiety na kobiety i geje na gejów? Partia Demokratyczna przejechała się na takim myśleniu podczas ostatnich wyborów prezydenckich w USA.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Jeśli więc wciąż okazuje się, że oscarowe werdykty zawodzą miłośników postę-

pu nade wszystko, to jednym z powodów są owe niesterowalność, nieobliczalność i pewna konserwatywność gustów sporej części członków Akademii. Wspierająca Kamalę Harris Taylor Swift ma wszak do powiedzenia dokładnie tyle, ile miłośnik broni palnej, steków i zacieklego komunisty John Millius.

Jak zwykle diabeł tkwi w szczegółach. Ciężko przekierować na coś uwagę ponad 10 tys. osób. Ale 100 albo 200? Tu z pomocą przychodzi wspomniany system brązowy. Zacznijmy od najtrudniejszego przykładu: z 17 branż Akademii najliczniejsza jest aktorska: ok. 1,5 tys. członków. Wskazują oni piątki nominowanych w kategoriach aktorskich. Jeśli założymy, że każdy na pewno zagłosuje (co nigdy się nie wydarza), to wystarczy, że zabezpieczymy 300 głosów, by promowany przez nas kandydat trafił do grona nominowanych. A jeśli jakaś branża jest trzy razy mniejsza (większość jest), to 100 głosów wystarczy, by trafić w pomniejszej kategorii na listę oficjalnie nominowanych do Oscara. To już nie takie trudne, prawda? Sto głosów. Wyciągnijmy z tego kreatywny wniosek: Jeśli powtórzymy taki manewr w kilku mniej ważnych kategoriach, to może się za chwilę okazać, że całkiem przeciętny film, który nigdy nie dostanie żadnego głównego Oscara, i tak może się reklamować hasłem „nominowany do nagród Akademii w czterech kategoriach”. Nieważne, że żadna z nich to nie jest „najlepszy film” czy „najlepszy aktor pierwszoplanowy”. Efekt marketingowy i tak będzie spory.

Marketing to słowo kluczowe dla dalszych rozważań. Na pierwszym etapie nie musimy przekonywać wszystkich członków Akademii, by uzyskać korzystny dla naszego filmu rezultat, wystarczą precyzyjnie kierowane kampanie. Potem gra rozkręca się na dobre. Skoro o nagrodach, a nie nominacjach, decydują już wszyscy, a wiemy, że i tak wszystkiego nie są w stanie (lub nie chcą) obejrzeć, to sprawmy, żeby obejrzeli w pierwszej kolejności to, co my mamy im do sprzedania. Producentowi filmu „Anora” Seana Bakera, który zdominował tegoroczne Oscary, rozesłali do członków Akademii dodatkowy, specjalny screener DVD. Było to tylko jedno z wielu działań: łącznie na oscarową kampanię promocyjną wydano 18 mln dol. Budżet samego filmu to... zaledwie 6 mln dol. Bez pieniędzy ani rusz.



Kadr z filmu „Anora”, który zdominował tegoroczne Oscary
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Według ostrożnych szacunków, gdy zliczy się wszystkie wydatki na promocję oscarową filmów w każdym rocznym cyklu, otrzymuje się zawrotną kwotę 0,5 mld dol. Karuzelę rozkręcił jeszcze pod koniec lat 90. XX w. Miramax braci Weinsteinów. To właśnie ta wytwórnia zaczęła wychodzić daleko poza stosowane wcześniej metody promocji (były nimi ogłoszenia w prasie branżowej i zaproszenia na pokazy). Miramax zapoczątkował obyczaj długich wielomiesięcznych promocyjnych tras, do których przymuszał aktorów i reżyserów, rozpoczął targetowanie poszczególnych części akademii, wykorzystywał do promocji politykę i organizacje społeczne. Ale przede wszystkim zmienił zasady gry, wyzbywając się skrupułów. Harvey Weinstein wyznawał bowiem zasadę, że najlepszą metodą zwiększenia szans swojego filmu jest zmniejszenie szans najgroźniejszych konkurentów. Klasycznym przykładem jest szeptana kampania czarnego PR wymierzona w film Stevena Spielberga „Szeregowiec Ryan”. Oparta była na kolportowaniu chwytliwego twierdzenia, że, co prawda, pierwsze minuty filmu, czyli lądowanie w Normandii, to osiągnięcie znakomite, ale zarazem jedyny atut głównej produkcji, bo reszta to nuda. I udało się: Spielberg dostał, co prawda, Oscara za reżyserię, ale w kategorii „najlepszy film” triumfował niespodziewanie „Zakochany Szekspir” Johna Maddena dystrybuowany przez Miramax. A Harvey Weinstein jako producent filmu mógł wnieść w górę swoją statuetkę.

Zainteresowanych kampaniami, przekrętami i spiskami oscarowymi odsyłam do książki Michaela Schulmana „Oscarowe wojny. Historia Hollywood pisana złotem, potem i łzami” (Marginesy 2024). A ja wracam już do tegorocznych werdyktów, żeby wyjaśnić, co się właściwie stało i dlaczego niektórzy z nominowanych mogliby z rozgoryczeniem powtórzyć słowa Kusturicy o tym, że ktoś im coś, hm... zaje.... No tak, ale nie jest dobrze spodziewać się triumfu, gdy nie do końca rozumie się mechanizmy decydujące o triumfach.

Mieliśmy na liście nominowanych filmy bardzo kontrowersyjne: musical LGBT+ „Emilia Pérez” czy manifest amerykański, czyli „Brutaliście”. Mieliśmy filmy kosztowne i zarabiające w kinach krocie, jak „Wicked” czy „Diuna: Część druga”. W piątce filmów z najliczniejszymi nominacjami były też filmy „Kompletnie nieznan” i „Konklawe”. Powszechnie spodziewano się, że decyzje członków Akademii będą okazją do opowiedzenia się przeciw powracającemu na fotel prezydenta Donaldowi Trumpowi. Zatem noga na pedał gazu i naprzd z wychwalaniem mniejszości, politycznymi manifestami itd. Być może gdyby o wszystkim decydowali obsesyjnie antytrumpowi i demonstracyjnie progresywni aktorzy pokroju Roberta De Niro, to mielibyśmy skandal za skandalem (z naszego, konserwatywnego punktu widzenia). Akademia tymczasem zdecydowała, że najbardziej doceni nie manifesty LGBTQ, nie bajki na

temat klasyzmu i rasizmu w krainie Oz, nie syjonistyczną propagandę pomieszaną z nihilizmem i nawet nie szyderę z Watykanu.

Tak się jednak nie stało. Co się wiecej wydarzyło? Wygrana „Anory” to bez wątpienia wielki triumf speców od promocji tego filmu, ale grały tu też rolę inne czynniki. Oprócz wspomnianej niesterowności 10-tysięczną grupą głosujących mamy na pewno do czynienia z faktem, że nie wszyscy w Hollywood chcą być tamtejszymi odpowiednikami Agnieszki Holland lub Andrzeja Seweryna i w zaciszu domu mają własne opinie, niekoniecznie progresywne. Stawiam więc tezę, że eliminowano potencjalne punkty zapalne i tak choćby „Emilia Pérez” z filmu o 13 nominacjach zmieniała się w największego przegranego. Po zrzuceniu z listy tytułów kontrowersyjnych na placu boju został film bezpieczny: o tym, że jak bara-bara, to jednak chłopak z dziewczyną (nieważne, że chodzi o prostytutkę, Hollywood stworzył mit dziwki o złotym sercu), a nie komando transetek. Zdrowy rozsądek i zachowawczość wygrały z demonami progresizmu.

Ale jak w takim razie wytłumaczyć to, że często filmy nijakie wygrywają, nawet gdy reszta konkurencji nie jest tak kontrowersyjna jak w tym roku? Ano zająrzeć trzeba do regulaminu, który premiuje... uśrednianie, a nie wywyższanie. Od roku 2009 głosy w finale liczy się tak: członkowie Akademii zamiast wskazać jeden ulubiony film, muszą przygotować listę. Szeregują nominowane tytuły wedle swych preferencji. Jeśli w pierwszym liczeniu głosów jakiś film dostał więcej niż 50 proc. jedynek, to wygrywa. Jeśli nie, to liczymy znowu, tyle że pula jest mniejsza, bo film z najmniejszą liczbą głosów zostaje wyeliminowany. Czyni się to tak długo, aż po którymś kolejnym liczeniu dochodzimy do filmu, który zdobył ponad połowę głosów – i ten zostaje zdobywcą Oscara w kategorii „najlepszy film”. Akademia Filmowa to kuchnia, w której premiuje się najbardziej potrawę nie najsmaczniejszą, lecz najszerzej akceptowaną. Oficjalnie, w trosce o reprezentatywność (tak głosił komunikat samej Akademii). Nieoficjalnie – żeby zawsze wygrać mogło mniejsze zło. W końcu nie bez powodu w menu niemal każdej restauracji znaleźć można zupę pomidorową.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Idziemy na giełdę,
by budować jeszcze
mocniejsze, niezależne
medium.”*



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.



Nazywam się Jan Paweł Adamczewski, a moją największą ambicją jest stać się najsłynniejszym Janem Pawłem w historii Polski” – zaczyna swój monolog główny bohater hitowego serialu Netflixa „1670”. W kolejnej scenie wygłasza kolejną mądrość: „My, Sarmaci, jesteśmy narodem wybranym. Z wyraźnej woli Stwórcy mamy największe mózgi, serca i fallusy”. Szczerze powiedziawszy, już wtedy, w drugiej minucie, miałem zamiar wyłączyć to arcydzieło humoru (o czym zapewniają nas liczne pochwalne recenzje), ale dotrwałem do minuty siódmej. I wtedy ostatecznie postanowiłem nie dawać „1670” kolejnej szansy. Co mi w tym serialu przeszkadzało i dlaczego od niego zaczynam? Generalnie uważam, że żartować można ze wszystkiego. Nie razią mnie ani dowcipy na temat Jana Pawła II – bo przecież o niego tu chodzi – ani fallusów. Zawsze jednak kluczowe jest pytanie o formę. W tym wypadku odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z serią niezbyt udanych żartów z filmu zrobionego przez licealistów na studniówkę. Jak mawiają stand-uperzy, było to typowe „toczenie beki” (do tego sformułowania jeszcze wrócimy), czyli sztabackie wygłupy, a nie jakaś szczególnie przemyślana satyra. Może bawiło mnie to w ogólniaku, ale maturę zdałem już jakiś czas temu.

Jednak najbardziej irytująca wydała mi się forma filmowa. „1670” to tzw. mockument, czyli inscenizowany dokument komediowy. To dlatego główny bohater mówi do kamery, przedstawiając swoją historię. Jest to forma obca polskiej tradycji filmowej, za to całkiem popularna w świecie anglosaskim. Wystarczy wspomnieć takie seriale jak „Fleabag”, „Współczesna rodzina” czy „Lakers: Dynastia zwycięzców”. W Ameryce i Wielkiej Brytanii uchodzą za kultowe, u nas są raczej niszowe. Bodajże najbardziej znanym mockumentem, a do tego absolutnie przełomowym dla rynku seriali jest brytyjskie „Biuro”, które ze swojego twórcy Ricky’ego Gervaisa uczyniło globalną gwiazdę. To bodaj pierwszy tak popularny serial, którego bohater jest postacią żenującą, by nie powiedzieć – żalną. David Brent, szef tytułowego biura, to cham i idiota jednocześnie. To zaś stanowi doprawdy zabójczą mieszankę. Jednak najgorsze jest w nim, że będąc typowym



Żeby dowcip był dowcipem



Mariusz Cieślak

Nie ma czegoś takiego jak żarty śmieszne obiektywnie. Jedynym miarodajnym kryterium w tej kwestii jest statystyka. To większość decyduje. A większość Polaków, zwłaszcza młodych, śmieje się dziś z innych rzeczy niż kilkanaście lat temu. Amerykanizujemy się również w tej dziedzinie

burakiem, chce uchodzić za dowcipnego luzaka. Chyba każdy z nas zna kogoś takiego i żywi do niego szczerą niechęć. A niektórzy mieli nieszczęście mieć takiego szefa. W zasadzie cały humor serialu oparty jest na czymś, co młodzi ludzie nazywają cringe’em. Widz wręcz wstydzi się za Brenta, obserwując jego chamskie wygłupy. Choć – muszę przyznać – jeszcze śmieszniejsza jest amerykańska wersja „Biura”. Grający w niej główną rolę Steve Carell stworzył z postaci prawdziwą perłę komizmu. Co więcej, znajdziemy w „The Office” (bo pod tym tytułem serial jest znany na świecie) żarty i bohaterów, których dziś nie pokazałaby żadna stacja telewizyjna. Serial był tak niepoprawny politycznie, że po latach podjęto nawet próby cenzurowania niektórych odcinków. Co w sumie nie zaskakuje, jako że np. odcinek o szkoleniu na temat tolerancji zamienia się w festiwal podszytych rasizmem stereotypów, a jedna z istotnych

postaci ma zwyczaj wyzywać ludzi od „pedziów” i „lesb”.

Opowiadam historię „Biura” tak szczegółowo, bo to właśnie polska wersja „The Office” była pierwszym mockumentem zrealizowanym w naszym kraju z sukcesem. Do dziś Canal Plus zrealizował już cztery serie, czyli prawie 50 odcinków. Nie widzieli państwo? Niewielka strata. „The Office PL” jest bladym cieniem wersji brytyjskiej i amerykańskiej. Żarty są bardzo grzeczne i podawane z pozycji wyższościowych. Uniwersalna sytuacja służbowej podległości wobec kretyna zmieniła się w satyrę na polską prowincję, bo Kropliczanka ma swoją siedzibę w Siedlcach. No przecież, he, he, od razu wiadomo, jacy mieszkają tam ludzie.

ZMIANA POKOLENIOWA

Serial nie jest może bardzo popularny, jako że nadaje go niszowy Canal Plus, ale ma swoją publiczność. A poza tym to



„1670” to tzw. mockument, czyli inscenizowany dokument komediowy. Jest to forma obca polskiej tradycji filmowej, za to całkiem popularna w świecie anglosaskim. FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

właśnie w „The Office PL” pierwsze szlify zdobywał twórca scenariusza „1670” Jakub Rużyłło. I tu sukces jest bezdyskusyjny. Netflix to dziś w polskim streamingu, podobnie jak na świecie, numer jeden. Co więcej (to już temat na inny tekst), przejął od TVN rolę wzorotwórczą. Kiedyś publiczność aspirująca do klasy średniej obserwowała wielkowiejski styl życia prawniczki z „Magdy M.”, a dziś przygląda się światu przez okulary Netflixa. Tym istotniejszy jest spektakularny, liczony w milionach odsłon i dziesiątkach nagród sukces twórców „1670”. Z pewnością jest to pierwsza polska komedia, która ze streamingu weszła do popkulturowego mainstreamu i stała się wręcz tematem publicznej debaty.

Co prawda, mam niejasne wrażenie, że w tym wypadku zwolennicy „odbioru historii” debatują sami ze sobą, ale ponoć ludziom o poglądach konserwatywnych serial przeszkadza. „Chodzący mem Jan Paweł, jego synowie, chciwy katabas i niebieski ptak, córka – pretenjonalna aktywistka, ksenofobiczna żona i orbitujące wokół nich postacie zamiast uginąć się pod przygniatającymi ich przyzwyczajeniami, głowy mają uniesione wysoko, ku niebu, bo rozpiera ich niesłuszna duma wynikająca z pogardy dla innych, kłapek na oczach, przekonania o własnej wyższości” – czytamy w pełnym uniesienia peanie Onetu, uzasadniając nagrodę

dla „1670”. Tak zatem ci, którzy debatują z „konserwatywnym polskim kołtunem”, mają ideologiczne powody, by wychwalać serial. Ale doprawdy nie spotkałem się z jakimiś istotnymi głosami umownej drugiej strony motywowanymi światopoglądem. Może i serial przedstawia XVII-wieczną polską szlachtę jako bandę kretynów, a wizja ówczesnej rzeczywistości niepokojąco przypomina komunistyczną satyrę na wyzyskiwaczy, ale przecież to tylko komedia. I nie zafałszowania historii są w niej najistotniejsze, tylko jakość dowcipu. Genialna „Czarna Żmija” z Rowanem Atkinsonem (szerzej znanym jako Jaś Fasola) też nie opowiada prawdy o angielskim dworze w czasach średniowiecza. Jedno mnie śmieszy, a drugie nie. I tak naprawdę nie jest to kwestia światopoglądowa, tylko pokoleniowa. Zarówno „The Office PL”, jak i „1670” fanów mają przede wszystkim wśród ludzi młodych, z tzw. generacji Z. Może także wśród nieco starszych millennialów, ale w mniejszym stopniu.

Wydaje się, że jesteśmy dziś w trakcie przemiany podobnej do tej, która w Ameryce dokonała się w połowie lat 70., kiedy pojawiło się tzw. nowe Hollywood. To wtedy na filmowe salony weszli ludzie wychowani w epoce „dzieci kwiatów”. To oni rozluźnili ciasny gorset zakazów i nakazów. A jednym z efektów tej przemiany było pojawianie się komedii opartych na sztubackich wygłupach w rodzaju serii „National Lampoon” („Menażeria”, cykl „W krzywym zwierciadle”). Wcześniej wysokobudżetowe produkcje to były rzeczy w stylu Billy’ego Wildera i jego „Pół żartem, pół serio”, z przemyślanymi żartami i punktami zwrotnymi. Przekładając to na naszą specyfikę, można powiedzieć następująco: o ile dla starszego pokolenia punktem odniesienia będzie „Ranczo”, najpopularniejszy polski serial komediowy XXI w., o tyle dla młodszych roczników czymś takim będzie „1670”. Widać to już dziś. „Ranczo” opowiadające o polskiej prowincji, z podwójną rolą Cezarego Żaka jako proboszcza i księdza, to nie jest historia dla twórców i odbiorców mockumentów. Jest zbyt serio, za blisko naszej rzeczywistości – jakkolwiek dziwnie by to brzmiało. Tymczasem generacja wychowana na Internecie chce żartów memicznych, takich jak w „1670”. Bo przecież to memy zastąpiły opowiadanie dowcipów.

Warto też dodać, że twórcy nowego Hollywood zatrudnili do głównych ról w komediach swoich kolegów z uniwersyteckich teatrów, takich jak Dan Aykroyd, John Belushi czy Chevy Chase. To oni stanowili trzon pierwszej ekipy programu „Saturday Night Live”. Polska wersja słynnego amerykańskiego „SNL” się nie udała, ale była pierwszą poważną próbą przełamania telewizyjnej hegemonii kabaretów. Kolejnych już chyba nie należy się spodziewać. Bo co prawda z „SNL” się nie powiodło, ale sukcesem okazał się przeszczep innego amerykańskiego fenomenu: stand-upu. Tyle że nie do telewizji, lecz na scenę.

STYPA PO KABARECIE

Gwiazd stand-upu na ekranie nie zobaczymy (chyba że jest to ekran komputera) z dwóch powodów. Najważniejszym jest obsceniczny język ich występów, co najbardziej różni ten gatunek od kabaretu. Drugi to swoista ekskluzywność. Stand-uperzy, którzy zwykle opowiadają o sobie, budują więź z publicznością podczas występów. Podobnie jak raperzy w zasadzie nieprzyjmujący propozycji mediów głównego nurtu. A ci, którym mało kontaktu z komikami na żywo, mogą występy oglądać na YouTube. Najpopularniejszy polski stand-uper, Rafał Pacześ, już dawno przekroczył w sieci 100 mln odsłon swoich programów i w szybkim tempie zbliża się do 200. Jest też rekordzistą, jeśli chodzi o liczbę widzów na solowych występach. Już kilka razy zdarzyło mu się zgromadzić dziewięciotyśiętną publiczność. Niech sobie państwo wyobrażą samotnego faceta z mikrofonem na scenie przemawiającego do tłumu porównywalnego z wielkimi koncertami rockowymi. Dokładnie tak to wygląda. Pacześ jest świetny w kontakcie ze swoją widownią. Od razu wciąga ją do interakcji. „Jak mnie słycać tam z tyłu?” – zaczyna swój hitowy program „Puder do cery zimnej” (44 mln odsłon). – „Ch...wo? Czyli ktoś nie myje uszu”. Można powiedzieć, że to jest stand-upowy dowcip w pigułce. Szybki, prosty żart, a do tego wulgaryzm. Typowe „toczenie beki”. Niczego innego nie należy się tu spodziewać. Trudno to też nazwać widowiskiem. A jednak gwiazdy tego gatunku grają regularnie nie tylko w największych polskich halach, lecz także na stadionach. Na razie na Legii, ale



nie zdziwię się, jeśli wkrótce wyprzedają bilety na Narodowym. Do tego stand-up kwitnie, podczas gdy kabaret umiera.

Odnoszą państwo inne wrażenie? To tylko skrzywienie perspektywy. Owszem, w telewizji kabaret to podstawa. Ten rynek od TVP już jakiś czas temu przejął Polsat i z pewnością władze stacji mają powody do zadowolenia. Ale również na mniejszych kanałach pojawiają się programy z gwiazdami tego gatunku. Telewizja Wp, Red Carpet TV, Zoom, a nawet Puls pokazują kabarety. Problem w tym, że wszyscy te same. Dziś największymi gwiazdami są składy, które sukces osiągnęły za czasów Niny Terentiew w TVP2: Kabaret Moralnego Niepokoju, Neo-Nówka, Ani Mru Mru czy Kabaret Młodych Panów. Wbrew tej ostatniej nazwie są to panowie w wieku mocno średnim. Tuż przed pięćdziesiątką lub nawet po niej. Najmłodsze spośród liczących się ekip kabaretowych składają się z wykonawców, którzy już przekroczyli czterdziestkę, tak jak Kabaret Skeczów Męczących, Smile czy Nowaki. A następców nie widać, bo młodzi wykonawcy wybierają stand-up. W Polsce jest już kilkanaście klubów stand-upowych, są liczne gale i popularne zespoły komików, takie jak Stand-up Polska. Jest też spora grupa gwiazd gatunku, a wciąż pojawiają się nowe. Zresztą wymienieni już Rafał Pacześ, Łukasz „Lotek” Lotkowski czy Mateusz Socha ledwie przekroczyli trzydziestkę. A za plecami zdążyła im już wyrosnąć młodsza konkurencja. Są też wykonawcy, którzy zaczy-

nali od klasycznego kabaretu, jak Abelard Giza, Kacper Ruciński, Grzegorz Dolniak czy Rafał Rutkowski, i zmienili gatunek.

Motywacje wydają się oczywiste. Stand-up jest prostszy i tańszy w eksploatacji. Wystarczy mieć pomysł na tekst oraz miejsce do jego wygłoszenia. Ale jeszcze ważniejsze wydaje się przekonanie, że stand-up jest nowoczesny i ma przyszłość. Kabaret kojarzy się sporej części młodszej generacji z zatechną rozrywką ich rodziców czy dziadków. Nie widzą wielkiej różnicy między Kabaretem Starszych Panów a Kabaretem Młodych Panów, choć dzieli je dobre pół wieku.

OD ŁAZUKI DO RUTKOWSKIEGO

Wydana niedawno książka Jacka Szczerby „Humor z za kulis”, której lekturę polecam wszystkim zainteresowanym specyfiką polskiego dowcipu, ujmując rozgrywką się dziś przemianę symboliczną klamrą. Zaczyna się mianowicie wywiadem z niegdysiejszym gigantem rozrywki Bohdanem Łazuką, a kończy rozmową ze wspomnianym już Rafałem Rutkowskim, który współcześnie odnosi sukcesy jako stand-uper. Jest jednak ciekawym przypadkiem uznanego aktora teatralnego, który zmienił branżę i świetnie sobie radzi w nowej. Łazuka opowiada o swoich mistrzach, przywołując legendę satyryka Jerzego Dobrowolskiego (dziś pamiętanego bodaj tylko jak „dyrektor z zawodu” z filmu Barei, który każe przesunąć jezioro na planie miasta),

i zachwyci się jego króciutką zapowiedzią: „Proszę państwa, trzy słowa: Jerzy Połomski”. A oto typowy żart ze stand-upu Rafała Rutkowskiego. „Córka przynosi staremu ojcu homara z Biedronki. Mówi: »Zobacz, tato«. On w życiu homara nie widział, więc pyta: »Co to jest?«. »Homar z Biedronki«. A on: »K...a, te eksperymenty genetyczne kiedyś nas zaj...ą«. To ja wykropkowałem przekleństwo, które pojawiają się w oryginalnie w pełnym brzmieniu. Ale skoro udało nam się cały tekst o współczesnym humorze napisać bez wulgaryzmu, to niech już tak zostanie. Co różni te dwa żarty? Jeden jest zaskakujący, paradoksalny, inteligentki – rzec by można. Drugi prościutki i plebejski przez temat oraz wulgaryzm.

Łazuka wspominający Jerzego Dobrowolskiego, Kazimierza Rudzkiego czy Ludwika Sempolińskiego odwołuje się od specyfiki i tradycji polskiego komizmu. To postaci już dziś legendarne, ale znane bodaj tylko niedobitkom dawnej inteligencji (choć w czasach ich świetności było zupełnie inaczej) orientującej się w meandrach historii II RP i PRL. Ale cóż, wraz z pojawianiem się klasy średniej i wymieraniem inteligencji znikają też dawne idiomy. Te same, na które powołują się w książce „Humor z za kulis” Jerzy Stuhr, Artur Barciś, Marek Piwowski, Marian Opania czy Janusz Majewski. Oczywiście taka publiczność wciąż istnieje i gdyby Rafał Rutkowski chciał właśnie dla niej grać, wciąż miałby co robić. Ale wybrał inaczej. Jako mój rówieśnik należy do pokolenia, które pamięta, jak powszechnie opowiadano kawały, ale sam mówi o „memizacji dowcipu”.

Cóż, globalizacja ma też takie skutki. Polska specyfika zanika w różnych dziedzinach, a tradycja ulega zapomnieniu. Jeśli chodzi o poczucie humoru, to się amerykańizujemy. Pokolenie wychowane na Internecie i streamingu zamiast kabaretu woli stand-up, ogląda filmiki i memy, zamiast przekazywać sobie anegdoty, a w kinie i telewizji chętnie stawia na gatunki, które przyszyły do nas zza oceanu. Z komedią romantyczną i mockumentem na czele.

Nie ma sensu załamywać nad tym rąk. Po prostu nasz kraj się zmienił, a przemiany technologiczne i społeczne wpłynęły także na poczucie humoru Polaków.



„The Office PL” jest bladym cieniem wersji brytyjskiej i amerykańskiej

FOT. PRZEMEK PĄCZKOWSKI

© Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LISIĘCIEGO

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY
DO KSIĘGARNI
DO RZECZY



KSIĘGARNIADORZECZY.PL



Autor nie kryje swego podziwu dla „Ogniem i mieczem”, „Potopu” oraz „Pana Wołodyjowskiego”. Po raz pierwszy przeczytał je u schyłku epoki słusznie minionej – gdy kończył podstawówkę. Z miejsca uległ czarowi krainy Dzikich Pól, kresowych stanic, rycerzy odpierających najazdy nieprzyjacielskich hord.

SZWEDZKI STÓŁ

Ze sztandarowym dziełem noblisty obcuje systematycznie. Z czasem przyszła mu do głowy myśl, że ów cykl jest jakby niekompletny. Dostrzegł w nim absencję wydarzeń wcześniejszych. Również niezmiernie barwnych i wielowymiarowych. Obfitujących w dramatyczne epizody, waśnie sąsiedzkie, spory dynastyczne, zatargi wewnętrzne... Choćby pomiędzy monarchą dążącym do wzmocnienia państwa a magnatami usiłującymi zachować przywileje. Spektakularne triumfy polskiego oręża tamtej epoki – Kłuszyn, Kircholm czy Chocim – w szerszej świadomości społecznej figurują jedynie hasłowo. Uznał, że warto to zmienić.

Nie był bynajmniej pionierem w kwestii literackich odniesień do Sienkiewiczowskiego opus magnum. Przed laty na podobny koncept wpadł Aleksander Rowiński, tworząc powieść „Pan Zagłoba”, Andrzej Stojowski zaś pokusił się o kontynuację sagi – vide: „W rękę Boga”. Pierwszy stworzył wartką gawędę o młodości postaci wyróżniającej się rezolucją i poczuciem humoru, drugi doprowadził losy bohaterów do wiktorii wiedeńskiej. Stawicki sięgnął po inny okres, który wydał mu się najciekawszy pod względem historycznym. Usiłował też w jak największym stopniu zachować Sienkiewiczowski styl pisania – składnię, staropolszczyznę, łacińskie wtrącenia. Ufa, że sprawił tym entuzjastom „Trylogii” nieco radości.

Motyw przewodni „Mroku Północy” zajmuje konflikt ze Szwecją. „Przedpotopowy”. Bo najazd wojsk Trzech Koron, który mężnie odpiera Andrzej Kmicic, przeistaczający się w wzorca watażki w symbol patrioty, nie spadł na Polskę – o czym często zapominamy – niczym grom z jasnego nieba. Walki z zamorskim sąsiadem trwały już wówczas, z przerwami, od lat 70! Upowszechniła się opinia, że stanowiły plon ambicji Zygmunta III



Powrót Onufrego Zagłoby



Tomasz Zbigniew Zapert

„Trylogia” Henryka Sienkiewicza jest najpoczytniejszą polską serią powieściową w dziejach. Niedawno pojawił się jej prequel. „Korona carów” i „Mrok Północy” wyszły spod pióra Adama Sawickiego, którego tryptyk domkanie – jeszcze w tym roku – „Braterstwo krwi”

FOT. JACEK GILLIGANT/PAP

Wazy, który dla swoich aspiracji politycznych wciągnął Rzeczpospolitą w ten konflikt. Wydaje się jednak, że było to nieuniknione starcie dwóch mocarstw. Pragnących, by Bałtyk stał się ich akwenem wewnętrznym. „Mrok Północy” opisuje inicjację owego sporu, zainaugurowaną nieudanymi negocjacjami zdominowanymi zaborczością Szwecji pod rządami Karola Sudermańskiego. Dzieje wojny inflanckiej wypełniają zaskakujące zwroty akcji, liczne przykłady heroizmu, efektowne pojedynki, błyskotliwe pościgi oraz sytuacje, kiedy logika wykluczała nie tylko zwycięstwo, lecz także ocalenie. Samą zaś bitwę pod Kircholmem można zaś bez przesady – z nawiązaniem do lata roku 1920 – określić mianem Cudu nad Dźwiną.

ROSYJSKA RULETKA

„Korona carów” dotyczy polskiego panowania na Kremlu. Krótkotrwałego, niestety. I tu mamy do czynienia z zarzutem stawianym królowi, że to jego rojenia

spowodowały upadek polskiej władzy nad Moskwą. Tymczasem Zygmunt III, chyba rozważnie, nie zamierzał wystawiać życia następcy tronu na hazard wynikający z nieustannych intryg bojarów mordujących oponentów. Niewątpliwie inicjatywa królewska zastopowała na jakiś czas moskiewski marsz na zachód, motywowany chęcią zawłaszczenia obszaru Wielkiego Księstwa Litewskiego oraz wschodnich krańców Korony.

Dzięki wartkiej narracji „Korony carów” czytelnicy mogą przybliżyć sobie również kulisy dymitriad, oblężenia Smoleńska i triumfu pod Kłuszynem. Dla Rosji te zdarzenia ciągle stanowią olbrzymi kompleks, dla nas powinny być powodem do chwały.

Na kartach „Mroku Północy” możemy bliżej zapoznać się z mało znanymi figurami historycznymi. Zrazu bowiem oś narracji kręci się wokoło Jerzego Farenbacha, wojewody wendeńskiego. Choćż Niemiec z pochodzenia, to był zarazem szczerym polskim patriotą. Od-



dał życie w obronie przybranej ojczyzny. Oczywiście występuje też hetman Karol Chodkiewicz. Właśnie w czasie wojny inflanckiej zdobył największą, acz niespodziewaną sławę. Niewiele osób wie, że przed bitwą pod Kircholmem położenie armii polskiej było tak rozpaczliwe, iż jej wódz chciał się wysadzić w powietrze – w jednym z zamków – aby wstrząsnąć sumieniem szlachty nieskorej do wydatków na batalię.

Mamy, rzecz jasna, bohaterów fikcyjnych, hrabiego Berga czy pana Kołakowskiego tudzież niejaką Konstancję de Lorche, przywołującą lekturę „Krzyżaków”. Natomiast postaciami mającymi odniesienia do rzeczywistości są Julia Kurczówna wraz z braćmi Wasylem oraz Konstantym. W tym wypadku autor wpłata historię pro domo sua. Kurczowie, będący tym samym rodem co Kurcewiczowie, to jego podlascy antenaci, toteż nieprzypadkowo właśnie w tym regionie umieścić on fragment fabuły. Jej personalnym łącznikiem z „Ogniem i mieczem”, „Potopem” oraz „Panem Wołodyjowskim” jest przede wszystkim imię Onufry Zagłoba. Persona tak bardzo kolorowa, osobliwa i wielowarstwowa, że grzechem byłoby ją pominąć.

– Na szczęście Henryk Sienkiewicz, być może podświadomie, zostawił swoim następcom pewną furtkę. W momencie rozpoczęcia „Ogniem i mieczem” jednooki szlachcic ma bowiem prawie 70 lat. Zmierzenie się z jego przeszłością stanowiło dla mnie jednocześnie wyzwanie pisarskie i pole do popisu” – wyznaje w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy” Stawicki.

Postanowił, że towarzyszem Zagłoby zostanie człowiek skrajnie do niego nie-

podobny. Bawidamek i opój, aby osiągnąć cel, winien współpracować z wzorem cnót rycerskich. Jerzy Wołodyjowski ma też tłumaczyć cechy usposobienia, które poznajemy potem w czynach jego potomka Michała, nieustraszonego strażnika Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

GDZIE TURCY, TAM WOJNA

Ten zróżnicowany charakterologicznie, lecz bardzo zgrany tandem powróci w „Braterstwie krwi” obrazującym wojnę polsko-turecką z lat 1620–1621. Znaczoną zarówno druzgocącą kłeską pod Cecorą, okupioną śmiercią hetmana Stanisława Żółkiewskiego, jak i obroną warowni chocimskiej.

Autor dopowiada: – Nie zdajemy sobie sprawy, jak gigantyczne niebezpieczeństwo zawisło wtedy nad nami. Oto młody sultan Osman II planuje wielką wyprawę zbrojną przeciwko Polsce. Zamierza ją unicestwić, aby rozciągnąć panowanie islamu aż po brzeg Bałtyku. Zapobiega temu heroiczna obrona twierdzy chocimskiej. Jednak nie byłoby jej, gdyby nie nadzwyczajna mobilizacja narodów tworzących wieloetniczną Rzeczpospolitą – Polaków, Litwinów i Rusinów. Każda z nacji miała tam swojego bohatera, z którego do dziś powinna być dumna.

Przed czterema laty minęła 400. rocznica tego wydarzenia, tak ważnego dla obrotu koła historii, lecz niestety i w Polsce, i na Ukrainie przeszła ona prawie bez żadnego echa. Czy wyłącznie ze względów pandemicznych?

Prozaik uchyla rąbka tajemnicy, że w jego nowej powieści zaistnieją też figury sienkiewiczowskie: Helena Kurcewiczówna i Michał Wołodyjowski. Skądinąd

Adama Stawickiego droga do literatury prowadziła poprzez dziennikarstwo (pracował m.in. w gazecie „Życie”), podobnie jak Sienkiewicz...

– Absolutnie nie mam zamiaru porównywać się z mistrzem – deklaruje – ale faktycznie praktyka dziennikarska pomaga w tworzeniu książek. Bez wątpienia było mi łatwiej przelewać na papier myśli buzujące w głowie. Nie stało się to jednak szybko. Spróbowałem dopiero podczas pandemii koronawirusa, który przymusowo zamknął nas w domach. Początkowo pisałem do szuflady, a kiedy pierwsze rozdziały spodobały się mojej rodzinie, doprowadziłem „Mrok Północy” do końca. Teraz czytelnicy mają już do dyspozycji także „Koronę carów”, a pod choinkę – jeżeli wszystko dobrze pójdzie – ofiaruję im „Braterstwo krwi” – deklaruje Stawicki.

Należy wyrazić nadzieję, że ta inicjatywa wpłynie na przywrócenie należnej rangi pisarstwu naszego pionierskiego noblisty literackiego, którego spuścizna jest przez obecnych władarzy III RP (w tym prawnuka Henryka Sienkiewicza!) coraz bardziej deprecjonowana.

– Musimy eksponować zdarzenia utrwalające pozycję Polski albo chroniące jej niepodległość. Nagłaśniać dokonania Stefana Czarnieckiego, Jana Sobieskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Akcentować olbrzymie osiągnięcia Władysława Łokietka, Kazimierza Wielkiego czy Stefana Batorego – stwierdza Stawicki. I konkluduje: – Bo, jak słusznie powiedział Józef Piłsudski: „Naród, który nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, nie zasługuje na szacunek terażniejszości i nie ma prawa do przyszłości”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Radio nr 1 w Polsce

RMF NAJLEPSZA
MUZYKA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE



Być szefem



★★★★★

SEZON 1
„STUDIO”
(„THE STUDIO”)
USA 2025

wyst. Seth Rogen,
Catherine O'Hara,
Ike Barinholtz

Zycie jest ciężkie. Zwłaszcza życie szefa hollywoodzkiego studia. Na przykład jak rozstrzygnąć taki dylemat: wydać pieniądze na zakup praw do wykorzystania w nowym filmie hitu Rolling Stonesów czy raczej na odrzutowiec, którym ekipa będzie mogła latać po świecie, gdy przyjdzie czas na trasę promocyjną? Jak powiedzieć Ronowi Howardowi, że jego trwający niemal trzy godziny film to arcydzieło – o ile wytnie się z niego ostatnią godzinę? I tak dalej.

Matt Remick (Seth Rogen), świeżo upieczony szef fikcyjnego studia Continental, może robić wrażenie ciapy, ale problem tkwi w czym innym. Kocha kino i uwielbia wielkich reżyserów, ale jego główna robota to mówienie

nieprzyjemnych rzeczy ludziom, których podziwia. Marzy o produkowaniu prestiżowych, oscarowych filmów, ale jego posada zależy od tego, czy spełni marzenie właściciela studia (gra go Bryan Cranston) o najgłupszym hicie w dziejach kina. Obiecał mu bowiem hit z Kool-Aid Manem jako główną atrakcją (czerwonym blobem z opakowań popularnego napoju). W dodatku Matt chciałby, aby wszyscy go lubili i poważali, bo ma dosyć lekceważenia. Przez ćwierć wieku pracowitego wspinania się po szczeblach kariery zajmował się głównie podlizywaniem rozmaitym osobnikom, którzy byli ważniejsi od niego. Ale przecież ma złote serce.

Nie sądzę, byśmy znaleźli takiego typu w prawdziwym

Hollywood. Ale taka konstrukcja głównego bohatera sprawia, że serialowa satyra na przemysł filmowy jest udana. Ogląda się to świetnie z dwóch powodów: po pierwsze, wiele sław zagrało samych siebie i dobrze się przy tym bawiło: Martin Scorsese, wspomniany Ron Howard, Charlize Theron, Zoe Kravitz, Steve Buscemi, Anthony Mackie i wielu innych. Po drugie, obsadzeni w głównych rolach Rogen, Ike Barinholtz i Kathryn Hahn nie boją się szarżować i nieźle im to wychodzi. Zwłaszcza ta ostatnia kradnie show jako bezlitosna szefowa działu marketingu.

Studio” nie ześlizguje się w cynizm „Gracza” Altmana, jednakże jest też mniej efekciarskie od serialu „Ekipa”. Jest to satyra na Hollywood, lecz nie szyderstwo. Czyli ten rodzaj bezpiecznej autodemaskacji, jaki amerykański przemysł filmowy lubi najbardziej: tu i ówdzie rozda się parę klapsów, ale nikt na serio nie ucierpi. © ©

GRA TYGODNIA: „INZOI”

Nie kupuję koncepcji tzw. symulatorów życia. Po co te wszystkie prozaiczne czynności (jedzenie, picie, sen etc.) i fajne rzeczy (spotykanie się ze znajomymi, zakładanie rodziny, robienie kariery etc.) w wirtualnym świecie, skoro niektóre musimy, a inne

możemy robić w realu? Ale znam kierowców ciężarówek, którzy w wolnym czasie godzinami grają w „Euro Truck” i rolników, którzy po nocach doglądają swoich gospodarstw w „Farming Simulator”... Fani gatunku mogą się „InZOI” zainteresować. Gra we wczesnym



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

dostępie, niepozabawiona błędów, ale pod paroma względami (np. kreator postaci!) robiąca wrażenie. © ©

Radosław Wojtas

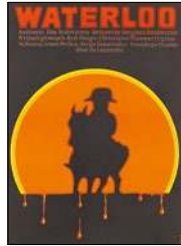
- **Gatunek:** symulacja
- **Platforma:** PC
- **Producent; wydawca:** Krafton



Cesarz w patrzalokach

cda.pl

Napoleon przegrał pod Waterloo, ponieważ musiał się zmagać nie tylko z armiami koalicji, lecz także z fatalną pogodą, chorobą i tępotą podwładnych. Nikt nie pokazał tego dramatu lepiej niż Siergiej Bondarczuk – Ludowy Artysta ZSRS. Wykorzystanie jako statystów sowieckich żołnierzy znacząco obniżyło koszty produkcji, międzynarodowa obsada podniosła jej prestiż, ale w kinach film poległ z kretesem. Być może pecha sprowadził Orson Welles, grający karykaturalnie otyłego (choć niegłupiego) Ludwika XVIII? Z odsieczą pospieszili krytycy, chwalać kadry godne najlepszych malarzy batalistów tudzież szacunek, z jakim scenarzyści potraktowali historyczną materię. Zgadzam się z tą opinią, jednak nie zawracałbym państwu głowy zapomnianą rekonstrukcją bitwy, która sprowadziła Francuzów z powrotem na ziemię, gdyby nie 100. rocznica urodzin Roda Steigera. Gdy wcielił się w Napoleona, miał już na koncie Oscara za rolę twardego gliny w antyrasistowskim kryminale „W upalną noc”. Z urodzenia nowojorczyk, z wyboru wyznawca Metody. Wypłynął jako ekranowy



★★★★★

REŻ. SIERGIEJ
BONDARCZUK
„WATERLOO”
WŁOCHY/ZSRS
1970

gangster. W „Waterloo” uczłowieczył boga wojny, nie ujmując mu zarazem wielkości. Bonaparte jest tu opuchnięty i przedwcześnie postarzały, nosi okulary. Widać po nim deficyt snu i obawę przed utratą wszystkiego, co w życiu osiągnął. Martwi się, jak ocenią go potomni, ale zachował instynkt drapieżnika. „Kto ratuje naród, nie gwałci żadnego prawa” – oto myśl godna despoty, którym w gruncie rzeczy był cesarz Francuzów.

Wellington, pogromca „korsykańskiego potwora”, w interpretacji Plummera jawi się jako postać

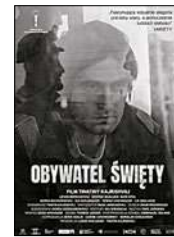
mniejszego formatu, acz charakterystyczna.

Jak przystało na brytyjskiego arystokratę, popisuje się nonszalancją i kostycznym humorem, choć jest wyraźnie zdegustowany rzezią, której stał się współsprawcą. Napoleon poprzestaje na stwierdzeniu, że „widok pola chwały nigdy nie jest piękny”. Młody żołnierz, ogłaszający na polu bitwy bezsens masowego zabijania, wydaje się lepiej reprezentować generację kwiatów niż pokolenie Fabrycego del Dongo. Co ciekawe, Steiger – weteran wojny na Pacyfiku – rok wcześniej odmówił przyjęcia roli gen. Pattona, tłumacząc się odrazą do militarizmu. ©© **Wiesław Chelminiak**

KONIECZNOŚĆ KRZYŻA

KINO

Przepowiednia, że XXI w. będzie stuleciem religii, jeszcze się nie spełniła. Duchowości, traktowanej na serio, w dzisiejszym kinie trzeba szukać ze świecą lub z latarką – jak w historii figury ukrzyżowanego świętego, zdbiającej górniczą hałdę. Ludzie modlą się pod nią i palą znicze w intencji tych, którzy nie wrócili z szczytu. Nawet miejscowi bandyci respektują patrona, który „wie wszystko o wszystkich” i jest trochę podobny do młodego Perepeczki. Pewnej nocy posąg, oddany do renowacji, znika jak kamfora, choć brama muzeum była zamknięta na kłódkę. Zaczynają dziać się cuda, w mieście słychać szum dalekiego morza. Wierzący i sceptycy dostaną to, na co zasługują. Filmowy poemat, zbyt ascetyczny, by zauważyli go szafarze Oscarów, potwierdza hipotezę, że kamienni święci są mniej kłopotliwi od świętych z krwi i kości. ©©



★★★★★

REŻ. TINATIN
KADŽRISZWILI
„OBYWATEL ŚWIĘTY” („MOKALAKE
TSMINDANI”)
GRUZJA/BUŁGARIA/FRANCJA 2023

DO ZOBACZENIA

Pół wieku po hołdzie



RADOSŁAW
WOJTAS

GDZIE? Muzeum
Zamkowe
w Malborku
KIEDY?
do 29 czerwca

Obiecuję i przysięgam, że Najjaśniejszemu Władcy i Panu, panu Zygmunтови, królowi Polski, wielkiemu księciu Litwy, Rusi i wszystkich ziem pruskich panu i dziedzicowi, jako memu przyrodzonemu panu dziedzicznemu oraz dzieciom i następcom Jego Królewskiej Mości, królom i Królestwu Polskiemu będę wierny [...]” – od wypowiedzenia przez Albrechta Hohenzollerna tych słów przysięgi minęło 500 lat.



FOT. MUZEUM ZAMKOWE W MALBORKU

Na zamku w Malborku otwarto wystawę jubileuszową. Podzielono ją na trzy moduły. Moduł pierwszy – historia – opo-

wiada o burzliwych polsko-krzyżackich stosunkach, o rozwiązaniu państwa zakonnego i przekształceniu go w lennika Królestwa Polskiego oraz o konsekwencjach, nie tylko politycznych, które z tego wyniknęły. Moduł drugi – kultura – przybliży „sztukę, kulturę i naukę renesansowego dworu królewskiego oraz jego związki z dworami europejskimi”. I moduł ostatni – pamięć – kultury pamięci w wizjach historyków i polskich artystów. ©©

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Papieska emigracja

Zaczyna się ta autobiografia papieska od zatonięcia w 1927 r. włoskiego statku „Principessa Mafalda” płynącego z Genui do Buenos Aires. Oficjalnie zginęło 300 osób, ale w rzeczywistości na statku płynęła masa nielegalnych emigrantów, prawdopodobnie więc ofiar było znacznie więcej. „Principessa...” mieli płynąć dziadkowie papieża i jego ojciec, mieli już kupione bilety, ale że nie zdążyli spieniężyć splechotka ziemi, który posiadali, musieli odłożyć wyjazd i to, jak się okazało, na dwa lata. „Nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo jestem za to wdzięczny Bożej Opatrzności” – pisze papież Franciszek.

Najciekawsze w tej książce są wspomnienia z lat dziecięcych i młodzieńczych, a w gruncie rzeczy wszystko to, co działo się przed 13 marca 2013 r., kiedy po rezygnacji Benedykta XVI wybrany został na jego następcę Jorge Mario Bergoglio i na pytanie, jakie imię przyjmuje, odpowiedział „Vocabor Franciscus”. Bo jeśli już chodzi o sam pontyfikat, to – mówiąc otwartym tekstem – za dużo mamy w jego opisach globalnego ocieplenia.

Polonica są w tej papieskiej autobiografii nieliczne, choć znaczące. Naturalnie kilkakrotnie wspomniany jest Jan Paweł II, od którego Bergoglio otrzymał kapelusze kardynalski. Przywołana jest nawet jedna, powszechnie zresztą znana anegdota odnosząca się do niekonwencjonalnych zachowań przybyłego za Spizową Bramę „z dalekiego kraju” papieża, który stanie się świętym. Wśród jakże licznych rozsianych po książce cytatów znajdziemy słowa Wisławy Szymborskiej z mocno skądinąd kontrowersyjnego jej wiersza pt. „Nienawiść”. Swoim ulubionym kompozytorem z lat młodzieńczych

nazywa Franciszek Chopina. A dwukrotnie nawiązuje do przemysłu Zygmunta Baumana – o znaczeniu życia we wspólnocie i o „płynnym społeczeństwie”. Tego znanego na Zachodzie socjologa i filozofa, mającego ciemną komunistyczną przeszłość, o czym w Polsce się pamięta, spotkał papież w 2016 r. w Asyżu, co też skwapliwie przypomina.

W papieskiej autobiografii, którą spisał Carlo Musso, natrafiamy na opisy kontaktów tego argentyńskiego duchownego także z innymi ważnymi postaciami swojej epoki, w tym z ludźmi kultury, jak np. z Borgesem, który w latach 60. przyjechał na jego zaproszenie do Santa Fe, gdzie w szkole wyższej nauczał literatury i psychologii. Pisarstwo, ewidentnie, było ważne dla przyszłego papieża, tyle że niektóre z jego literackich wyborów mocno zaskakują. Oto wyznaje np., że od lat chłopięcych bardzo kochał Dostojewskiego. No, zgódźmy się, można autora „Biesów” i „Braci Karamazow” podziwiać, można brać jego koncepcje pod uwagę i dyskutować z nimi, ale zła, kryjącego się na stronach powieści Dostojewskiego, może nie dostrzec jedynie ktoś niesłuchanie naiwny lub naginający rzeczywistość do z góry przyjętej tezy.

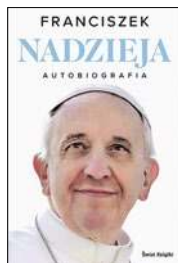
Znacznie mniej kontrowersyjny jest muzyczny gust papieża, przedstawiającego się przede wszystkim jako miłośnik muzyki klasycznej, a także – jakżeby inaczej? – argentyńskiego tanga. Podkreśla też wrażenia, które wywarła na nim Edith Piaf. A cytuje stare włoskie arie, pieśni i piosenki. Pasują zresztą do jego życiorysu słowa: „Mamuś moja. Daj mi ze sto lirów, do Ameryki jechać chcę”. W końcu i jego rodzina opuściła rodzinny Piemont, by za wielką wodą szukać lepszego życia. W latach 20. zeszłego wieku

postąpiły tak miliony mieszkańców Półwyspu Apenińskiego, osiedlając się w Stanach Zjednoczonych, Brazylii czy Argentynie właśnie. Między 1925 a 1929 r. do Buenos Aires przyplęnęło 200 tys. Włochów, w tym przodkowie papieża. On urodził się oczywiście już w Argentynie i tam jest jego ojczyzna, ale emigrantem czy potomkiem emigrantów czuł się zawsze. I o tym trzeba pamiętać, gdy patrzemy na Franciszka i oceniamy jego pontyfikat.

Jest papież człowiekiem nieodcinającym się od kultury masowej. Przeciwnie, pasjonuje się np. filmem, szczęśliwie gustując w obrazach zrealizowanych dawno temu, w czasach gdy kinematografia bywała, i to nierzadko, sztuką. Często posiłkuje się scenami z wybitnych filmów swojej epoki, by zobrazować roztrząsane kwestie, i wtedy pomocni stają się Bergman i Fellini czy taka np. „Uczta Babette”, ekranizacja opowiadania Karen Blixen.

W dzieciństwie uwielbiał piłkę nożną, pozostając wiernym kibicem San Lorenzo, ale meczów tego klubu z Buenos Aires nie oglądał od niepamiętnych czasów, podobnie jak zadnych innych, choć ceni futbol i z pasją o nim pisze. A jednak nie odróżniał Messiego od Mascherano, tak przynajmniej utrzymuje. A ma to niewątpliwie związek ze ślubowaniem, które złożył 35 lat temu Matce Bożej z Karmelu, gdy wstrząśnięty ponurą sceną widzianą w telewizji przysiągł nie zasiadać odtąd przed szklanym ekranem. Złamał ten ślub, do czego się przyznaje, ledwie kilka razy, w tym po katastrofie lotniczej w Buenos Aires w 1999 r. i po zamachu na WTC 11 września 2001 r.

Z licznych wskazań, jak postępować w życiu, najbardziej trafiło mi do przekonania to zdanie papieskie: „Najpierw patrz, słuchaj, działaj. A dopiero potem mów”. ©



★★★★★
PAPIEŻ
FRANCISZEK,
CARLO MUSSO
„NADZIEJA.”
AUTOBIOGRAFIA”
ŚWIAT KSIĄŻKI,
WARSZAWA 2025



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Być szefem

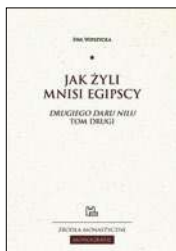
Profesor Ewa Wipszycka powraca do fascynującego świata, który opisywała w książce „Drugi dar Nilu, czyli o mnichach i klasztorach w późnoantycznym Egipcie” (2014) – najpełniejszym opracowaniu tematu dostępnym w języku polskim. „Jak żyli mnisi egipscy” to ciąg dalszy tamtej pracy, ale nie dopisek, lecz osobna, nowa książka. W poprzedniej udało się naszkicować obraz epoki i miejsca, teraz przyszła pora na przyjrzenie się bliżej codzienności.

Dzieło takie wymaga benedyktyńskiej pracy przez dekady – i tak też się stało. Proszę zwrócić uwagę choćby na opis odzyskiwania właściwego tekstu „Reguły św. Antoniego”, czyli proces rozpoczęty przez autorkę w połowie lat 80. XX w. i uwieńczony sukcesem dzięki współpracy kolegów po fachu oraz nowym odkryciom archeologicznym. „Regułę...” znajdujemy zresztą w książce wraz z zaleceniami dopisanymi przez późniejszych kopistów, a zaczerpniętymi z Izajasza. Święty Antoni jest jednym z głównych bohaterów książki, co dziwić nie może, biorąc pod uwagę, jak wielki wpływ miał na kształt późniejszego życia monastycznego.

Wspaniała, mądra i zmuszająca do

myślenia jest to książka, znajdująca w niej coś dla siebie i historyk, i archeolog, i zakonnik, i zwykły czytelnik. A pamiętajmy, że jeszcze pomiędzy opisanymi wyżej tomami mieliśmy jeszcze „Chrześcijaństwo starożytnego Egiptu” (2018) tejże autorki. Gorąco rekomenduję lekturę wszystkich trzech publikacji, jako amator historii starożytnej jestem nimi zachwycony. I czuję tę samą ekscytację, która towarzyszyła mi, gdy czytałem 30 lat temu „Kościoł późnego antyku” czy „O starożytności polemicznie”.

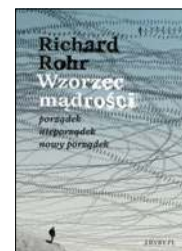
Tym, którzy zastanawiają się, coż nam dziś po praktykach mnichów sprzed półtora tysiąca lat, zlecam porównanie współczesnych poradników self-help ze źródłami, na których pracuje Wipszycka; szybko odkryjecie, które są mądrzejsze. Dla zwolenników rewolucji zdrowego rozsądku cytat. Pytany o zachowanie wobec ubogich i przybyszów pustelnik Jan z Abba Seridosa odpowiada: „Według możliwości, w zależności od tego, ile możecie pomóc. Jeśli nawet posiadacie coś w nadmiarze i wtedy zachowajcie umiar, żeby gdy pojawi się niedostatek, samemu tego nie potrzebować [...]”. Jeśli przychodzą ludzie, którzy chcą być dla was ciężarem, nie pozwólcie na to”. ©©



★★★★★
EWA WIPSZYCKA
„JAK ŻYLI MNISI EGIPSCY”
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW
TYNIEC 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Najbardziej znany franciszkanin Ameryki, popularny rekolekcjonista, autor bestsellerów. Rzecz o wierze jako odpowiedzi na płynną nowoczesność i zagubienie współczesnego człowieka kroczącego „ciemną doliną”.



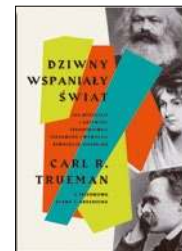
RICHARD ROHR
„WZORZEC MĄDROŚCI”
WYDAWNICTWO ZRYBY

Znany, lecz nieznanym – św. Józef wspomniany w ewangeliach rzadko, lecz bliższy nam dzięki opowieści pióra teologa, kierownika katedry Katolickiej Nauki Społecznej w Uniwersytecie Papieskim JP II w Krakowie.



KS. PROF. ANDRZEJ ZWOLIŃSKI
„ŚWIĘTY JÓZEF. BIOGRAFIA ILLUSTROWANA”
FRONDA

Podtytuł wszystko wyjaśnia: „Jak myśliciele i aktywiści zredefiniowali tożsamość i wywołali rewolucję seksualną”. Od Rousseau, przez Marksa, do obłędu gender: jedna z ciekawszych pozycji objaśniających współczesny świat.



CARL R. TRUEMAN
„DZIWNY WSPANIAŁY ŚWIAT”
WYDAWNICTWO MW

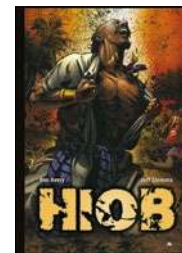
Przydatny każdej rodzinie obszerne przewodnik po roku liturgicznym (wyznaczającym rytm trzyletni czytań Pisma Świętego). Zebrane z trzech znanych już książek komentarze w jednym, bogato ilustrowanym tomie. ©©



BP ANTONI DŁUGOSZ
„Z JEZUSEM PRZEZ ŻYCIE”
BIAŁY KRUK

KOMIKS TYGODNIA: CZAS PRÓBY

Jedna z najbardziej znanych opowieści biblijnych w komiksowej formie: powracające pytanie o próby, którym jesteśmy poddawani, sens cierpienia, o ufność Bogu. Ben Avery był także współautorem komiksowej biografii Jezusa; Jeff Slemmons to artysta z ponad 30-letnim stażem,



BEN AVERY, JEFF SLEMONS
„HOB”
WYDAWNICTWO AA 2024

znany jako twórca komiksów i ilustracji prasowych. ©©

Wchodząc w świat Trumpa



FOT. AUDREY STOLCK/12 KREBEK



Marek Jurek

Przywódcy polskiej prawicy powinni zastanowić się, na czym naprawdę ma polegać polska polityka na Wschodzie. Skoro życie tak dramatycznie obnażyło nasz „sponsorowany prometeizm” – to musimy na nowo zdefiniować interesy naszej niepodległości i zakres, w jakim w ich realizacji możemy korzystać ze wsparcia innych państw

58

Kandydatom prawicy na urząd Prezydenta RP

Gdy na początku trwającej na Ukrainie wojny słuchałem kolejnych egzaltacyjnych deklaracji naszych przywódców, miałem wrażenie, że już połowa młodzieżówki PiS i jedna trzecia młodzieżówki PO bije się w Legionie Międzynarodowym na Ukrainie. Akty takie jak oświadczenie premiera Mateusza Morawieckiego w Sejmie, że „razem z naszymi sojusznikami” nie tylko obronimy niepodległość, lecz także (!) „przywrócimy integralność terytorialną Ukrainy”, sugerowały gotowość do najdalej idącego zaangażowania. Jak bowiem inaczej można wygrać trzecią wojnę krymską? I podobne deklaracje składał w imieniu wówczas opozycyjnej PO

Paweł Kowal, który ogłaszał, że po Buczy nie wolno już stawiać żadnych granic zaangażowaniu, obecnie bowiem każde państwo ma obowiązek „stanąć Putinowi na przeszkodzie”, do czego jedyną drogą jest „konsekwentna odpowiedź” każdego państwa, z Polską oczywiście na czele. Jarosław Kaczyński, jak zwykle, mówił „drukowanymi literami”. Kilka tygodni po wybuchu wojny wezwał w Kijowie do wysłania na Ukrainę zbrojnej misji pokojowej „o charakterze międzynarodowym i zdolnej do obrony”. Misji – dodajmy – nie po zawarciu rozejmu, ale w trakcie działań wojennych.

To wszystko wykraczało daleko poza solidarność czy udział w kolektywnej pomocy. To była polityka – w zakresie publicznie ogłaszanych inicjatyw i deklaracji – nieogładająca się na stanowisko



innych państw, niezwracająca uwagi na ich nastawienie i politykę. W to zresztą wpisywała się doktryna Morawieckiego „reżyserii (międzynarodowych) sankcji” jako powołania Polski w czasie toczącej się wojny.

Ta imponująca Wielka Narodowa Ofensywa Narracyjna po 30 miesiącach ugrzęzła. Na horyzoncie pojawiały się nasze wybory prezydenckie i perspektywa rozejmu na Ukrainie. Choć nie wchodziła już w grę realizacja kijowskiej inicjatywy Jarosława Kaczyńskiego (zbrojnej misji w czasie wojny), a jedynie nadzorowanie zawieszenia broni, to mimo to, nagle i to zgodnie, ustami premiera i przywódców opozycji zaczęliśmy jako państwo wykluczać udział w jakiegokolwiek misji rozjemczej niezależnie (!) od stanowiska i gotowości innych, sprzymierzonych państw.

Zwrot o 180 stopni? Nie całkiem. Jest bowiem jeden element ciągłości: narodowy solipsyzm, zachowywanie się tak, jakby otoczenie międzynarodowe nas w ogóle nie dotyczyło, jakby polityka nie była ochroną własnego kraju i społeczeństwa w gąszczu interesów innych państw, ale ekspozycją własnych aspiracji, emocji czy w ostateczności – obaw.

1. JECHAĆ NA UKRAINĘ?

Zacznijmy od elementarnego rozróżnienia dwóch wymiarów interesu narodowego. Pierwszy to pożądaný kształt stosunków międzynarodowych, drugi to możliwości podjęcia działań w tym kierunku. Musimy wiedzieć, co jest dla Polski korzystne, co jesteśmy w stanie zrobić w tej sprawie, a czego zrobić nie powinniśmy ze względu na brak środków czy możliwe konsekwencje. Uniknięcie tych ostatnich, obrona przed nimi, to również interes narodowy.

Oczywiście, że w interesie Polski leży nie tylko zachowanie niepodległości Ukrainy, lecz także wsparcie międzynarodowe jej do tego potrzebne. Ale skoro to ostatnie zależy od nas w bardzo ograniczonym stopniu, to jeszcze przed wybuchem wojny i potem domagałem się, abyśmy po prostu „pozostali w zjednoczonym froncie Zachodu, ani nie wybiegając przed szereg (żądając »jeszcze większych« sankcji czy zgłaszając inne postulaty, których nikt nie zamierza podjąć), ani nie cofając się poza stanowisko państw decydujących”.

A dziś mamy trzy zasadnicze powody, by do udziału w misji stabilizacyjnej na Ukrainie się nie spieszyć. Po pierwsze – konieczność obrony własnego terytorium, szczególnie teraz, gdy realnie rośnie zagrożenie dla naszej granicy północno-wschodniej. Po drugie – ewentualny polski kontyngent stabilizacyjny byłby, o wiele bardziej od zachodnioeuropejskich, narażony na rosyjskie prowokacje. Po trzecie – idea europejskich sił stabilizacyjnych jest na tyle niekonkretna, że i żadnych konkretnych deklaracji na tym etapie nie wymaga.

Owszem więc, kandydaci na urząd Prezydenta Rzeczypospolitej powinni myśleć, jak uniknąć szkodliwego zaangażowania, ale jednocześnie nie powinni torpedować (czy pozwalać przedstawiać Polskę jako państwo torpedujące) zaangażowania innych państw. Tym bardziej jeśli rządy prowadząc własne „ofensywy narracyjne”, tylko na taki pretekst do odwrotu czekają. Krótko mówiąc – nasi przywódcy powinni cały czas myśleć o tym, jak nie uczynić z Polski państwa buforowego, jednocześnie nie degradując międzynarodowej pozycji naszego kraju. I nie powinni unieważniać dotychczasowej polityki państwa, szczególnie tego, co możemy nadal wykorzystać dla Polski.

Niestety, te wszystkie zastrzeżenia milkną, gdy politycy „słuchają ludzi”!

DYGRESJA O „SŁUCHANIU LUDZI”

Owo „słuchanie ludzi” to koncept, który PiS podniósł do rangi doktryny politycznej. Ale o co w nim chodzi? Niestety, chyba jednak nie o prostą, sokratejską suwerenność argumentu. Teoretycznie Prawo i Sprawiedliwość ma polityka, który powinien być naturalnym, urzędowym i bezwzględny strażnikiem i rzecznikiem tej zasady. To Ryszard Legutko, jeden z najwybitniejszych współczesnych sokratyków, powinien przypominać, że słuchać należy tylko argumentów, nie kierując się względem na osoby, więc bez względu na to, kto argument przedstawia. Słuchać argumentów, więc przede wszystkim reagować na najistotniejsze padające w debacie publicznej! A odnosząc się do nich – kierować się tylko dobrem, więc w polityce – dobrem wspólnym narodu, polityczną odpowiedzialnością.

W praktyce PiS-owskiej nie o „słuchanie” ludzi jednak chodzi, tylko o sonda-

żowe węszenie za władzą. I o wczuwanie się w emocje – jak mówił Lech Wałęsa – „mas”, bo we współczesnej demokratycznej polityce emocje mas są ważniejsze od tworzenia instytucji państwa, a fakty wyobrażone (i przedstawione) – od rzeczywistych politycznych decyzji.

Teraz „słuchający ludzi” politycy zaprzeczają całkowicie swym wczorajszym deklaracjom i działaniom. A wczoraj mogli po prostu reagować na argumenty, bo sam mogą poświadczyc, że wszystkie przestrogi przed sytuacją, w jakiej się dziś znajdujemy, zostały w ostatnich latach przedstawione. A tak okazało się, że Wielka Narodowa Ofensywa Narracyjna to był po prostu – wielki polityczny blef.

2. SKUTKI WOJNY

Wojny dla narodów są najczęściej tragedią, nie tylko w planie humanitarnym, lecz także z perspektywy racji stanu. Zwycięska pierwsza wojna światowa dobiła demograficznie Francję. Zwycięstwo w drugiej wojnie światowej kosztowało Wielką Brytanię utratę imperium. Nie mówię nawet o tym, co nas kosztowało załamanie się porządku międzynarodowego pod koniec XVIII w. i potem w pierwszej połowie XX w. Trzeba mieć pojęcie Stanów Zjednoczonych, by z wojen wyciągać pożytki, i to też nie zawsze się udaje.

A co teraz przyniosła nam wojna na Ukrainie?

Niewątpliwie skutek wojennej inflacji („putinflacji”) stała się jednym z czynników upadku centroprawicowych rządów (czynnikiem nie tak ważnym jak sankcje unijne, ale jednak ważnym, bo zmniejszającym odporność społeczeństwa na szantaż ekonomiczny).

Wzmogła presję Unii Europejskiej na Polskę i stała się – bo „nie czas na dzielenie Zachodu” – jednym z powodów dramatycznych koncesji w dziedzinie suwerenności na rzecz Brukseli.

Zdewastowała polską politykę solidarności środkowoeuropejskiej, bo kluczowa solidarność z Węgrami i ze Słowacją w sprawach europejskich zeszała na drugi plan wobec różnic w polityce wobec Rosji.

Wywołała ogromną falę uchodźstwa ukraińskiego, które w znacznym stopniu zmieni się w trwałą imigrację.

Podsumowując – w trakcie wojny władzę nad Polską przejął zły rząd,



zwiększyła się nasza zależność od zagranicy, osłabła solidarność z najbliższymi nam partnerami, pogłębiła się dekompozycja społeczna. To nie był „gwiazdny czas”, tylko czas kryzysu, problemów i zagrożeń.

3. W SIDŁACH ZAANGAŻOWANIA BEZWARUNKOWEGO

Tymczasem niemal wszystkie skutki wojny można było łagodzić poprzez bardziej odpowiedzialną politykę. Na przykład można było uzależnić uruchomienie hubu pod Rzeszowem (o co, przypomnijmy, apelował również szef dyplomacji UE Josep Borrell) od natychmiastowego wycofania się władz Unii z działań przeciw Polsce, przynajmniej – od wypłaty należnych Polsce środków finansowych. Można było to systematycznie uzasadniać kosztami i zagrożeniami wynikającymi z polityki, którą prowadzimy. I można było po prostu domagać się realnych, politycznych dowodów uznania dla naszej strategicznej roli. Jednak wszystkie te możliwości padły ofiarą koncepcji zaangażowania bezwarunkowego, wraz z programowym odrzuceniem narodowej ostrożności – jako małoduszności. A dodajmy, że gdy mówimy o możliwej warunkowości, wcale nie chodzi o wykorzystywanie tragicznej pozycji walczącej Ukrainy, ale o warunki wobec naszych sprzymierzeńców. I nie o warunkowanie udziału w kolektywnej pomocy, ale wyłącznie – działań nadzwyczajnych. Rzecz jednak w tym, że byliśmy gotowi nie tylko (bezw warunkowo właśnie) robić prawie wszystko, czego od nas chcą, lecz także sami chcieliśmy robić to, czego od nas nie chcą. W imię tego zaś trudno już cokolwiek się domagać.

Wszystko więc wynikało z przyjętych założeń wyjściowych, było kwestią prostego wyboru, po prostu zasad. Wyboru między prometejską misją a narodową odpowiedzialnością.

4. CZAS PODBOJÓW

Nikogo nie powinny zaskoczyć ani ekonomiczne, ani demograficzne skutki wojny. Również polityczno-kulturowe – konsolidacja wrogiego nam międzynarodowego systemu liberalnego czy zamieszanie, które wojna musiała wywołać w reakcjach państw środkowoeuropej-

skich. Nie powinno też dziwić zwiększone uzależnienie od sojuszników, bo do tego zawsze prowadzi sytuacja państwa zagrożonego, a słabszego w przymierzu. Dla naszych przywódców z rządzącej radykalnej centroprawicy wszystko to było jednak mniej ważne od egzaltacji Wielką Narodową Ofensywą Narracyjną.

Ale oprócz skutków pewnych były jeszcze te dalej idące, możliwe, jeszcze bardziej dyktujące ostrożność. Po pierwsze, ryzyko eskalacji, bardzo poważnie brane pod uwagę przez Amerykanów. Najlepszym tego dowodem była warszawska mowa prezydenta Joe Bidena (o której pisałem zaraz w marcu 2022 r.), gdzie, owszem, mówił o „obronie każdego centymetra terytorium” państw NATO, czyli o obronie przed atakiem konwencjonalnym, ale mimo świeżych nuklearnych pogródźek Dmitrija Miedwiediewa i Dmitrija Pieskowa bynajmniej nie powiedział, że odpowiedź na każdy nuklearny atak Rosji będzie nieuchron-

o zbrojnym zaborze Grenlandii spotkała się z bardzo empatyczną deklaracją Władimira Putina. Tym bardziej zaskakującą, że rywalizacja o kontrolę Arktyki jest dziś zasadniczym polem geopolitycznej konfrontacji wielkich mocarstw.

Gdy więc świat wchodzi w czas podbojów – tym bardziej pokój staje się ważny dla Polski. Politycy lubią powtarzać, że wolność nie jest dana raz na zawsze. Owszem, ale nas historia uczy, że tym bardziej całość Rzeczypospolitej nie jest dana na zawsze. A nie ma bardziej oczywistej powinności polityków jak zachowanie całości terytorium narodowego. To jest ich pierwszy, najbardziej oczywisty, obowiązek.

5. UCIEKAJĄCY CZAS REFLEKSJI

Napisałem wyżej dużo o historii ostatnich czterech lat. Nie można bowiem przejść nad nią do porządku dziennego. Owszem, dojście do władzy prezydenta Trumpa zmienia radykalnie polską

Nie ma bardziej oczywistej powinności polityków jak zachowanie całości terytorium narodowego. To jest ich pierwszy obowiązek

na i proporcjonalna. Amerykanie na te groźby nie reagowali, bo werbalne prowokacje Moskwy brali całkiem poważnie. Podobnie jak zachodnioeuropejczy przywódcy.

I względnie drugi. Ewentualna konwencjonalna agresja Rosji przeciw Polsce (o czym pisałem od początku pełnoskalowej agresji na Ukrainę) mogła – w wypadku „zamrożenia” takiego najazdu – oznaczać trwałą utratę zajętego przez Rosję terytorium narodowego na północnym wschodzie: Suwałki, może Białegostoku, Łomży, nawet Elbląga. Przypominałem, że również po 1945 r. widywaliśmy skuteczne podboje, jak choćby zabór północnego Cypru przez Turcję albo Abchazji i Osetii Południowej przez Rosję. Co z tego, że podbój nazwie się „parapaństwem”, „terytorium okupowanym”, „zamrożonym konfliktem” itp.? Jakie to ma znaczenie? Dla ofiary nie większe, jak nazywanie sankcji ekonomicznych „wstrzymaniem wypłaty środków”.

Teraz jednak sytuacja zasadniczo się zmienia. Deklaracja Donalda Trumpa

perspektywę. Przede wszystkim niesie zagrożenia, bo oczywiste fiasko poniosło wpisywanie polskiej polityki w doktrynę Bidena, według której Amerykanie mieli wspierać Ukrainę „tak długo, jak potrzeba” (czyli – jak myślało u nas wielu polityków – tak długo, jak my sobie tego życzymy). Nowa sytuacja jest jednak brutalną lekcją realizmu, co daje szansę na przemyślenie raz jeszcze polskiej polityki.

Dla władzy odpowiedź jest prosta, zawiera się w braniu poważnie okrzyków Unii Europejskiej, że „nie porzuci Ukrainy”. Ale ci, którzy myślą o polityce polskiej, przywódcy prawicy, powinni zastanowić się, na czym naprawdę powinna polegać polska polityka na Wschodzie. Skoro życie tak dramatycznie obnażyło nasz „sponsorowany prometeizm” – to musimy na nowo zdefiniować interesy naszej niepodległości i zakres, w jakim w ich realizacji możemy korzystać ze wsparcia innych państw. I o tym już wkrótce napiszę.



Realizm niegodny polskiego inteligenta



FOT. ADRIAN STYCK



Łukasz Warzecha

Polacy są wychowani na sięgającym okresu zaborów romantycznym micie gnębienia nas przez silniejszych. Mają skłonność z automatu przyznawać „rację” słabszym i przegrywającym. Tak też w dużej mierze należy odczytywać nastawienie ogromnej części polskich komentatorów wobec Ukrainy. Nie bierze się ono z uporządkowanej refleksji geopolitycznej, a jedynie z emocji: „zła” Rosja najechała „dobrą” Ukrainę (niezależnie od tego, że faktycznie to Rosja była agresorem)

Film przyrodniczy, pokazujący afrykańskie zwierzęta, oglądają idealista i realista. Na ekranie pojawia się scena: widzimy lwa bez trudu dopadającego antylope, która wcześniej zraniła się w nogę, więc nie nadążała za stadem. Powala ją, zabija i pożera.

Idealista uderza w płacz, pałając do lwa autentyczną nienawiścią za jego „nie-ludzkie” postępowanie wobec osłabionej antylopy. „Przecież trzeba brać stronę słabszych, biednych i pokrzywdzonych!” – tłumaczy przez łyż.

Realista obserwuje sytuację beznamiętnie. Tak działa przyroda i taki jest świat zwierząt. Nie obowiązują w nim ludzkie normy etyczne. Lew, zabijając antylope, nie jest okrutny – taka jest po prostu jego natura. Jest skuteczny w zabijaniu, bo jest mu to potrzebne do przeżycia. Antylopa zwykle jest skuteczna w uciekaniu – ale nie tym razem. Nic na to nie poradzimy. Absurdem jest potępienie lwa, podobnie jak absurdem jest współczucie antylopie. A już wyjątkowym absurdem jest stosowanie do ich zachowania określeń z kategorii dobra i zła.

Gdyby w pobliżu lwa znaleźli się obaj widzowie filmu, idealista powinien rozpocząć wykład z etyki, tłumacząc, dlaczego nie wolno lwu zabijać człowieka. Wątpliwe jednak, czy lew by się tym przejął. Realista szukałby sposobu na skuteczną ucieczkę albo unieszkodliwienie zwierzęcia.

Tak w największym skrócie można opisać podejście idealistów i realistów do polityki międzynarodowej. Obecnie idealści zajmują się przede wszystkim lamentowaniem o nierycerskości Donalda Trumpa, gadaniem o „pogardzie”, z którą ma traktować Ukrainę, o jego godnych potępienia planach „wykupienia” tego kraju za sprawą

umowy o minerałach oraz narzekaniem, że oto wali się porządek świata.

KRAJOBRAZ POLSKIEJ DYSKUSJI

Owszem, następuje próba bardzo szybkiej jego przebudowy. Realisci nie zajmują się jednak narzekaniem na to, czego i tak nie jesteśmy w stanie Polska odwrócić. Realista stara się zdiagnozować rzeczywistość, zrozumieć przyczyny zmian i wskazać, co można w tych sprawach zrobić. Tak się niestety składa, że realistów jest w polskiej debacie niewiele, a zdecydowana większość komentatorów i mediów zajmuje się moralizowaniem, próbując stosować do polityki międzynarodowej kryteria międzyludzkiej etyki. Ma to tyle samo sensu, co opowiadanie, że lew jest „zły”, bo zżarł antylope. W dodatku chorą.

Nie znaczy to, że obrońców realistycznej myśli w krajobrazie polskiej dyskusji kompletnie nie ma.

Mamy zatem środowisko „Nowej Konfederacji” z jej szefem Bartłomiejem Radziejewskim. „Nowa Konfederacja” dopiero co wydała ostatnie dzieło zmarłego niedawno w wieku 100 lat Henry’ego Kissingera – „Przywódstwo”. Choć Kissinger jest często krytykowany jako praktyk, to z całą pewnością jest też jednym z najbardziej znaczących teoretyków realizmu politycznego. Dwa lata temu Radziejewski opublikował zaś bazujące na realistycznym podejściu podsumowanie zmian w porządku globalnym, które nie zaczęły



■ się przecież od drugiej kadencji Donalda Trumpa – książkę zatytułowaną „Nowy porządek globalny. Mocarstwa, średniacy i niewidzialne siły kierujące światem”.

W think tanku Strategy & Future działa Marek Budzisz, autor książek opisujących naszą sytuację strategiczną – przede wszystkim „Samotność strategiczna Polski” i „Paauza strategiczna. Polska wobec ryzyka wojny z Rosją”. Niezależnie od tego, czy zgadzamy się czy też nie z wnioskami i propozycjami Budzisa, jedno jest bezsporne: nie ma tam śladu szkodliwego sentymentalizmu, a stawiane tezy są podpierane nie etycznymi rozważaniami, ale liczbami i danymi.

Są krzewiciele myśli realistycznej, także tej stricte polskiej, autorstwa Stanisława Cata-Mackiewicza czy Bronisława Łagowskiego, z niestrudżonym Janem Sadkiewiczem na czele. Profil na X tego znakomitego redaktora to kopalnia cytatów z polskich (i nie tylko) realistów na każdą okazję.

Są też analitycy, którzy komentują poczynania światowych potęg w duchu realizmu, tacy jak prof. Zbigniew Lewicki, autor monumentalnej „Historii cywilizacji amerykańskiej”, czy Radosław Pyffel, znany specjalista od Azji Wschodniej, szczególnie Chin. Z tym ostatnim mam przyjemność tworzyć cykl rozmów „Nadwiślański Cross”, w którym używamy określenia: rozmowa niegodna polskiego inteligenta. Ta żartobliwa fraza w lakoniczny sposób odbija problem polskiej debaty w ogóle: ów polski inteligent uważa mówienie o świecie w kategoriach zimnego interesu właśnie za niegodne. On może jedynie mówić o tym, jak być powinno, zgodnie z kryteriami etyki i słuszności.

Trzeba również wymienić świetnego publicystę młodego pokolenia (także związanego ze Strategy & Future), Jana Maciejewskiego. Jego najnowsza książka „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?” jest wybitnym rozrachunkiem z naszą romantyczną mitologią, który bez żadnej przesady można postawić obok „Dziejów głupoty w Polsce” Aleksandra Bocheńskiego.

Na istotnego komentatora, który swoje analizy sytuacji międzynarodowej opiera na realistycznym paradygmacie, wyrósł w ostatnim czasie prof. Adam Wielomski, autor wielu książek poświęconych zachodniej myśli politycznej, w tym w szczególności niemieckim koncepcjom strategicznym.



Bardzo dobrą pod tym względem robotę wykonuje także dr Krzysztof Rak, autor książek „Polska – niespełniony sojusznik Hitlera”, „Piłsudski. Między Stalinem a Hitlerem” oraz współautor tomu „Piekielni sąsiedzi. Jak Rosja i Niemcy dogadywały się kosztem Polski”.

Wreszcie jest nasze skromne środowisko „Do Rzeczy”, którego autorzy mają różne poglądy i nie wszyscy podzielają realistyczne podejście do rzeczywistości (ta różnorodność jest zresztą siłą naszego tytułu), ale gdyby szukać na polskim rynku prasowym tygodnika najkonsekwentniej prezentującego takie zapatrywania, byłoby to właśnie „Do Rzeczy”.

PODEJŚCIE SŁUSZNOŚCIOWE

Z pewnością nie wymieniałem wszystkich, którzy starają się kompensować niedostatki realistycznego myślenia w polskiej debacie. Nie jest to jednak gro- no liczne, a przede wszystkim pozostaje niedoreprezentowane w mediach. Te wykazują radykalny przechył w stronę podejścia słusznościowego. Na przykład jednym z podstawowych zarzutów, stawianych Donaldowi Trumpowi, pozostaje wciąż sam fakt, że podjął rozmowę z Władimirem Putinem. Przecież ze „złym człowiekiem” się nie rozmawia.

Skąd ten polski wstręt do realizmu? Sięgnijmy do źródeł tego prądu myślowego.

Wybitny polski badacz stosunków międzynarodowych i ich historii, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim i również należący do grupy zasłużonej w tłumaczeniu istoty realizmu, autor książki „Historycy-politycy jako źródło realizmu politycznego”, prof. Piotr Kimla, tak opisywał podstawy myśli politycznej Thomasa Hobbesa („Teologia Polityczna Co Tydzień”): „Tym, co łączy wszystkich ludzi, nie jest i nigdy nie będzie wspólna, ogólnoludzka wizja dobra. Przeciwnie, wizje dobra tworzone przez ludzkie wspólnoty różnią się od siebie, co wypycha owe wspólnoty w koleiny wiecznej rywalizacji. Rywalizacji, której przedmiot – wizja dobra – nie dostarcza, wedle Hobbesa, obiektywnych kryteriów rozstrzygnięcia. Tym, co ludzi łączy w prawdziwie uniwersalnym wymiarze, a zatem bez względu na kolor skóry, wyznanie, tradycję polityczno-prawną, szerokość geograficzną etc., jest strach przed śmiercią. Oto Hobbesowskie cogito, oto fundament, na którym trzeba wzniesić



»nową naukę polityki«. W rzeczy samej tak rozumiana teoria Hobbesa pozostaje jednym z najmocniejszych i najżywiej dyskutowanych na Zachodzie filarów nowoczesnego myślenia o polityce, czyli do krytycznej refleksji w polskiej myśli historycznej i politycznej”.

Hobbes, XVII-wieczny angielski filozof, którego najbardziej znanym dziełem pozostaje „Lewiatan, czyli materia, forma i władza państwa kościelnego i świeckiego”, uznawany jest często za ojca realizmu politycznego. Państwa, w optyce Hobbesa, toczą ze sobą rywalizację na polu, którego nikt odgórnie nie uporządkował i nikt uporządkować nie może. Jeśli pojawiają się na nim jakieś reguły, to tylko wówczas, gdy z powodów pragmatycznych zostają przyjęte przez same państwa. Z tych samych przyczyn mogą jednak zostać potem odrzucone. Nie istnieje żadna nadrzędna instancja moralna czy etyczna, wskazująca, kto ma rację.

Dalej w tym samym tekście prof. Kimla zapytywał: „Czy Hobbes może odnieść perswazyjny sukces w społeczeństwie, w którym dominuje zafałszowany pogląd na siłę – pogląd, który prawie automatycznie utożsamia siłę z agresją? W związku z powyższym utożsamieniem w umysłach wielu Polaków pokutuje przekonanie, że słabości przysługuje moralna prawość, siła natomiast z konieczności oznacza moralną degenerację [podkr. – Ł.W.]. Tymczasem Hobbes nie żywi wątpliwości, że siła jest jedną z największych wartości tego świata, nie tylko zresztą w sferze polityki (bez siły, rzecz oczywista, polityka nie może istnieć)”.

W tym fragmencie prof. Kimla najlakońiczniej i najcelniej podsumowuje jeden z fundamentalnych problemów z realizmem w Polsce. Realizm abstrahuje od oceny działań w odniesieniu do kryteriów międzyludzkiej etyki – to całkowicie inny porządek – podkreśla natomiast powinności władcy (we współczesnej formie: rządu) wobec swoich obywateli i powierzonego mu państwa. Dobry władca to ten, który owe obowiązki skutecznie wypełnia. To oznacza, że na pochwałę i podziw w oczach realisty zasługują ci, którzy robią mądry użytek z siły, którą dysponują. To zaś jest nie do zaakceptowania dla większości Polaków, jako że we względnie świeżej pamięci narodowej mamy nie sytuację naszej siły, ale słabości i marnowania okazji oraz bycia pogiętym przez silnych.

W XIX w. w nieistniejącej Polsce całe polityczne myślenie podporządkowane było koncepcjom insurekcyjnym

Nasza słabość, nasze upadki oraz głęboka awersja do szukania ich powodów w nas samych zdeterminowały polskie myślenie o polityce.

Nowoczesna myśl polityczna Zachodu, która przybrała dojrzałą postać u progu XX w., kształtowała się na bazie przemysła i doświadczeń wieku XIX. Wskutek tego powstawały koncepcje takie jak geopolityczne schematy Halforda Johna Mackindera (który zresztą w 1919 r. w Paryżu miał okazję poznać Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego) czy projekt Mitteleuropy Friedricha Naumanna, do dzisiaj zresztą obecny w niemieckiej myśli geostrategicznej.

ŚWIĘTE OBURZENIE

W tym samym czasie w nieistniejącej Polsce całe polityczne myślenie podporządkowane było koncepcjom insurekcyjnym. To one zdominowały masową wyobraźnię, niezależnie od mitygującego wpływu pism Romana Dmowskiego czy odmiennego przykładu walki z niemiecką kolonizacją w zaborze pruskim poprzez pracę organiczną i osiągnięcia gospodarcze. Skutek tak trafnie podsumowany przez prof. Kimlę jest oczywisty: jakkolwiek polska historia jest przecież także historią siły – choć z rzadka tylko wykorzystywanej dla bezwzględnej ekspansji i podbojów – wychowani na sięgającym okresu zaborów romantycznym micie gnębienia nas przez silniejszych Polacy z automatu są skłonni przyznawać „rację” słabszym i przegrywającym. Tak też w dużej mierze należy odczytywać nastawienie ogromnej części publiczności wobec Ukrainy. Nie brało się ono przecież z uporządkowanej refleksji geopolitycznej, a jedynie z emocji: „zła” Rosja najechała „dobrą” Ukrainę (niezależnie od tego, że faktycznie to Rosja była agresorem).

Dlatego również nie zrobiła wśród Polaków kariery historycznie najbardziej rozpoznawalna, antyinsurekcyjna szkoła

myśli politycznej i historycznej, czyli krakowscy stańczycy. Zarazem to oni jednak położyli podwaliny pod to, co później pojawiało się w pismach Cata-Mackiewicza czy Bronisława Łagowskiego.

Stańczycy ukonstytuowali się niedługo po klęsce powstania styczniowego, ok. 1866 r., jako założyciele „Przeglądu Polskiego”. Pojawiają się tu słynne potem nazwiska: Stanisław Tarnowski, Stanisław Koźmian, Józef Szujski. Co ciekawe, ten ostatni początkowo spierał się z ultrakonserwatywnym Pawłem Popielem (środowisko krakowskiego „Czasu”) o powstanie styczniowe, a nawet o moralną legitymację samych powstańców, której Popiel im odmawiał. „Teki Stańczyka” – cykl pamfletów, skierowanych przeciwko romantycznej tradycji, a utrzymanych w formie fikcyjnych listów – powstała dopiero w roku 1869 i wtedy poglądy Szujskiego były już znacznie bliżej zapatrywań Pawła Popiela.

W liście numer 8 – „Optymowicz (właściciel apteki) do Trwoźnickiego (urzędnika bankowego)” – czytamy: „Nie potrzebuję ci dowodzić, że dla narodu uciemżonego i to uciemżonego przez trzy potencje, jeden tylko środek jest zbawczym, jedna polityka możliwa, ta, którą ja streszczam w słowach – nieprzerwalność powstania. Wszystkie kompromisy, wszystkie dyplomacje, oglądanie się na to i owo – to banialuki, to wymysły reakcyonaryuszów. My jedni wierzący w skuteczność wielkiego środka, przechowujemy od 1772 r. ogień święty; my Westalki idei polskiej”.

W tym passusie mieści się pogarda dla realistycznej oceny sytuacji, którą odnajdziemy w niezliczonych dzisiaj tekstach publicystów, odnoszących się i do wojny na Ukrainie, i do relacji panujących w Unii Europejskiej, i do polityki ekipy Donalda Trumpa. „Westalki idei polskiej” przekonują nas dzisiaj, że jedyną możliwą reakcją na poczynania Ameryki jest święte oburzenie, Rosję zaś należy „pokonać” – cokolwiek miałyby to oznaczać.

Przed współczesnym realistą stoi zaś pytanie paradoksalne: Czy nie kierując się chęcią, nie należałoby uznać, że polski wstręt do realistycznego myślenia oraz upodobanie do emocjonalnych uniesień są zakorzenione tak głęboko, iż po prostu trzeba je uwzględnić jako immanentny i nieprzewycięzalny czynnik polskiego charakteru?



Z prof. Stanisławem Stabryłą,
filologiem klasycznym
rozmawia Paweł Chmielewski



Świadkowie i prześladowcy

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Napisał pan profesor książkę „Świadkowie i prześladowcy” o chrześcijańskich męczennikach starożytności. Ilu ludzi zamordowano z powodu wiary w pierwszych wiekach Kościoła?

PROF. STANISŁAW STABRYŁA: Szacunki są bardzo różne, bo nie zachowało się zbyt wiele dokumentów. Ja sądzę, że to było kilkanaście, może kilkadziesiąt tysięcy osób. Męczeństwo stanowiło groźbę całą czas wiszącą nad społecznością chrześcijan. Najgorzej sytuacja wyglądała w miastach. Niektórzy chrześcijanie, chcąc uniknąć prześladowań, przenosili się na wieś. Tam mogli żyć w miarę bezpiecznie, jakkolwiek macki władzy, wrogiej wobec chrześcijaństwa, czasami i tak ich dosięgały.

Dlaczego w ogóle władze rzymskie prześladowały chrześcijan?

Chrześcijanie od początku byli znienawidzeni, tak jak sam Jezus Chrystus. Tworzono na ich temat oszczercze plotki, oskarżano o kazirodztwo czy kanibalizm. Władza państwowa w pewnym względzie się pod tym podpisywała. Religii chrześcijańskiej odmawiano statusu legalnego wyznania – i to pomimo faktu, że władze tolerowały bardzo różne kulty, niekiedy nawet zupełnie ekscentryczne.

Jakie znaczenie miała odmowa składania ofiar bogom?

Chrześcijanie nie chcieli i nie mogli uczestniczyć w oficjalnych państwowo-religijnych uroczystościach. Byłoby to równoznaczne z wyrzeczeniem się Chrystusa. Paganie mieli im to za złe. Podczas procesów sądowych przeciwko chrześcijanom próbowano ich zmusić do symbolicznego udziału w tym kulcie, czyli do zaprzeczenia boskości Chrystusa. Wystarczyło złożyć niewielką ofiarę, rzucić na płomień garść kadzidła – i już było się wolnym od procesu i męczeństwa. Przesłuchujący chrześcijan namiestnicy czy sędziowie nie rozumieli ich oporu. Zachęcali do złożenia ofiary, co, jak sądzili, pozwoliłoby później na spokojne wyznawanie religii chrześcijańskiej. Nie rozumieli, że to oznaczałoby zaparcie się wiary.

Jeżeli chrześcijanin odmawiał, to czekała go śmierć. Jaka?

Sposoby zadawania śmierci były bardzo urozmaicone; prześladowcy wykazywali się tu dużą inwencją. Najłagodniejszą formą było ścięcie, ale istniały też bardziej okrutne formy eksterminacji. Jak wszyscy wiemy, chrześcijan rzucono „ad bestias”, czyli dzikim zwierzętom, specjalnie wygłodzonym i rozdrażnionym. Te zwierzęta

ich rozszarpały, pożerały albo trawowały. Ponadto ofiary nierzadko topiono, np. rzucając do rzeki z uwięzonym do szyi ciężarem. Inne wieszano. W poszczególnych przypadkach zadawano też bardzo okrutne męki, dbając, by skazaniec jak najwięcej wycierpiał. Chrześcijan regularnie też biczowano, czasem tak brutalnie, że od razu kończyło się to śmiercią.

Czy byli tacy, którzy się poddawali i składali ofiarę, chcąc uniknąć męczeństwa?

Tak, to byli tzw. lapsi, czyli upadli. Część z nich po zakończeniu całej sprawy starała się wrócić do Kościoła, ale to nie zawsze było takie proste, stawiano im wiele warunków. Ciekawe jednak, że było wielu chrześcijan, którzy sami szukali męczeństwa. Chcieli zdobyć tzw. stefanos, wieniec męczeństwa. Dobrowolnie oddawali się w ręce władz i byli skazywani na śmierć. Kościół starał się to ukrócić. W nauczaniu wyraźnie zniechęcano do aktywnego poszukiwania męczeństwa.

Często porównuje się starożytnych męczenników do tych, którzy giną dziś z rąk muzułmanów. To trafna analogia?

Na pewno skala jest zupełnie inna. Według danych statystycznych na świecie różnym formom prześladowania podda-



wane są miliony chrześcijan. W krajach islamskich z rąk prześladowców śmierć ponoszą tysiące ludzi każdego roku. Oczywiście dziś zupełnie inna jest liczba ludności, gęstość zaludnienia itd. W starożytności prześladowano przede wszystkim wolnych obywateli. Ci chrześcijanie, którzy byli niewolnikami, byli okrutnie traktowani w czasie przesłuchań; torturowano ich, bo panowało przekonanie, że niewolnik mówi prawdę tylko w czasie tortur. Co do zasady jednak ich nie zabijano; byli głównie świadkami w procesach innych. Dzisiaj niski status społeczny nie chroni przed prześladowaniem.

Mówi się, że krew męczenników była zasiewem chrześcijan. Na ile męczeństwo stanowiło „motor napędzający” rozrost Kościoła w pierwszych wiekach?

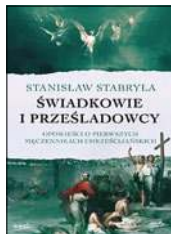
Męczeństwo było pewnego rodzaju wzorem. Męstwo, które wykazywano w trakcie przesłuchań i w obliczu śmierci, zachęcało innych do wytrwałości, znoszenia tortur i prześladowań. To przysparzało chrześcijaństwu nowych wyznawców. Władze państwowe, prześladowując Kościół, usiłowały go zniszczyć, ale efekt był dokładnie odwrotny – Kościół wzrastał i się umacniał. Męczeństwo uznawano za „koronę”, najwyższy stopień wyznania wiary w Chrystusa.

W Imperium Rzymskim funkcjonowało wiele grup religijnych i sekt. Czy jakkolwiek inna grupa spotykała się z analogiczną reakcją władzy jak Kościół?

Nie. Ludzi poddawano wprawdzie torturom i prześladowaniom z różnych powodów, ale były to przypadki, powiedziałbym, indywidualne. Nie słyszemy o żadnej innej grupie, która byłaby tak szykanowana i prześladowana jak chrześcijanie.

Rozpoczyna pan profesor książkę od postaci św. Jana Chrzyciela, zamordowanego za głoszenie prawdy na temat małżeństwa. To niejedyny chrześcijanin, który zginął za tę prawdę – wystarczy wskazać choćby św. Tomasza Morusa. Również dzisiaj małżeństwo jest przestrzenią wielkiego sporu cywilizacyjnego.

Sam Jan Chrzyciel występował przeciwko grzesznemu związkowi Heroda Antypasa. Antypas poślubił Herodiadę, żonę swojego brata Heroda III, choć zgodnie z zasadami judaizmu nie było mu wolno tego zrobić. Jan Chrzyciel wytykał to zarówno jemu, jak i Herodiadzie. O ile



STANISŁAW STABRYŁA
„ŚWIADKOWIE I PRZEŚLADOWCY”
WYD. ESPRIT 2025

sam Herod Antypas znosił to jeszcze dosyć spokojnie, o tyle Herodiada już nie. Pałała wręcz złowieszczą nienawiścią do Jana i wykorzystała nieopatrzoną obietnicę męża, żeby pozbawić Jana życia. W ten sposób Jan stał się męczennikiem prawdy o małżeństwie jako związku umocowanego religijnie. Dzisiaj mamy do czynienia z dość rozpowszechnioną degradacją małżeństwa. Często zawiera się różnego rodzaju związki partnerskie, hetero- i homoseksualne. W starożytności tego raczej nie było, a przynajmniej nie na taką skalę. Pytanie, czy ktoś rzeczywiście chce dziś inspirować się przykładem św. Jana Chrzyciela, broniąc małżeństwa, pozostawiam otwarte.

Państwowe prześladowania zakończyły się pod rządami Konstantyna Wielkiego, wraz z wydaniem w 313 r. tzw. edyktu mediolańskiego. Dziś słyszy się niekiedy, że Konstantyn, legalizując chrześcijaństwo, tak naprawdę je „zniewolił”, bo uitorował drogę do powstania religii państwowej. Takie sądy wygłaszają niekiedy nawet księża profesorowie. Jak pan profesor to ocenia?

To czysty absurd. Jak można twierdzić, że kiedy wreszcie dano Kościołowi wolność, to tak naprawdę go zniewolono? To pogląd wymyślony w stylu lewicowych historyków, którzy twierdzili, że takie postaci jak Herod czy Neron byli znakomitymi władcami i mężami stanu. Tymczasem z całą pewnością byli po prostu tyranami i zbrodniarzami; nie ma co do tego wątpliwości. Sam Konstantyn był wielkim władcą. Uporządkował sprawy religii w Cesarstwie Rzymskim. W sensie ścisłym to Galeriusz wydał w 311 r. edykt tolerancyjny, a Konstantyn wraz z Licyniuszem w 313 r. ogłosili „reskrypt”, który potwierdzał wolność chrześcijan. Religia chrześcijańska stała się „religio licita” – wyznaniem dozwolonym przez państwo. To umożliwiło późniejszy wspaniały rozwój Kościoła. Pomysł, że Konstantyn zniewolił Kościół, jest – powtórzę – poglądem wymyślonym i promowanym dla jakichś niekoniecznie

jasnych i chwalebnych celów, nawet jeżeli głosi go uczony związany ze współczesnym Kościołem.

Swoją książką o męczennikach ożywia pan formułę żywotów świętych, na przestrzeni wieków szalenie popularną, dziś – już nie tak bardzo. Dlaczego straciliśmy zainteresowanie tą tematyką?

Rzeczywiście, kiedyś chętnie czytano o świętych, wystarczy wspomnieć „Żywoty świętych” autorstwa ks. Piotra Skargi z 1577 r. Dziś mamy w ogóle do czynienia z fatalnym stanem czytelnictwa – i to pewnie jedna z przyczyn. Poza tym ludzie naszych czasów szukają głównie sensacji. Żywoty świętych nie są może aż tak sensacyjne... Ja podjąłem próbę przedstawienia biografii wielu męczenników w formie zbeletryzowanej. Pracowałem na podstawie dokumentów, które wydał ks. Marek Starowieyski. Niektóre opisane tu postaci, jak święci Agnieszka czy Florian, są bardziej znane, inne – zdecydowanie mniej. Wszystko jest jednak oparte na protokołach z procesów, które Rzymianie tworzyli dość skrupulatnie, choć, niestety, wiele z nich zniszczono, niekiedy celowo, dla ukrycia prawdy.

Wydaje się, że nie tylko żywoty świętych, w tym świętych męczenników, są dziś coraz mniej popularne. To samo dotyczy samego męczeństwa. Papież Benedykt XVI bardzo uskarżał się na rosnącą niechęć współczesnych chrześcijan do wymiaru krzyża. Czy wiara Chrystusowa jest bez tego w ogóle możliwa?

Chrześcijanin musi brać pod uwagę, że przyjdzie mu kiedyś zapłacić życiem albo cierpieniem za wierność Chrystusowi. Pytanie, czy dzisiejsi chrześcijanie są rzeczywiście gotowi na podjęcie tego wyzwania. Czy byliby zdolni potwierdzić swoją wiarę męczeństwem? Starałem się opisać historie świetlanych postaci, tak by ukazać miejsce męczeństwa w ich życiu. Mogę tylko mieć nadzieję, że stanie się to dla czytelnika pewną inspiracją i okazją do refleksji nad wiarą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Chmielewski jest publicystą portalu PCh24.pl



Stanisław Stabryła jest profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Jagiellońskiego, filologiem klasycznym i autorem licznych publikacji na temat antyku grecko-rzymskiego.



FILIP MEMCHES: Demokracja i praworządność to dwa filary nowoczesnych społeczeństw zachodnich. A jednak na Zachodzie jesteśmy coraz częściej świadkami, że wola ludu rozmija się z wyrokami sędziów. Czy zatem demokracja i praworządność tak naprawdę nie stoją we wzajemnej sprzeczności?

DR HAB. JAN MAJCHROWSKI: Bardzo często demokrację przedstawia się jako niezbędny warunek realizacji praworządności, podstawową jej gwarancję. Ja się z tym nie zgadzam. Praworządność to nie demokracja. Demokracja jest jedną z odpowiedzi na pytanie, kto ma mieć władzę, praworządność zaś – według jakich zasad ta władza ma być sprawowana. Czy ustalanych ad hoc, zależnie od aktualnego interesu rządzących, czy według przyjętych z góry prawideł generalnych i abstrakcyjnych, czyli norm prawnych. W tym drugim przypadku stosujący prawo mają obowiązek aplikować je w każdym przypadku, czy jest im to na rękę czy nie. Tyle teoria, bo czasem mamy do czynienia z pozorami praworządności, choćby wtedy, gdy przepisy dają się rozmaicie interpretować przez tych, którzy je stosują albo ich nie stosują, choć powinni, np. sędziów. Jeśli brak jest efektywnych środków, by ich zdyscyplinować, wówczas zdobywają oni ogromną władzę. Poza tym myślę, że dla niektórych demokracja była tylko wehikułem mającym ich zawieść do celu, czyli do władzy. Jeśli demokracja wiodła do celu, to była dobra. Ale nastały czasy, kiedy zwykli ludzie – może za sprawą narosłych problemów, może za sprawą tego, że mamy bardzo szeroki dostęp do niezależnych mediów internetowych – na wiele rzeczy zaczęli patrzeć inaczej niż rządząca elita. I dokonują innych wyborów niż te, które są od nich oczekiwane. I wtedy raptem zaczyna się okazywać, że demokracja nie jest dobra. Wtedy już nie jest ona demokracją, staje się populizmem.

Jaka jest różnica między jednym a drugim?

W praktyce nie ma żadnej obiektywnej różnicy. To jest tylko kwestia punktu widzenia. Raz wola ludu jest demokratyczna, dobra, a innym razem, gdy ten lud zaczyna wyrażać wolę niezgodną z interesem panującej elity władzy, staje się populizmem. I wtedy jest już zła. Najbardziej znanym zabiegiem populistycznym jest przyklejanie łatki populisty przeciwnikom politycznym. Stąd już tylko krok



Z dr. hab. Janem Majchrowskim,
prawnikiem, byłym sędzią
Sądu Najwyższego
rozmawia Filip Memches

Praworządność to nie demokracja

od ich usunięcia poza ramy gry demokratycznej i delegitymizacji, jak to miało ostatnio miejsce choćby w Rumunii.

Ale lud bywa naprawdę niebezpieczny. Są konkretne przykłady na to, że w pierwszej połowie XX w. zamieniał się on w motłoch, który się przyczyniał do brutalnych rewolucji politycznych i powstawania reżimów totalitarnych.

To prawda. I to były wszystko rewolucje, w których lud wynosił do władzy osoby, które następnie łamały coś, co można nazwać prawem naturalnym, czyli zasady, które ze swej istoty nie podlegają demokratycznym wyborom. Ale czy sprawujący władzę monarcha nie może być niebezpieczny dla swoich poddanych? Historia zna i takie przykłady. Każdej władzy należy patrzeć na ręce i dbać, by stosowała ona reguły, które odpowiadają ideałowi sprawiedliwości, a tej nie tworzy się większością głosów.

Czy to nie jest tak, że po drugiej wojnie światowej w zachodnich liberalnych demokracjach elity doszły do wniosku, że potrzebne jest wędzidło, które będzie poskramiać niebezpieczne zapędy ludu? I takim narzędziem jest właśnie praworządność.

Postulat praworządności to miecz obosieczny. Może służyć jako narzędzie, w imię którego będzie chciało się pozbawić ludzi możliwości realizacji ich władzy, którą rzekomo w liberalnej demokracji posiadają. Warto tu przypomnieć, jak polski Trybunał Konstytucyjny zablokował przeprowadzenie szerokiej lustracji na uczelniach, bo „nie wszyscy o wszystkich muszą wszystko wiedzieć”. Ponadto ludzie mogą się odwoływać do tegoż TK, gdy rządzący usiłują wprowadzić reguły naruszające fundamenty państwa zawarte w konstytucji. Dlatego też polski TK czy amerykański Sąd Najwyższy już dawno stały się polem politycznej walki o władzę. Raz są dobre, raz złe... A kiedy



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Nie wolno dostarczać argumentów ludziom, którzy zawodowo zajmują się budowaniem fałszywej narracji o wszechobecnym w Polsce rasizmie i przyprowadzają jej na całym świecie brunatną gębę

je człowiek słaby, tchórzliwy, oportunistą i karierowicz niegodny piastowanej funkcji. Wtedy wymiar sprawiedliwości staje się wymiarem niesprawiedliwości, a praworządność fikcją.

Kluczowe słowo to „sytuacja”. Zmierzam do tego, że sprawdzianem dla prawa są sytuacje, w których dzieje się coś, czego ono nie przewidzi. Chodzi o sytuacje nadzwyczajne. O to, co niemiecki prawnik, Carl Schmitt, nazywał „stanem wyjątkowym”.

Dobre prawo przewiduje sytuacje, których przepisy nie przewidziały. Mądry prawodawca wie, że nie jest wszechwiedzący, i właśnie dlatego tworzy tzw. klauzule generalne, czyli zasady, które wskazują kierunek całemu systemowi prawnemu, np. w danej gałęzi prawa; cel, do którego mają zmierzać wszystkie normy prawne. I w takich sytuacjach pozwala na stosowanie norm wykształconych przez samych ludzi – zwyczajowych, etycznych.

Rozmawiamy o tym, jak ogromne znaczenie ma to, jacy ludzie zajmują się prawem. W swojej książce „Przeciw uzbrojonym analfabetom” jeden z rozdziałów poświęca pan przeszłości Wydziału Prawa i Administracji UW. Przypomina pan wykładów tego wydziału z epoki stalinowskiej i snuje rozważania nad trwałością sposobu myślenia, który po nich został na tej uczelni. Jak to wyjaśnić?

W tamtych czasach wdrożony został system, który deprawował prawników, nauczycieli akademickich, sędziów. System, który nagradzał za posuszeństwo i koniunkturalizm, a usuwał ludzi niezależnych. Potem następowały prosta reprodukcja kadr i samokooptacja do tak wytworzonej „kasty”, która histerycznie reagowała na próbę zmiany systemu lub choćby na pojawienie się ludzi niepokornych, kierujących się czym innym

ten krajowy „bezpiecznik” wymknie się z rąk, bo zasiądą w nim nie ci sędziowie, co trzeba, to aktywuje się kolejny. Ot, choćby taki Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który przecież w imię praworządności może zrobić, co chce, bo nikt go nie kontroluje ani z punktu widzenia demokracji, ani praworządności.

Czy w gruncie rzeczy praworządność nie jest zatem pustym frazesem? Ostatecznie prawo okazuje się tylko teorią. W praktyce liczy się to, jak jest ono interpretowane przez ludzi – a więc nie kawałek papieru, na którym wydrukowana została konstytucja, lecz ludzka decyzja.

Rodzi się taka pokusa, by w związku z tym dać sobie spokój z praworządnością, bo rządy ludzi bywają silniejsze od rządów prawa. To już jest wybór niejako cywilizacyjny, związany z odrzuceniem wolności i podmiotowości człowieka. Są takie cywilizacje i kultury, w których wła-

dzia może wszystko, bo po prostu może. W wymiarze symbolicznym zawiera się to w słynnym cytacie z filmu Stanisława Barei: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”. W wymiarze praktycznym spotykamy się np. z twierdzeniami, że służby specjalne mogą inwigilować człowieka niezgodnie z formalnymi zasadami, bo przecież tak właśnie robią i nic się na to nie poradzi. W cywilizacji łacińskiej, do której Polska przez wieki należała, jest inaczej. Praworządność miała gwarantować ludziom jasność ich sytuacji prawnej, czyli bezpieczeństwo, a prawo miało być sztuką tego, co dobre i równe, a nie grą interesów, w której silniejszy wywodzi swe prawo do zgniecenia słabszego z faktu, że jest silniejszy. Ale i tu wszystko zależy od człowieka, bo często mamy do czynienia z sytuacją, w której istnieją silne prawne wzorce postępowania, ale stosować ma



niż stadne instynkty. Myślę przy tym, że dziś większość w tych środowiskach stanowią ci, którzy chcieliby nie mieszać się do niczego i spokojnie sobie pracować. Jednak wobec istniejącej polaryzacji nawet taką postawę trudno jest dziś zachować. „Kasty” wzywają do aktywizmu.

Poruszamy tu jednak także temat stosunku do komunizmu. Przecież antykomunizm stał się w Polsce oczywistością – również wśród ludzi, którzy mają na koncie występowanie się reżimowi PRL.

Dla wielu lojalność wobec dawnego układu komunistycznego została zamieniona na lojalność wobec układu nowego – tego, który wyrósł po Magdalence i Okrągłym Stole. W zamian za to, że nie było żadnego oczyszczenia środowiska sędziowskiego, dawni towarzysze posunęli się trochę w ławach sędziowskich i dopuścili innych, czasem wywodzących się wprost ze środowisk opozycyjnych. A nic tak nie jednoczy, jak przesiadywanie w jednej ławie: sędziowskiej, poselskiej, szkolnej... Zresztą dla byłych komunistów sam komunizm stał się zbędnym balastem. Mądrość etapu kazała im przyjąć liberalną demokrację, której z pozycji sędziowskich strzegli, by przypadkiem nie przekształciła się w niebezpieczny populizm, który mógłby zagrozić ich pozycji. Koło się zamyka...

Teraz przejdźmy do innej pańskiej książki. Chodzi o „Polidruki. Potrawę z książek i ludzi”. Wraca w niej pan m.in. do czasów swojego zaangażowania w próbę odtworzenia chrześcijańskiej demokracji w III Rzeczypospolitej. Działal pan w odrodzonym Stronnictwie Pracy, potem w Porozumieniu Centrum. Chadecja jednak w Polsce się nie odrodziła. Dlaczego?

Nie jestem pewien, czy w pewnym momencie się nie odrodziła. Na pewno nie wprost, bo żadna partia mająca w nazwie słowa „chrześcijańska demokracja” nie odniosła sukcesu w III RP. Natomiast istota programowa, ten swoisty balans między wolnym rynkiem a prawami pracowniczymi, pochylenie się nad tzw. zwykłym człowiekiem, godzenie wolności i własności z miłosierdziem i solidarnością, należne miejsce tym prawdom i wartościom, które z chrześcijaństwa płyną w życiu społecznym – to wszystko jest przecież obecne w niejednym ruchu politycznym w III RP. Tyle tylko, że nie są one skłonne do tego się przyznawać. Pewnie nie wierzą w marketingową stronę hasła „chadecja”.

Można powiedzieć, że liberalizm lat 90. też stał się passé. Nawet Donald Tusk zaczął się licytować z PIS na retorykę socjalną.

Ale w jego przypadku są to tylko słowa, które na nic się nie przekładają. W odniesieniu do jego ugrupowania w obecnym kształcie trudno w ogóle mówić o jakimkolwiek programie, nie tylko wyborczym. Teraz to jest taka partia bębenek. Jak im zastukają, tak rezonują.

I na koniec chcę poruszyć jeszcze jeden wątek z „Polidruków”... W kontekście oskarżeń stawianych prawicy w Polsce przez środowiska lewicowe o to, że swoim twardym sprzeciwem wobec niekontrolowanej imigracji z Afryki i Azji krzewi postawy rasistowskie, napisał pan, że nie można walki z rasizmem oddawać na wyłączność „lewackim totalitarystom”. Czytając, od razu sobie myślałem, że nie można walki z politycznym ruchem LGBT oddawać na wyłączność Władimirowi Putinowi. Ale dotykamy tutaj istotnego problemu, który trapi polską debatę publiczną, czyli zamykanie się w „bańkach”, szufladkowanie stanowisk politycznych. Pańska postawa wydaje się odmienna.

Przede wszystkim uważam, że należy przeciwstawiać się masowej imigracji (podkreślam słowo „masowej”), zwłaszcza jeśli miałyby się ona dokonać poprzez narzucanie suwerennemu państwu polskiemu jakichkolwiek obowiązków w zakresie przyjmowania na swe terytorium obywateli obcych, i to wszystko jedno, skąd by oni pochodzili – z Afryki czy z Ameryki. To jest kwestia imponderabilii państwowych. Żadna Bruksela ani żaden Berlin czy ktokolwiek inny nie mają prawa czegokolwiek nam tu dyktować. Natomiast nie można dopuścić, by taka polityczna postawa miała rasistowski podtekst, bo sam rasizm jest głupi, pozbawiony podstaw naukowych i głęboko antychrześcijański. To, że człowiek jest takiej czy innej rasy, tak czy inaczej wygląda, nie decyduje o jego wartości.

Ale to jest stwierdzenie banalne.

A cóż ja na to poradzę, że prawda bywa banalna? Dla pana i dla mnie banalna, ale dla wielu innych już nie, skoro są szczerzy rasistami i uważają, że czarny – zły, a biały – dobry. Albo na odwrót, bo zdarza się też czarny rasizm. Leczą swoje własne kompleksy, chcąc znaleźć kogoś „mniej wartościowego” niż oni sami.

W Polsce jednak tego rodzaju zjawiska nie są w głównym nurcie debaty publicznej. Dlatego zarzut rasizmu interpretuję jako walkę z chochołem.

Nie jestem o tym przekonany. Masom bardzo łatwo można sprzedać pewien prymitywny przekaz. Szczuć na ludzi, żeby osiągnąć krótkotrwały polityczny profit. Jeżeli wielokrotnie powtarza się, że Arab zabił kogoś nożem, a Murzyn defekował do stawu, to się pewien stereotyp w społeczeństwie utrwali. Gdyby za każdym razem, gdy popełnia się w Polsce zabójstwo (ponad jedno dziennie), indyjska telewizja informowała o wyznaniu zabójcy, Hindusi gotowi by pomyśleć, że w czasie niedzielnych mszy rozdawane są w kościołach noże. Zachowajmy umiar i zdrowy rozsadek.

Tyle że to tylko jedna strona medalu. Natomiast jego drugą stroną jest tabuizacja narodowości przestępców. Na przykład teraz w Polsce mamy problem z przestępczością rodem z byłych republik sowieckich, zwłaszcza z Zakaukazia.

Tu muszę się zgodzić, ale to w gruncie rzeczy to samo zjawisko manipulowania danymi, tyle że w przeciwnym celu. Są środowiska, które będą chciały przemiłczeć relevantną cechę, którą może być pochodzenie etniczne sprawcy przestępstwa, gdy będzie to politycznie wygodne. Bądźmy po prostu uczciwi. Chodzi też o to, żeby nie dostarczać argumentów ludziom, którzy już zawodowo zajmują się budowaniem fałszywej narracji o wszechobecnym w Polsce rasizmie i przypisują Polsce na całym świecie brunatną gębę. Kręcą o tym filmy, piszą książki, udzielają wywiadów. Ale nie dawajmy im ku temu żadnej okazji. Niech ich mowa pozostanie kłamstwem, a my pozostajmy sobą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

dr hab. Jan Majchrowski – prawnik, politolog, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, sędzia Trybunału Stanu. W latach 1998–2000 był kolejno podsekretarzem stanu w MSWiA i pierwszym wojewodą lubuskim. W roku 2018 został sędzią Sądu Najwyższego w Izbie Dyscyplinarnej. W roku 2021 zrzekł się tego urzędu w proteście wobec uleganiu przez SN naciskom TSUE i uniemożliwieniu mu sądownictwa sędziów. Autor książek esejistycznych „Przeciw uzbrojonym analfabetom” (2023) oraz „Polidruki. Potrawa z książek i ludzi” (2024), o których pisał Krzysztof Masłoń w „Do Rzeczy” (nr 5/2025).



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOZERCA

Drang nach Osten

Publikacji na temat polityki Niemiec wobec Polski jest coraz więcej. Problem w tym, że są na ogół obszerne i przeznaczone dla wyrobionego czytelnika. Reszta tego nie rozumie i do tego nie sięga. Co ważne, jest też wiele publikacji niemieckich na ten temat i są one czytane. Cukierkowe, ckliwe wystąpienia z obu stron przy różnych okazjach nie zmieniają tego obrazu. Jesteśmy usypiająco informowani, że przecież jest dobrze i będzie jeszcze lepiej. A że tak naprawdę nic istotnego nie możemy osiągnąć, to tylko przez naszą niecierpliwość.

W istocie polityka Niemiec wobec nas jest niezmienna, z drobnymi w sumie odchyleniami. Reparacje? Jakże? A „wypędzenia” Niemców po 1945 r. – to jest dopiero tragedia! Byliśmy pod częściowym zaborem niemieckim przez 123 lata. Przez ten czas trwało brutalne niemieczenie na różnych poziomach, począwszy od kościołów (zakaz polskiej mowy!), szkoły, wojska, pracy. Pokolenie, które po 1918 r. wyszło z tych opresji, wskazywało, że jeszcze dwa–trzy pokolenia i mogliśmy zniknąć, jak onegdaj Prusowie (i inne plemiona bałtyckie), Słowianie Zachodni, lub co najwyżej skończyć jako nieistotna mniejszość, co spotkało Serbołużyczan.

Wydawało się, że po rozbiorach Niemcy, osłabieni klęską pierwszej wojny światowej, dadzą nam wreszcie

spokój. Tak się nie stało. Nie pogodzili się z utratą Pomorza i części Śląska. Tylko garstka Niemców wierzyła, że konsekwencje systemu wersalskiego będą trwałe, a Polacy przetrwają jako naród. Reszta uważała Polskę za państwo „sezonowe” i czekała na okazję, aż pojawi się jakiś wódz, który odbuduje potęgę Rzeszy, kosztem wschodnich sąsiadów. I pojawił się, wpajając Niemcom poczucie zemsty za odniesione „krzywdy” i straty terytorialne. To zaczęło się zaraz po ich kapitulacji w 1918 r.

W 1920 r. szef sztabu armii niemieckiej generał Hans von Seeckt pisał: „Istnienia Polski nie można tolerować. Jest ono niezgodne z przetrwaniem Niemiec. Kraj ten musi zniknąć i zniknie wskutek swoich własnych słabości i działań Rosji – przy naszej pomocy. Dla Rosji Polska jest jeszcze bardziej nie do zniesienia niż dla nas: żaden Rosjanin nie pozwoli, aby Polska istniała”. Von Seeckt nie był prorokiem, był niemieckim imperialistą i te dążenia urzeczywistniły się w 1939 r., gdy Niemcy i Związek Sowiecki dokonali kolejnego rozbioru Polski.

Warto tu przypomnieć, co „zwycyżajni” Niemcy wypisywali białą farbą na wagonach, w których dywizje Wehrmachtu jechały na front: „Jedziemy do Polski zabijać Żydów”. Nas już zabijali od 1 września, palili żywcem jeńców i ludność cywilną... ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wielkanoc roku 966

W czasach pierwszych Piastów dwór książęcy nie posiadał stałej siedziby. Władca przemieszczał się po kraju, nadzorując wykonywanie poleceń, ściągając należności i sprawując sądy. Ze względów ekonomicznych było to wygodne rozwiązanie, gdyż ówczesna ludność nie wytrzymałaby obciążeń związanych ze stałym utrzymaniem dworu. Jednak ulubioną rezydencją Mieszka I był Ostrów Lednicki. W czasach, kiedy składano tutaj ofiary Swaróżycowi, gród na wyspie na jeziorze łączyły z lądem dwa potężne drewniane mosty zapewniające bezpieczny transport. Być może właśnie w tym miejscu Mieszko I przyjął chrzest.

Badacze do dziś spierają się o większość spraw związanych z tym faktem. Nie wiadomo, gdzie książę się ochrzcił, i nie znamy też dokładnej daty tego wydarzenia. Padały różne propozycje: Poznań, Gniezno, a nawet Praga czy Ratyżbona. Ostrów Lednicki jest jednak najbardziej prawdopodobnym miejscem. Data roczna chrztu księcia i jego otoczenia nie budzi większych wątpliwości, ale data dzienna jest tylko hipotezą. Naukowcy są jednak niemal jednomyślni, że zgodnie z obyczajami epoki była to Wielka Sobota, która w 966 r. wypadała 14 kwietnia.

Mieszko nie myślał jak polityk nam współczesny, był to inteligentny człowiek, ale niedawno wynurzył się z przepastnych borów i nie

zastanawiał się nad tym, co będzie za kilkaset lat. Przyjął chrześcijaństwo dla doraźnego zwiększenia swoich sił, gdyż nowa religia ułatwiała zrastanie się państwa w jedną całość, a przy okazji znikali dawne plemienne bóstwa i ich kapłani. W zamian pojawili się chrześcijańscy duchowni znający pismo, co ułatwiała rządy.

Chrzest przyjęto za pośrednictwem Czech, ale władcy z Pragi byli zależni od Niemiec, a tamtejsi biskupi traktowali ziemie słowiańskie jako podległe sobie. Ponadto niemieccy duchowni musieli się pojawić w kraju Polan, gdyż wystarczającej liczby księży i zakonników nie było w Czechach, a do Italii czy Burgundii było bardzo daleko. Zatem od samego początku niemiecka hierarchia mogła liczyć na wpływy nad Wartą i Wisłą.

Warto też zauważyć, że nie wiadomo, jak naprawdę miał Mieszko na imię. Brzmienie zapisano po łacinie i nie znamy jego słowiańskiego odpowiednika. Dawni historycy uważali, że książę nazywał się Mieczysław, później próbowano księcia nazywać: Kazimierzem, Lubomirem, Mietsławem i jeszcze innymi imionami. Część badaczy uważa jednak, że na chrzcie książę otrzymał nowe chrześcijańskie imię. Jedyny zachowany dokument z jego czasów nazywa go Dagome, co być może jest łacińską wersją imienia Dagon lub Dagobert. Tego zapewne jednak nigdy już nie ustalimy. ©



RYSZARD GROMADZKI: 0 roku ów! – chciałoby się powiedzieć. Tysiąc lat temu Bolesław Chrobry koronował się na pierwszego króla Polski. Wszystkie wskazuje na to, że w tym samym 1025 r. korona polska została podniesiona po raz drugi, a włożył ją następca Bolesława, jego syn Mieszko II. Najbardziej prawdopodobną datą pierwszej w naszych dziejach koronacji jest Wielkanoc, która 1000 lat temu przypadała 18 kwietnia. Ale, panie profesorze, pewności co do tej daty nie mamy?

PROF. WOJCIECH POLAK: 18 kwietnia 1025 r. jest najbardziej prawdopodobną datą, choć – jak to bywa z wydarzeniami z okresu wczesnego średniowiecza – pewności nie ma. Możemy zakładać, że koronacja Chrobrego mogła mieć miejsce także w innych dniach, np. w Zielone Świąta, czyli kilka tygodni później, 6 czerwca. Mogło to wydarzyć się 23 kwietnia, czyli w święto św. Wojciecha. Prawdopodobna jest też koronacja w Boże Narodzenie roku 1024, wzorem Karola Wielkiego, który także koronował się właśnie w dniu Bożego Narodzenia. Jak widać, są różne alternatywne możliwości co do terminu koronacji, ale wśród historyków jest przekonanie, że Wielkanoc 1025 r. jest najbardziej prawdopodobną datą. Największe chrześcijańskie święto, związane ze Zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa, najlepiej odpowiada randze tak szczególnego wydarzenia, jakim jest koronacja władcy.

Czy uzyskanie korony królewskiej przez władcę państwa, które dopiero co przyjęło chrześcijaństwo i twardo walczyło o swoją pozycję międzynarodową, mając na zachodzie za sąsiada Niemcy, wymagało szczególnej zręczności politycznej?

Wydaje się, że za rządów Ottona III, z którym Chrobry miał znakomite relacje, czego dowodem są zjazd gnieźnieński w 1000 r. i to, co nastąpiło przed zjazdem, w jego trakcie i po nim (czyli przede wszystkim utworzenie hierarchii kościelnej, ze stolicą arcybiskupią w Gnieźnie i podległymi jej biskupstwami, a w wymiarze europejskim plan wskrzeszenia Imperium Rzymskiego, którego składową byłaby „Sclavinia”, gdzie panowała Chrobry), zaistniał dobry grunt do uzyskania przez polskiego księcia korony królewskiej. Nadzieję na to dawał słynny gest Ottona III podczas zjazdu gnieźnieńskiego, kiedy ten ściągnął cesarski diadem i nałożył go na głowę Bolesława. Ten gest cesarza z pewnością można było traktować jako zapowiedź koronacji. Ale



Z prof. Wojciechem Polakiem, historykiem z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, autorem książki „Pierwsza koronacja. Mocarstwo Bolesława Chrobrego”

rozmawia Ryszard Gromadzki

Mocarstwo Bolesława Chrobrego



FOT. ZBIERAK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE



koronacja nie nastąpiła, a sprawy zaczęły się komplikować. Jest zastanawiające dlaczego? Prawdopodobne jest, że cesarz, przybywając do Gniezna z pielgrzymką z okazji 1000-lecia chrześcijaństwa, na grób świętego, którego znał i z którym się przyjaźnił, liczył, że będzie mógł zabrać szczątki Wojciecha i złożyć je w kościele pod wezwaniem tego świętego (i św. Paulina z Noli) na Wyspie Tybrowej. Chrobry jednak całości szczątków świętego nie dał, z wyjątkiem ramienia. Notabene historia tej relikwii to temat na osobną opowieść. Bolesław zdawał sobie sprawę, że większość szczątków św. Wojciecha musi pozostać na miejscu, bo stanowi to fundament metropolii kościelnej w Gnieźnie, według ówczesnych zwyczajów. Nie wiem, czy Otton III nie poczuł się z lekka urażony. To moja hipoteza. Ale jest prawdopodobne, że to wydarzenie skomplikowało starania Chrobrego o koronę.

Musiało upłynąć 25 lat, żeby te starania zostały zwieńczone sukcesem...

Podkreśliśmy jednak, że po zjeździe gnieźnieńskim Chrobry dość usilnie zabiegał w Rzymie o koronę. Nie udało mu się, choć jego pozycja międzynarodowa była bardzo mocna. Przypuszcza się, że na dworze króla niemieckiego, a później cesarza Henryka, Bolesław był traktowany jako ktoś postawiony wyżej niż książę, jako władca, który miał swoją rangę, i Niemcy zdawali sobie z tego sprawę. Sam Chrobry nie ukrywał królewskich ambicji, bijąc monety nie tylko z napisem „Boleslus Dux”, lecz także „Boleslaus Rex”, i na pewno robił to, zanim się koronował. Miał zatem poczucie, że jest władcą potężnym i że korona mu się należy. Zgodnie z panującym wówczas zwyczajem na tę koronę powinni zgodzić się i papież, i cesarz. Trzeba pamiętać, że z tym drugim Chrobry prowadził długotrwałą wojnę, aż do pokoju w Budziszynie w roku 1018. W tej sytuacji o zgodzie cesarza Henryka II na koronację nie mogło być mowy. Z kolei papież był mocno zależny od cesarza. W 1024 r. sytuacja się nieco klaruje, bo umierają zarówno cesarz, jak i papież. Są nowi cesarz, Konrad II, i nowy papież, Jan XIX. Cesarz nie zgadzał się na koronację w żadnym wypadku, nie wiemy, jakie stanowisko w tej sprawie zajął nowy papież. Niektórzy historycy twierdzą, że papież pewnie się zgodził. Moim zdaniem

to mało prawdopodobne ze względu na zależność nowego papieża od cesarza, która też była daleko idąca. Takie stanowisko przedstawiam w książce: Chrobry koronował się, nie pytając o zgodę ani papieża, ani cesarza. To okazało się skuteczne. Zwróćmy uwagę, że nikt nie podważał rangi królewskiej naszego państwa. Podkreśliśmy, że w tym samym 1025 r. na króla koronuje się także syn Bolesława Chrobrego, Mieszko II, i również jego małżonka, Rycheza. Rycheza, która później wyjeżdża do Niemiec, a tam nikt nie ma oporów, żeby nazywać ją królową Polski.

Na ile fakt, że nikt nie podważał statusu królewskiego Chrobrego i jego państwa, wynikał z silnej osobowości tego władcy?

Na pewno miało to swoje znaczenie. Podkreśliśmy, że w Niemczech koronacja wywołała raczej niechętnie reakcje, co wynika z zapisów kronikarskich. Ale ta niechęć nie była pozbawiona respektu. Taka była pozycja Chrobrego wobec Niemiec. Niemcy może go nie kochali, ale się z nim liczyli. Bolesław potrafił prowadzić bardzo umiejętną politykę. Pamiętajmy, że w dzieciństwie był zakładnikiem na dworze niemieckim. W związku z czym znał dobrze język niemiecki, ale zawiązał też przyjaźnie, które później procentowały. Chrobry wiedział, jak wśród panów niemieckich się obracać, jak z nimi rozmawiać.

Przedstawia pan w książce pogląd, że Bolesław miał wśród nich swoich stronników, których prawdopodobnie opłacał.

W 1002 r. w Merseburgu, kiedy cesarz próbował go zgładzić, Bolesław uszedł cało dzięki pomocy swojego przyjaciela, margrabiego Henryka ze Schweinfurtu. Miał zresztą w Niemczech więcej przyjaciół. Z kroniki Thietmara wynika, że Henryk II co jakiś czas rugał swoich wielmożów za to, że utrzymują z polskim księciem zbyt przyjazne relacje. To pokazuje, że Chrobry był nie tylko świetnym władcą i wojownikiem, lecz także doskonałym dyplomata. Osiągnięcia militarne Bolesława to osobna sprawa. Chrobry potrafił walczyć z Niemcami i miał na tym polu wielkie sukcesy. Jego zadziorność, to, że potrafił kreślić i skutecznie realizować ambitne plany, sprawiał, że zdobył Miłsko i Łużyce. Gorzej powiodło mu się tylko

z Miśnią, której nie zawojował, choć przejściowo miał ją w swoim władaniu. Książę zdawał sobie sprawę, że jest to droga do Europy Zachodniej, i koniecznie chciał mieć kontrolę nad tymi prowincjami.

Pokój z Henrykiem II Chrobry też zawarł na swoich warunkach, w Budziszynie w 1018 r., na ziemi, którą kontrolował, a nie na terenie Niemiec, na co nastawał cesarz...

To, że Bolesław doprowadził do podpisania układu pokojowego na swoim terytorium, było wielkim sukcesem, miało ogromne znaczenie według ówczesnych zwyczajów. Ale wcześniej, kiedy cesarz wyruszył z wojskiem na Poznań, poprzez wojnę szarpaną, doprowadził do takich strat sił niemieckich, że cesarz nie miał innego wyjścia i musiał zgodzić się na podpisanie układu w Poznaniu, całkiem korzystnego dla Chrobrego. Przy tym książę był człowiekiem rycerskim.

Jak ta rycerskość się przejawiała?

Chrobry był przesiąknięty zwyczajami rycerskimi, pewną szlachetnością, której pozbawieni byli nawet Niemcy. Henryk II nie kultywował zwyczajów rycerskich w takim stopniu jak Bolesław. Przykładem może być bitwa stoczona w krainie Działoszan w 1015 r., przed pokojem w Budziszynie. Niemcy ponieśli w niej totalną klęskę. Ginie w niej 200 najlepszych rycerzy niemieckich. Ginie margrabia Gero. Trupy zalegają pole, Henryk II był zdruzgotany do tego stopnia, że gotowy był osobiście pochować poległych rycerzy. Wyperswadowano mu, żeby tego nie robił, bo wpadnie w ręce Polaków. Ostatecznie cesarz wysłał na pobożowisko biskupa Miśni, Idziego. I co robi ten biskup? Modli się nad poległymi i płacze. Polacy, widząc to, podeszli do niego i powitali go z uszanowaniem. Następnie udzielili mu wszelkiej pomocy. Zebrali poległych z pola bitwy, wykopali groby, uczestniczyli w pogrzebach. Na koniec załadowali na wóz zwłoki margrabiego Gerona oraz jeszcze jednego rycerza i pozwolili mu spokojnie odjechać. Czyż to nie było zachowanie rycerskie?

Z pewnością tak. To tym bardziej zaskakujące, że mówimy o władcy, którego państwo ledwie 60 lat wcześniej porzuciło pogaństwo.

Dodajmy do tego zapał misyjny Chrobrego.



Ten zapal wynikał przede wszystkim z wiary chrześcijańskiej, którą wyznawał książę, czy bardziej z różnych jego politycznych kalkulacji?

Wspieranie akcji misyjnej na pewno wiązało się też z politycznymi planami Bolesława. Trudno udawać, że tak nie było. Jednakże Chrobry kierował się czymś więcej. Miał na sercu rzeczywiście chrystianizację ludów, które sąsiadowały z jego państwem, pozostających w mrokach pogaństwa. Dowodem tego pragnienia były misje św. Wojciecha do Prusów czy św. Brunona z Kwerfurtu do Jaćwingów. Obie zakończone tragicznie. Dodajmy do tego także przygotowywaną misję do Wioletów Pięciu Braci Polskich, którzy ponieśli śmierć męczeńską jeszcze na terytorium Polski.

W Międzyrzeczu...

Opowiadał się za niektórymi historykami polskimi za wersją, zgodnie z którą raczej byli oni z Kazimierza Biskupiego, a nie z Międzyrzecza. W każdym razie tych Pięciu Braci Męczenników miało iść ewangelizować pogańskich Wioletów. Nie poszli, bo wcześniej zostali zamordowani. Te plany snuł jeszcze Chrobry w porozumieniu z Ottonem III.

Święty Brunon z Kwerfurtu, który wyruszył z misją ewangelizacyjną do Jaćwingów przy poparciu Bolesława, wręcz apelował w słynnym liście do cesarza Henryka II, aby nie wojował z polskim księciem. Święty Brunon przyznaje w tym liście wprost, że Bolesław Chrobry jest jego patronem i szlachetnym władcą chrześcijańskim, przeciw któremu nie powinno prowadzić się działań wojennych. Wytyka także Henrykowi II sojusz z pogańskim Wioletami. Gdy Henryk II próbował zdobyć w 1017 r. gród Niemcę, kiedy Wieleci wpadali na wały obronne, Polacy stawiali naprzeciw nich krzyże. Proszę zwrócić uwagę na absurd sytuacji. Armia chrześcijańskiego cesarza posługuje się poganami, przeciw którym Polacy wystawiają krzyże, niejako w obronie przed pogańskimi diabłami, jak ich nazywano.

Przy tym wszystkim Bolesław był dzieckiem swojej epoki, w której okrucieństwo było na porządku dziennym. Czy o Chrobrym można powiedzieć, że był władcą okrutnym?

Rzeczywiście, okrucieństwo było wtedy cechą postępowania. Bolesław Chrobry oślepił swojego wuja, Bolesława



Koronacja Bolesława Chrobrego na grafice Władysława Oleszczyńskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Couronnement de Boleslas-le-Grand, à Gniezno.

wa Ryżego, króla Czech, i przejął po nim rządy. Odnosząc się do tego wydarzenia, prof. Jerzy Strzelczyk pisze, że jak na ówczesne standardy Bolesław postąpił i tak łagodnie, bo powszechną praktyką było zabijanie oponentów. Taki był wtedy sposób rozumowania. Bolesław oślepił również dwóch wielmożów – Przybywoja i Odolana – na początku swojego panowania. Trudno nam to dziś zaakceptować, ale takie to były czasy. Gall Anonim przytacza opowieść, z której wynika, że Chrobry wydawał wyroki śmierci, a później tego żałował. Według Galla za sprawą królowej Emnildy te wyroki nie były wykonywane, a później przy uczcie Emnilda mówiła, że może wyroki orzeczono zbyt pochopnie, na co król odpowiadał, że gdyby można było przywrócić skazańcom życie, toby to uczynił. Wtedy wszyscy obecni padali na twarz, mówiąc, że skazańcy żyją, a oni proszą o ich ułaskawienie. Król przychylił się do tych próśb i ułaskawiał skazanych, tylko niektórych ku przestrodze smagano jeszcze po tyłkach witekami. Z relacji Galla wynika, że król prawdopodobnie wiedział, co wyprawia jego żona. Wiele wskazuje, że była to inscenizacja, bo przecież władcy byłoby głupio samemu cofać swoje wyroki.

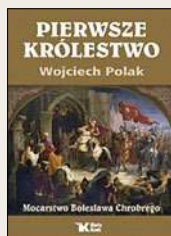
Gall Anonim opisuje zresztą, że Emnilda, chcąc wyjednać ułaskawienie skazanych, przytulała się do Bolesława i gładziła go po piersi. Wobec takich zabiegów ten nie pozostawał obojętny i godził się na ułaskawienie. Co zresztą też świadczy dobrze o władcy, który był impulsywny, potrafił się unieść, a także zreflektować.

Jaka była kondycja państwa Bolesława?

Na pewno było to państwo, nad którym trzeba było pracować. Powstawały nowe grody, które niewątpliwie umacniały to państwo militarnie. Postępowała chry-

stianizacja. Powoli, bo powoli, ale jednak. Zauważmy, że św. Wojciech, przybywając do Gdańska w 997 r., chrzcił tamtejszą ludność; niby chrzest Mieszka dokonał się w 966 r., ale wypalenie pogaństwa nie było procesem ani szybkim, ani łatwym. Chrobry zaprowadzał zresztą nowy porządek dość brutalnie. W kronice Thietmara są wzmianki, że za łamanie postu wybijano zęby. Stopniowo, dzięki chrystianizacji, konsolidacja państwa postępowała. Są głosy wśród historyków, że ten proces przebiegał zbyt gwałtownie, wiązał się z uciskiem ludności (także podatkowym), co potem wywoływało bunty. Wracając do struktury państwa Bolesława, opierała się ona na sieci grodów, w których przebywał władca. Trudny do obrony jest pogląd, że stolicą państwa było wówczas Gniezno. Owszem, było stolicą kościelną, siedzibą metropolii. Ale król, a wcześniej książę, nie rezydował tam na stałe. Bolesław z dworem przebywał w różnych grodach. Po zjedzeniu zapasów ruszano dalej. Najpotężniejszym grodem był jednak Poznań. Niektórzy mają do mnie pretensje w związku z tym twierdzeniem. Ale bezdyskusyjne jest, że chrzest Polski dokonał się właśnie w Poznaniu. Wykopaliska prowadzone przez znakomitego archeologa, panią profesor Hannę Kóckę-Krenz, to potwierdzają.

Koronacja Chrobrego też miała miejsce w Poznaniu. W 1018 r. spłonęła katedra gnieźnieńska. Odbudowa w tamtych czasach trwała dość długo. Nie mogło być mowy o dokonaniu tego w cztery lata, jak to miało ostatnio miejsce z katedrą Notre Dame. Katedra w Poznaniu była imponująca. Tam zresztą Bolesław Chrobry został pochowany (zapewne na własne życzenie). Trudno zresztą wyobrazić sobie, żeby został koronowany gdzie indziej niż w Poznaniu. Jak powiedziałem, niektórzy



WOJCIECH POLAK
„PIERWSZE
KRÓLESTWO.
MOCARSTWO
BOLESŁAWA
CHROBREGO”
BIĄŁY KRUK
2025

mieszkańcy Gniezna mają do mnie o to pretensje. Ale co ja mogę zrobić? (śmiejch).

Skupiliśmy się na wieloletniej rywalizacji z Niemcami, wojnach z Cesarstwem Niemieckim, z których Chrobry potrafił wyjść zwycięsko. Ale przecież równie dobrze radził on sobie na innych frontach. Na przykład na południowym wschodzie w konfrontacji z Rusią Kijowską. Chrobry odzyskał Grody Czerwieńskie, wyprawił się też z powodzeniem na Kijów.

Były dwa aspekty tej wyprawy. Pierwszy to uwolnienie więzionej córki, drugi motyw wiązał się ze zdobyciem łupów. Zastanawiamy się czasami, czy Chrobry nie miał ambicji zjednoczenia Słowiańszczyzny, wszystkich krajów słowiańskich pod swoim berłem. Szczęrze mówiąc, nie wygląda na to. Kiedy ok. 1007 r. stracił Pomorze Zachodnie z Kołobrzegiem, w gruncie rzeczy nie zrobił nic, żeby je odzyskać. Nie palił się też do wojny z Wioletami. Stracił Czechy, zachował Morawy, straci je dopiero Mieszko II w 1031 r. Podobnie rzecz się ma ze Słowacją, choć tu ze względu na szczupłość źródeł nie do końca wiadomo, czy zdobył ją w 999 r., a może w 1003 r., stracił zaś po pokoju w Budziszynie w 1018 r., możliwe jednak, że stało się to dopiero za Mieszka II w 1031 r. Tego nie wiemy. Z pewnością Chrobry miał przez pewien czas Słowację we władaniu. Wracając do wyprawy na Ruś Kijowską, miała ona – jak powiedziałem – motyw łupieżczy. Ten cel został zrealizowany. Chrobry prawdopodobnie odzyskał córkę, zdobył ogromne łupy i pokazał swoją potęgę. Nie omieszkał zresztą wysłać z Kijowa listów do cesarza Henryka II i cesarza bizantyjskiego Bazylego II, informując ich o swoim sukcesie.

Dowodzi pan, że wbrew legendzie Chrobry wcale nie wyszczerbił miecza, uderzając nim w Złotą Bramę w Kijowie...

To są bajki. Wprawdzie ta brama była wtedy budowana, więc teoretycznie mógłby to zrobić. Ale po co? Tak samo rzecz się ma z opowieściami o zhańbieniu księżniczki Przedstawy przez Bolesława.

Czyli okrutnego gwałtu na Przedstawie przypisywanego Chrobremu nie było?

Przywiózł ją do Polski z Kijowa. Prawdopodobnie doszło do jakiegoś

konkubinatu. Chwały mu to nie przynosi, bo miał żonę. Wtedy już czwartą, Odę, po śmierci Emnildy. Ale jest jednak różnica między zdradą a gwałtem. Trzeba z ostrożnością podchodzić do relacji kronikarzy w tej sprawie. Chodzi o kroniki Nestora, Galla Anonima i innych.

Co wiemy o ostatnich latach życia Chrobrego?

Niestety, mamy tu do czynienia z nieszczęśliwym spłotem okoliczności. Thietmar umiera

w 1018 r. On nie lubił Polaków, nie przepadał też za Chrobrym, choć był w pewnych fragmentach tej kroniki bardzo uczciwy. W związku z urwaniem się jego kroniki w 1018 r. o okolicznościach koronacji, ostatnich latach i dniach Chrobrego nie wiemy kompletnie nic. Wiemy na pewno, że spośród trzech synów, których miał, na swojego następcę wybrał Mieszka II, którego miał z ukochaną Emnildą. Bezpryma, syna z wcześniejszego małżeństwa, wysłał do Włoch, do klasztoru. Schedę przekazał Mieszkowi II, którego konsekwentnie wdrażał w działania polityczne i militarne. Chrobry za wszelką cenę dążył do utrzymania jedności państwa. Stąd jego starania o koronę. Królestwa się przecież nie dzieli.

Król jako pomazaniec Boży był gwarantem ciągłości państwa i jego integralności?

Oczywiście. Tego dziedzictwa nie wolno było już dzielić. Niestety, wszystko potoczyło się inaczej, w sposób bardzo dramatyczny. W każdym razie Chrobry był głęboko przeświadczony, że Polscy tytuł królewski się należą, że jesteście potężnym państwem. A to, że nie zostaliśmy królestwem już w 1000 r., to wielka niesprawiedliwość. I zrobił to, co zrobił, nie pytając nikogo o zgodę.

Intrygująca jest druga część tytułu pana książki: „Mocarstwo Bolesława Chrobrego”. Czy państwo, którym rządził Chrobry, rzeczywiście miało tak silną pozycję w ówczesnej europejskiej cywilizacji Christianitas?

To było mocarstwo na skalę europejską. Musimy zważyć, które inne państwo mogło równać się z Polską Chrobrego, powierzchnią czy potencjałem. Ktoś powie: Cesarstwo Rzymskie, czyli Niemcy. Ale Niemcy są wprawdzie rządzone przez

cesarza, tyle że bardzo rozdrobnione. To archipelag księstw skłóconych ze sobą, do tego często buntujących się przeciw cesarzowi. Chrobry rządził państwem centralizowanym i takich kłopotów nie miał. Także pod względem terytorialnym było to potężne państwo, w którego skład wchodziły także Łużyce, Miłsko, Morawy, Słowacja i Grody Czerwieńskie, a przejściowo też Czechy, Miśnia i Pomorze Zachodnie. Bolesław był bez wątplenia władcą, który wtedy w Europie grał pierwsze skrzypce. Zależało mu na panowaniu na terenach graniczących z Europą Zachodnią, czyli chciał, żeby Polska była siłą rozdającą karty na całym kontynencie. I to mu się udawało. Zauważmy, że Chrobry stracił Czechy, bo odmówił złożenia z nich hołdu lennego cesarzowi. Był władcą realnie niezależnym. To jemu zawdzięczamy, że Polska stała się ważnym elementem europejskiej równowagi.

My, Polacy, powinniśmy mieć w związku z tym uzasadnione powody do dumy z tego wielkiego dziedzictwa. Rządzący dziś polskim państwem chyba jej nie odczuwają, bo obchody 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego są więcej niż skromne. Przynajmniej jeśli chodzi o wymiar państwowy. Czy to nie kompromitacja?

Niestety, nie ma żadnych oficjalnych obchodów rządowych. A przecież można by je przeprowadzić z rozmachem w Poznaniu czy Gnieźnie. Mam nieodparte wrażenie, że Donald Tusk nie chce świętować razem z prezydentem Polski. Tak jak nie występuje z prezydentem 3 maja i 11 listopada (akurat ma jakieś choroby, zabiegi etc.). To godne ubolewania. Na szczęście jest dużo obchodów samorządowych. Sporo wydarzeń związanych z 1000-leciem koronacji organizuje też Kościół. 12 kwietnia w Warszawie odbył się Marsz Chrobrego. Organizowane są konferencje naukowe, wychodzą książki, choćby moja. W Poznaniu i Krakowie nie brakuje miejsc związanych z wielkim dziedzictwem Bolesława Chrobrego. Każdy, kto tylko chce, może więc pokłonić się naszemu pierwszemu królowi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Wojciech Polak – profesor nauk humanistycznych w zakresie historii, nauczyciel akademicki, autor kilkudziesięciu książek, publicysta i konsultant naukowy filmów historycznych.



Donald Trump i J.D. Vance w Gabinetce Ovalnym Białego Domu, 28 lutego 2025 r.
FOT. ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

Pryncypialny reakcjonista

Cztery lata rządów administracji Joe Bidena i jej skrajnie nachalnej agendy spod znaku woke wytworzyło w świecie zachodnim na tyle silnie odczuwalną pustkę konserwatywnego przywództwa, że nadejście Donalda Trumpa, przekreślające wiele dotychczasowych szaleństw rodem z USA, jawi się z jednej strony jako wybawienie, z drugiej, w tych nadzwyczajnych okolicznościach światopoglądowej zmiany, rodzi pokusę bezkrytycznej idealizacji nowego amerykańskiego kierownictwa. Jednocześnie trudno nie dostrzec niesamowitej krytyki, której poddawana jest administracja Trumpa, zarówno w USA, jak i w Europie, w ramach kilkupoziomowego ataku natury politycznej i medialnej, w tym w zorganizowany sposób także w mediach społecznościowych.

I jeśli sama krytyka jest rzeczą spólną w świecie demokracji, to w tym



Wojciech Golonka

Aura prezydenckiej potęgi otaczająca obecnie Donalda Trumpa nie powinna przesłaniać nam, że w istocie casus rumuński był wcześniej implementowany właśnie w Ameryce. Główny populistą świata ze swą spuścizną miał skończyć jeśli nie za kratami, to przynajmniej na śmietniku historii. Tyle że amerykański system nie był wystarczająco domknięty

wypadku chodzi ewidentnie o zespolone i skoordynowane działania znacznie wykraczające nawet poza rozgrzaną rywalizację polityczną. Wyłaniający się z tej ogólnej wrzawy obraz brutalnej werbalnej wojny zdradza w rzeczywistości ciśnienie, któremu poddane są zachodnie liberalne elity przez sam fakt powrotu

Trumpa do władzy. W walce tej nie chodzi w pierwszym rzędzie o wojnę celną między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą i Unią Europejską – choć jest to niewątpliwie element tej układanki. Nie chodzi też na pierwszym miejscu o geopolityczną rywalizację, choć rozłam w podejściu do wojny na Ukrainie jest niezwykle istotny,



a amerykańska rozgrywka o Grenlandię ma czym rozszerzać partnerów USA. Innymi słowy, spory nieschodzące z czołówek gazet nie mówią tego, co najważniejsze, choć bez wątplenia dostarczają powodów do ochoczej nienawiści żywionej przez postępowe elity do samego Trumpa i jego świty.

W rzeczywistości kość niezgody jest tu natury metapolitycznej i po części także nawet duchowej, niekonicznie w znaczeniu nadprzyrodzonym, choć pogłębiona refleksja dostrzegłaby i takie aspekty tego niezwykłego zjawiska. Otóż błyskawiczne reformy Donalda Trumpa dokonywane w pierwszych tygodniach jego rządów, w tym jego rewolucja zdrowego rozsądku, w dużej mierze podważyły, a przede wszystkim aż za dobrze obnażyły progresizm z jego mechanizmem zarządzania ludzkimi masami (i naturą!) za pomocą oderwanych od rzeczywistości ideologii, serwowanych jednak z nieubłagalnością na zasadzie imperatywu nieustannego podążania za tzw. postępem.

Innymi słowy, Trump przez sam kontrast swej agendy nawiązującej do podstawowego realizmu antropologicznego i społecznego podważył jeden z filarów współczesnej polityki, choć zachwiał ją także w jej innej podstawie, a skala reakcji obronnej przed tym rozchwianiem, mierzona obecnym zgiełkiem, jedynie poświadcza, jak bardzo jej fundamenty zostały zagrożone. Albowiem pod nazwą współczesnych zachodnich demokracji kryje się – choć niekonicznie kryje się z tym aż tak bardzo – konglomerat partyjno-oligarchiczny, umożliwiający realizację swej agendy polityczno-financej w zasadzie niezależnie od ugrupowania przy władzy, a dzieje się tak dlatego, że szeroko rozumiany system wyborczy, z uwzględnieniem jego podstawy, tj. obiegu informacji, oraz zakresu, tj. reprezentacji partyjnej, jest wystarczająco kontrolowany przez konglomerat, co de facto oznacza tegoż miękką dyktaturę oraz ustrój partiooligarchiczny, zachowujący oczywiście pozory demokracji i wymagane dlań certyfikaty. Co znaczące, jednym z mechanizmów obronnych tego systemu jest piętnowanie etykietą „populizmu” (będącą zamiennikiem dla „faszyzmu”, „ksenofobii” i innych przejawów społeczno-politycznej trędowatości)

zjawisk stanowiących potencjalne zagrożenia dla funkcjonowania konglomeratu, ale mechanizm ten zdradza właśnie postulat antydemokratyczny par excellence, mianowicie: że współczesna polityka jest rzeczą zbyt poważną, aby pozostawić demosowi możliwość decydowania o niej, co casus rumuński uwydatnił aż nadto. Zauważmy zresztą, jakie inwektywy lecą zazwyczaj pod adresem demosu ze strony oświeconych elit, kiedy demokracja nie idzie po ich linii.

PEŁNA STEROWNOŚĆ

W rzeczy samej, aura prezydenckiej potęgi otaczająca obecnie Donalda Trumpa nie powinna przesłaniać nam, że w istocie casus rumuński był wcześniej implementowany właśnie w Ameryce – główny populista świata ze swą spuścizną miał skończyć jeśli nie za kratami, to przynajmniej na śmietniku historii, tyle że amerykański system nie był wystarczająco domknięty, m.in. orzeczenie tamtejszego Sądu Najwyższego, rozpatrujące zakres prezydenckiego immunitetu, znacząco przystopowało polowanie na czarownice, którego Trump był przedmiotem, a poczynania Elona Muska stanowiły realny wyłom w oligarchicznej komunii konglomeratu. Słowo „komunia” jest tu przy tym jak najbardziej na miejscu – to duchowy aspekt jednoczący adeptów konglomeratu ponad jego wewnętrznymi podziałami, jedność wyznawanej wiary i benefitów, acz jest to wiara mroczna z wyboru, w której brak już miejsca na człowieka stworzonego na Boży obraz i podobieństwo, by przypomnieć parodię ostatniej wieczerzy na otwarciu paryskich igrzysk olimpijskich, kolejny z rzędu bluźnierczy spektakl zaspokajający ich nienasyconą potrzebę skalania tego, co czyste i niewinne na gruncie przyrodzonym, oraz sprofanowania tego, co święte i nienaruszalne na poziomie łaski.

Tak jak wspominałem, na tle tego upadku, którego horrendalną skalę dostrzec nam czasem trudno – do tego stopnia jest on rutynowo rozpowszechniony, a my w nim, chcąc nie chcąc, zanurzeni – bardzo łatwo dokonać idealizacji Trumpa i jego ludzi, ponieważ ktoś, kto w dobie szaleństwa potwierdza z autorytetem władzy, że są tylko dwie płcie, że fizyczne okaleczanie płci dziecka

jest zbrodnią, a życie poczęte jest Bożym darem, jawi się jako wręcz opatrnościowy wybawiciel. Niemniej poświęcenie uwagi tym najgłębszym okolicznościom, siłą rzeczy rodzącym pokusę idealizacji i bezkrytyczności, było konieczne, jeśli chcemy wiernie odzwierciedlić sylwetkę jednego z najbardziej zasłużonych współpracowników Donalda Trumpa, współautora jego historycznego sukcesu i prawdopodobnego spadkobiercę jego politycznej spuścizny.

Czym bowiem różni się obecna prezydentura Donalda Trumpa od jego pierwszej, tej sprzed ośmiu lat? Odróżnia się ona pełną sterownością jego administracji, a w konsekwencji, mimo silnych oporów tamtejszego establishmentu i powiązanych z nim sędziów, wyraźnie odczuwalną sterownością państwa, umożliwiającej implementację Trumpowskiej agendy w formie niespotykanego blitzkriegu, co przekłada się na błyskawiczne sukcesy, by przypomnieć spektakularne zatrzymanie kryzysu nachodzącego na południowej granicy, skuteczną walkę z przestępczością zorganizowaną i postępujące prace nad zrównoważeniem budżetu.

OD ANTYPATII DO SOJUSZU

Tym razem Trump niewątpliwie dokonał ze swym otoczeniem starannego doboru kadr, gdzie głównym kryterium, obok kompetencji, była lojalność wobec niego i jego agendy „America first”. Otóż jedną z najbliższych osób wspierających Trumpa w tym gigantycznym i żmudnym w detalach procesie rekrutacyjnym był nie kto inny, jak J.D. Vance, wówczas jeszcze wiceprezydent elekt, dziś z kolei bodajże najbardziej lubiany i znienawidzony jednocześnie wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, innymi słowy: człowiek niezwykle wyrazisty, skuteczny na swoim odcinku i osobliwie wpływowy w obecnej administracji.

Sylwetkę tego naprawdę nietuzinkowego, choć wciąż świeżego polityka na arenie międzynarodowej kreśliłem pierwszy raz na łamach „Do Rzeczy” bezpośrednio po wygranej Trumpa w listopadzie roku 2024. Dziś – zarówno po kilku miesiącach różnych jego przemówień, jak i posunięć całej amerykańskiej administracji – łatwiej zestawiać te różne elementy w pewien bilans i rokowania



Do co do przyszłości. Najpierw jego bujna, ale niezwykle owocna relacja z Donaldem Trumpem, począwszy od silnej, ale krótkotrwałej antypatii w 2016 r., skończywszy na piewcy, a nawet teoretyku trumpizmu, w którym to odnalazł ideowego sprzymierzeńca do przywrócenia życia i uzdrowienia z patologii zapuszczonych gospodarczo przez ostatnie dekady regionów Ameryki (patrz: jego autobiograficzny bestseller „Elegia dla bidoków”). Politykiem jednak, ten były żołnierz piechoty morskiej, wykształcony na prestiżowym Yale prawnik i współtwórca funduszu inwestycyjnego, zostaje dopiero w 2022 r., będąc wybrany z poparciem Trumpa senatorem dla stanu Ohio. W ciągu dwóch lat pracy w wyższej izbie Kongresu – chodzi oczywiście o czasy administracji Bidena – objawia się w swych przemówieniach przede wszystkim jako pozbawiony kompleksów wyrazisty konserwatysta, skupiony na kwestiach bezpieczeństwa wewnętrznego Ameryki i jej ponownego uprzemysłowienia.

W czasie ostatniej kampanii prezydenckiej jest bardzo bliskim doradcą Trumpa, który zadał mu wówczas m.in. to trudne i kłopotliwe pytanie, mające zadecydować o całej jego przyszłości: „J.D., powiedz mi, dlaczego nadawałbyś się na wiceprezydenta?”. W rzeczy samej, ówczesny wybór Trumpa mógł się wydawać nieoczywisty, a myśląc partyjnymi kategoriami europejskimi, naturalnie równoważylibyśmy niezwykle specyficznego głównego kandydata bardziej tonującym politykiem, bliżej republikańskiego centrum. Czas jednak bardzo szybko pokazał, że Trump dokonał wyśmienitego wyboru z punktu widzenia własnej kampanii i późniejszej realizacji swej agendy. Vance okazał się bowiem świetnym mówcą, o niebo deklansując samą Kamalę Harris, skutecznym młotem na lewackie poglądy i niezatapialnym dyskutantem na obcych wodach wrogich Trumpowi mediów.

Do tego też w dużej mierze sprowadza się jego obecna rola: najbliższe doradzanie przywódcy, wyznaczanie celów, elaboracja strategii i argumentacji, a następnie zanieśenie tak wykutej agendy przed media i na światowe salony oraz bronienie jej w błysku fleszy i w zaciszu gabinetów. W pewnym sensie to bardzo dużo i mało jednocześnie, kiedy nie jest się głównym

decydem, jednakże skala międzynarodowych ataków na J.D. Vance'a, niespotykana, gdy idzie o wiceprezydenta w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych, wskazuje, że jest to o wiele bardziej „dużo” niż „mało”. Istotnie po historycznej kłótni z Wołodymyrem Zełenskim w Gabinetcie Owalnym, w której – jak wiadomo – Vance odnotował kluczowy udział, w obozie zwolenników Trumpa pojawiło się merytorycznie bardzo trafne spostrzeżenie: Trump ma w końcu wiceprezydenta zdolnego go bronić.

ROLA ZDERZAKA

Otóż Donald Trump nie jest teoretykiem, choć jest uwielbianym wśród swoich wyborców swego rodzaju ludowym trybunem. Vance z kolei ubiera zdrowe instynkty polityczne Trumpa w idee polityczne i je w takowym opakowaniu w przystępny sposób komunikuje. I dlatego jest, choćby podskórnie, postrzegany przez oponentów prezydenta jako ogromne zagrożenie. Jest on bowiem jednym z tych ludzi w administracji Białego Domu, którzy są zdolni przekształcić poniekąd ludowy ruch polityczny w trwałą pryncypialną reakcję natury metapolitycznej. Widać to bardzo dobrze w jego kilku dotychczasowych wystąpieniach – w Paryżu, gdzie głosił eurokratom, że regulacja sztucznej inteligencji nie może oznaczać regulacji swobody międzyludzkiej wymiany poglądów; w Monachium, gdzie wstrząsnął nimi ponownie, stwierdzając, że największym zagrożeniem dla Europy nie są ewentualne zewnętrzne dłań totalitaryzmu, a właśnie możliwa wewnętrzna miękka dyktatura, na przekór wytworzonej przez Europę cywilizacji. Podobnie w jego niedawnej krytyce, w prostych, ale treściwych słowach podsumował klęskę 40 lat globalizmu i jego błędnych założeń, który odprzemysławiając Amerykę na rzecz taniej siły roboczej za granicą, oprócz jej warstwy robotniczej uderzył także w amerykańską innowacyjność w ogóle (co, a contrario, doskonale uwydatnia przykład Chin z ich kolejnymi niesamowitymi sukcesami technologicznymi). I w końcu wystąpienie na corocznym katolickim bankiecie w Waszyngtonie, gdzie zdefiniował prymat dobra wspólnego, rozumianego także jako ochrona ekonomicznej egzystencji najsłabszych (ale nie w formie socjalizmu,

lecz w formie miejsc pracy), wyznając jednocześnie, że do Kościoła katolickiego – przyjął chrzest w 2019 r. – doprowadziła go m.in. zbieżność jego poglądów politycznych z katolicką myślą społeczną.

Nie miejsce tu prostować multum celowych przeinaczeń, których Vance jest przedmiotem w prasie, choć trzeba mieć na uwadze, że kiedy pisze on, w ramach osławionej już afery czatowej, że „nie znosi ratowania [finansowo] Europy z tarapatów”, bo powinna sama sobie pomóc lub płacić Ameryce za pomoc – w tym wypadku chodziło o udroźnienie szlaku żeglugi handlowej na Morzu Czerwonym – to zadaniowi hejterzy napiszą: „Vance nienawidzi Europy!”. O wiele bardziej znaczące jest to, że te ataki przypominają presję, której był poddawany Trump za swej pierwszej kadencji, a która teraz dotyka bardziej jego najbliższych współpracowników, co potwierdza kadrową skuteczność nowej administracji i pozycję samego Vance'a, który w opiniach – a taką wyraził m.in. Elon Musk – coraz częściej wskazywany jest na następcę Trumpa w Białym Domu. Otóż Trump niewątpliwie brał taką możliwość pod uwagę, a w szczególności dobrał sobie wiceprezydenta dającego rękojmię dalszej wierności agendzie „America First”, na wypadek gdyby miał z jakiegoś powodu nie ukończyć bieżącej kadencji. Sam Donald Trump ma tu jednak dostępne różne opcje i daje, na razie, swym najbliższym współpracownikom wyrobić się i nabrać więcej politycznej ogłady, zwłaszcza w przypadku młodszych polityków pokroju J.D. Vance'a. Ten, będąc najbliższą podporą samego prezydenta, oprócz zdobywanego gigantycznego doświadczenia pełni także, dobrowolnie, rolę zderzaka, owszem, niezwykle twardego, ale takiego, który może okazać się stopniowo zużywany w przypadku możliwych niepowodzeń obecnej administracji.

To jednak wciąż kwestia odległa. Tymczasem jest to postać bez wątplienia godna najwyższej uwagi, nie tylko jako niepodrabiany konserwatysta na tak wysokim szczeblu władzy, lecz także jako polityk wywołujący tak spolaryzowane reakcje, co jedynie potwierdza jego wpływowość, potencjał i reakcyjną ideowość.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



KONIOROBOT

Obrońcy praw zwierząt powinni być wniebowzięci. Japońska firma Kawasaki, znana z produkcji markowych motocykli, zaprojektowała koniorobota Corleo. Maszyna ma być alternatywą dla żywego zwierzęcia – konia wyścigowego. Koniorobot chodzi i podskakuje. Wyposażony jest w sztuczną inteligencję, która umożliwi mu ocenę terenu i utrzymywanie równowagi. Era zwierząt użytkowych dobiega kresu.

FOT. KAWASAKI HEAVY INDUSTRIES

KARA ZA KAPELUSZ

Popularne nakrycie głowy typu bucket hat może narazić kierowcę samochodu na karę pieniężną w wysokości nawet 5 tys. funtów. W Wielkiej Brytanii ten typ kapełusza został uznany za coś, co ogranicza widoczność podczas prowadzenia pojazdu. Wszystko przez opadające rondo, które rzekomo zasłania oczy. A punkt 97. brytyjskiego kodeksu drogowego mówi o tym, że ubiór i obuwie kierowcy nie powinny utrudniać kierowania pojazdem.

SKOK AUTEM

W Santiago – stolicy Chile – doszło do kuriozalnego wypadku. Samochód, za którego kierownicą siedział pijany mężczyzna, jadąc z nadmierną prędkością, uderzył w pas rozdzielający jezdnie na skrzyżowaniu. Następnie przeleciał nad przejściem dla pieszych i wylądował w ogrodzie czyjejs posesji. Przypominał to skok narciarski. Mimo tak dramatycznego przebiegu zdarzeń kierowca przeżył. Mieszkańcom posesji też nic się nie stało, bo na szczęście byli poza nią.

UPADEK GWIAZDY

Dyrektor więzienia w Kirkham uchodziła za wschodzącą gwiazdę brytyjskiego więziennictwa. Tymczasem została uznana za winną nawiązania romansu z bossem gangu narkotykowego. Mężczyzna odsiadywał karę więzienia w zakładzie, którego szefową była owa kobieta. Podarował jej luksusowego mercedesa, co było wyrazem wdzięczności za to, że przyczyniła się do jego warunkowego zwolnienia.

PENALIZACJA RADOŚCI

Wizażysta z Nigerii został skazany na sześć miesięcy więzienia za to, że tańcząc na swoim weselu, w geście radości rzucił pieniędzmi. Takie zachowanie nie jest w tym kraju niczym nadzwyczajnym, a jednak podlega penalizacji. Prawo nigeryjskie zakazuje bowiem nieszanowania rodzimej waluty – nairy. Stanowi ona jeden z najważniejszych symboli kraju. ©

Filip Memches

GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Złota Polska

Polskie zasoby królewskiego kruszcu w ciągu ostatnich lat niemal się potroiły. Narodowy Bank Polski w swoich skarbcach zgromadził już ponad 480 ton złota, z czego tylko w ubiegłym roku NBP zakupił 89,55 ton. Wcześniej, w roku 2023, NBP kupił 130 ton, a w latach 2018–2019 nabył 125,7 tony. Tym samym Polska weszła do ekstraklasy światowych potęg gospodarczych, posiadających duże ilości złota, wyprzedzając m.in. Hiszpanię oraz Wielką Brytanię. Według słów prezesa NBP Adama Glapińskiego to jeszcze nie

koniec. Po marcowych zakupach złoto prawdopodobnie stanowi już ponad jedną piątą aktywów rezerwowych Polski (NBP oficjalnie tego jeszcze nie potwierdził). W skarbcach powinno być już zatem ok. 500 ton złota.

Wprawdzie nie ma gwarancji, że rekordowo drogie złoto będzie nadal drożeć. Na razie trzeba jednak pogratulować ekspertom NBP dobrego wyczucia rynku i odwagi – cena królewskiego kruszcu od lat pnie się do góry, a tylko w zeszłym roku kurs ponadtrzykrotnie ustanawiał nowe rekordy, rosnąc o ponad jedną czwartą.

W 2025 r. bije zaś nowe rekordy. To zwiększa ryzyko zakupów na górze. Na razie polski podatnik jest jednak sporo na plusie. Adam Glapiński chwalił się niedawno, że po decyzjach prezydenta Donalda Trumpa dotyczących ceł „na różnicy w cenie, która powstała w ostatnim czasie, gdybyśmy to sprzedali, to byśmy uzyskali ok. 40 mld zł”. W tak niestabilnych geopolitycznych czasach trudno odmówić sensu strategii NBP. Wydaje się jednak, że warto przyspieszyć przenoszenie naszego złota do kraju (obecnie w Polsce przechowywana jest jedna czwarta naszych rezerw). ©



Maciej Pieczyński

Kreml ma całą armię celebrytów, raperów, influencerów, aktorów, piosenkarzy, którzy – sami z siebie lub odgórnie sterowani, w każdym razie skutecznie – rozpalają wśród młodych ogień poparcia dla wojny i prezydenta. W Rosji popkultura jest miękką siłą władzy, na użytek wewnętrzny i zewnętrzny

Badania pokazują, że rosyjska młodzież staje się coraz bardziej prokremlowska i prowojenna. Nastolatki i dwudziestoparolatki nie znają innej władzy niż putinowska, propaństwowa indoktrynacja w szkołach i poza ich murami (w organizacjach młodzieżowych) jest zaś coraz dalej posunięta, a także coraz bardziej skuteczna, bo prowadzona nowoczesnie, z kreatywnym wykorzystaniem mediów społecznościowych. Propaganda kremlowska to nie tylko krzyczące głowy w programach Sołowiowa. Z jednej strony najpoczytniejsi pisarze (Borys Akunin, Dmitrij Głuchowski) wyjechali dawno z kraju i krytykują „specoperację”. Pod ich nieobecność palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o literaturę, dzierży Zachar Prilepin. Pisarz wybitny, a także piewca wojny (a nawet jej czynny uczestnik). Wiele gwiazd rosyjskiej popkultury albo o wojnie się nie wypowiada, albo wprost popiera Putina i jego działania. Powstają cieszące się wysoką oglądalnością seriale kryminalne o latach 90., nieporuszające tematu „specoperacji”. Artyści i celebryci – bądź sami z siebie, bądź za namową władzy – zanoszą propaństwowy przekaz pod wirtualne strzechy – bez siermiężnego patosu, za to w sposób atrakcyjny dla młodego odbiorcy.

MŁODZIEŻ KOCHA SWOJEGO PRZYWÓDCĘ

DJ w modnym klubie nocnym w Moskwie zakłada maskę z twarzą Putina, wywołując euforię całej sali. Dopiero od tego momentu zaczyna się prawdziwa



Raper Timati pozuje przy obrazie Andrey'a Vereshchagina „Rozmowa telefoniczna” FOT. TIMATIOFFICIAL/INSTAGRAM

zabawa. Twarz prezydenta jest wszędzie – w podobnych maskach b-boye tańczą breakdance na ulicach miasta, a fani sportów wodnych pędzą na skuterach po rzece Moskwie. Młodzież kocha swojego przywódcę – widać to niemal w każdej scenie teledysku. A przede wszystkim słysząc w słowach piosenki, do której został nagrany. „Mój najlepszy przyjaciel to prezydent Putin” – rapują Timati i Sasza Czest. Kawałek nagrali w 2015 r., z okazji urodzin swojego idola. W tekście Rosja zostaje porównana do parkietu na dyskotecze, rozkręcanej zza konsoly przez Putina. Utwór doczekał się parodii w programie rozrywkowym „Comedy Club” na antenie telewizji TNT. W jednym z odcinków wystąpił Timati (właśc. Timur Junusow). Już zaczynał rapować o „swoim najlepszym przyjacielu”, gdy na scenie pojawił się Putin. A dokładniej – komik Dmitrij Graczow, który w życzliwy sposób parodiuje rosyjskiego prezydenta. Rozpoczęła się bitwa na rymy – „Putin” zdissował Timatego, rapując o tym, że nie mogą być najlepszymi przyjaciółmi, bo słuchają innej muzyki i obracają się w innych środowiskach: „Ty znasz Kristinę Si [rosyjska raperka – przyp. red.], a ja – patriarchę Moskwy i całej Rusi [z odpowiednim akcentem na ostatnią sylabę – przyp. red.], więc wyjaśnijmy całą sytuację – jestem przyjacielem każdego w całej Rosyjskiej Federacji” – rymuje „Putin”. Graczow ociepla wizeru-

nek prezydenta, który odwiedza występy swojego „sobowtóra” i przed okiem kamer chętnie śmieje się z samego siebie.

Timati już podczas wyborów w 2012 r. namawiał swoich fanów, aby głosowali na Putina, bo tylko on uchroni Rosję przed krwawym chaosem, znanym z arabskiej wiosny. W 2022 r. poparł „specoperację”. Stwierdził, że wojna została „wyprodukowana za oceanem”. Był jedną z gwiazd wielkiego koncertu na moskiewskim stadionie Łuźniki, z okazji ósmej rocznicy aneksji Krymu. Na wojnie zarobił. Po wycofaniu się Starbucks z Rosji wykupił aktywa firmy i otworzył własną kopię słynnej kawiarnianej sieci pod nazwą Stars Coffee. Putina i jego wojnę popierają również wielkie gwiazdy rosyjskiej muzyki pop, takie jak Filip Kirkorow, Polina Gagarina czy Dima Biłan. Wszyscy troje w swoim czasie reprezentowali Rosję na Eurowizji. Gagarina w 2015 r. zajęła w finale drugie miejsce. Biłan w 2006 r. również był drugi, a w 2008 r. wygrał Eurowizję. Urodzony w 1967 r. Kirkorow to legenda rosyjskiej estrady i były mąż Ałły Pugaczowej, która akurat inwazję potępiła i z Rosji wyjechała. On zaś nie tylko wystąpił po stronie wojny, lecz także koncertował dla żołnierzy na froncie. Gagarina (rocznik 1987) i Biłan (1981) to gwiazdy młodszego pokolenia. Oboje, podobnie jak Timati, agitowali za kandydaturę Putina w wyborach prezydenckich. Gagarina publicznie nie wypo-



wiała się na temat samej wojny, jednak występowała w wydarzeniach związanych ze „specoperacją”. Była jedną z gwiazd wspomnianego koncertu na Łużnikach. Biłan poparł zarówno aneksję Krymu, jak i inwazję na Ukrainę. Nagrał też swoją wersję znanej sowieckiej pieśni „Skrzydlate huśtawki” na cześć dzieci Donbasu, które zginęły, z rąk Ukraińców, rzecz jasna. W grudniu 2023 r. wziął udział w „nagiej imprezie” celebrytów w Moskwie. Zdjęcia rozneglizowanych (albo po prostu nagich) gwiazd show-biznesu wywołały ogromne oburzenie Z-patriotów. Uczestnicy imprezy musieli się pokajać. Biłan, w ramach „pokuty”, pojechał na Donbas, gdzie spotkał się z żołnierzami, rozdawał cukierki dzieciom w szpitalu i wpłacił 3 mln rubli na schronisko dla zwierząt.

INTERWIZJA ZAMIAST EUROWIZJI

Żaden rosyjski artysta w najbliższym czasie nie podbije Eurowizji, z udziału w której Rosja została wykluczona. W sferze popkultury, podobnie jak w gospodarce czy polityce zagranicznej, Kreml szuka więc alternatyw dla zerwanej współpracy z Zachodem. Stąd pomysł, by wskrzesić konkurs piosenki, organizowany w czasach sowieckich w krajach bloku wschodniego. Odnowiona Interwizja odbędzie się we wrześniu w Moskwie. Udział w niej mają wziąć reprezentacje niektórych byłych republik sowieckich, państw Azji, Ameryki Południowej, członków BRICS. Zainteresowanie konkursem wyraziły na razie m.in. Armenia, Azerbejdżan, Białoruś, Brazylia, Egipt, Indie, Iran, Kazachstan, Kirgizja, Chiny, Kuba, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Pakistan, Rosja, Arabia Saudyjska, Tadżykistan, Uzbekistan, Republika Południowej Afryki. Organizatorzy konkursu (czyli przedstawiciele władz państwowych) zapewniają, że na Interwizji nie będzie „wynaturzeń i wypaczania natury człowieka”, uczestnicy zaś nie będą epatować odmiennością. Z czysto artystycznego (niezależnie od polityki) punktu widzenia rosyjska Eurowizja może być więc o wiele ciekawsza niż ta oryginalna. Paradoksalnie zapewne będzie o wiele bardziej różnorodna. Zamiast zalewu podobnie brzmiącego anglojęzycznego popu, zamiast nudnej (bo przewidywalnej do bólu) lewicowej ideologii, wyrażonej czy to w tekstach, czy to w prowokacyjnej oprawie występów, konkurs zapewne

pokaże autentyczne bogactwo kulturowe Azji, Globalnego Południa i Ameryki Łacińskiej, czyli regionów, które nie odcinają się od swoich etnicznych korzeni i nie ulegają europocentrycznej globalizacji.

Rosję prawdopodobnie reprezentować będzie Shaman (właśc. Jarosław Drownow) – 24-letni piosenkarz, który szerszą popularność zdobył dzięki utworom prowiojennym. 23 lutego 2022 r., z okazji Dnia Obrońcy Ojczyzny, opublikował w Internecie piosenkę „Wstańmy”, poświęconą wielkiej wojnie ojczyźnianej. Dzień później utwór całkowicie zmienił swoje znaczenie, stając się jednym z hymnów „specoperacji”. Kilka miesięcy później Shaman nagrał ponownie tę piosenkę, tym razem wspólnie z innymi gwiazdami rosyjskiej estrady. Ich znane każdemu Rosjaninowi twarze w teledysku zniksowano ze zdjęciami z frontu „specoperacji”. Kolejne przeboje – „Ja Russkij” („Jestem Rosjaninem”) i „My” utrwaliły pozycję Shamana jako czołowej gwiazdy Z-popu. Jego wizerunek jest jednak tak dosłowny (blond włosy, skórzana kurtka czekisty z opaską w barwach rosyjskiej flagi na ramieniu), że aż niemal niezamierzenie karykaturalny. Shaman jest akurat nachalnym propagandystą, który trafia jedynie do przekonanych.

MOSKIEWSKA SOFT POWER

Rosyjska popkultura i – szerzej – kultura znów dziś stają się towarem eksportowym. I to nie tylko na rynki Azji czy Globalnego Południa. Wracają również na salony zachodnie, gdzie o jej „cancelowaniu” nie ma już mowy. Przełomowe znaczenie będzie miał zapewne sukces „Anory”, która podczas ostatniej ceremonii wręczenia Oscarów otrzymała aż pięć statuetek. Co prawda, jest to film amerykański, opowiada jednak historię młodej striptizerki z Brooklynu, która wychodzi za mąż za Iwana – syna rosyjskiego oligarchy. Jego ojciec chrestny próbuje doprowadzić do unieważnienia małżeństwa przed przyjazdem rodziców Iwana do Stanów Zjednoczonych. Rosjan w filmie zagrali rosyjscy aktorzy. Aleksiej Sieriebriakow (odtwórca roli ojca Iwana), znany choćby z „Lewiatana”, od 2012 r. żyje na emigracji i potępia politykę Putina. Mark Ejdelstejn (Iwan) i Yura Borisow (Igor – postać drugoplanowa), popularni aktorzy młodego pokolenia (roczniki 2002 i 1992), z powodzeniem robią karierę w kraju, grając w rodzimych

produkcjach. Żaden z nich otwarcie nie potępił inwazji na Ukrainę, choć Borisow podpisał antywojenny manifest pracowników kinematografii. Niemniej, w kontekście dyskusji wokół „Anory”, temat wojny prawie się nie pojawiał. Rosyjscy aktorzy, obecni na ceremonii oscarowej, nie komentowali inwazji na Ukrainę, o którą też nieszczególnie byli pytani przez dziennikarzy. Większość recenzji „Anory” miała wydźwięk pozytywny i apolityczny. O tym, że twórca filmu, opowiadając historię o Rosjanach z udziałem Rosjan i milcząc o wojnie, mogą – świadomie lub raczej nieświadomie – odegrać rolę narzędzia moskiewskiej soft power, gardłowali niemal wyłącznie ukraińscy krytycy.

Jesienią ubiegłego roku hitem Internetu stała się piosenka „Sigma boy” zaśpiewana przez dwie 12-letnie blogerki: Betsy (właśc. Swietłana Czertiszczewa) i Marię Jankowską. „Sigma” to młodzieżowe słowo określające osobę pewną siebie, odnoszącą sukcesy i budzącą podziw. Kimś takim jest tytułowy bohater piosenki. „Każda dziewczyna” chce z nim tańczyć, ale ta jedna (podmiot liryczny) zapewnia go, że zobędzie ją dopiero po roku starań. Piosenka jest apolityczna, ale stała się internetowym wiralem i z pewnością ociepla wizerunek rosyjskiej kultury. Dlatego ukraińskie władze uznały ją za... broń Kremla w wojnie informacyjnej. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy zupełnie poważnie oświadczyła, że skoro „sigma” to określenie silnej i niezależnej jednostki, to piosenka promuje wśród młodzieży „kult silnej ręki”, czyli Putina. Jeszcze bardziej groteskowo na przebój Internetu zareagowała niemiecka deputowana do europarlamentu Nela Riehl, apelując na forum PE, aby zakazać utworu. Powód? Zdaniem lewicowej działaczki „Sigma boy” propaguje patriarchalizm.

Moskwa najwidoczniej zdaje sobie sprawę z potęgi popkultury. W lutym 2025 r. moskiewski chór wojskowy, z okazji Dnia Obrońcy Ojczyzny, zaprezentował własną wersję przeboju. W tym wydaniu „sigma boy” nie jest zwykłym chłopakiem ze szkolnej dyskoteki, tylko „silnym i odważnym” bohaterem „specoperacji”... Chórzyści śpiewają w mundurach galowych, w tle widać sceny z frontu, a gdy wybrzmiewa refren „prawdziwy sigma boy”, na ekranie pojawia się Putin.



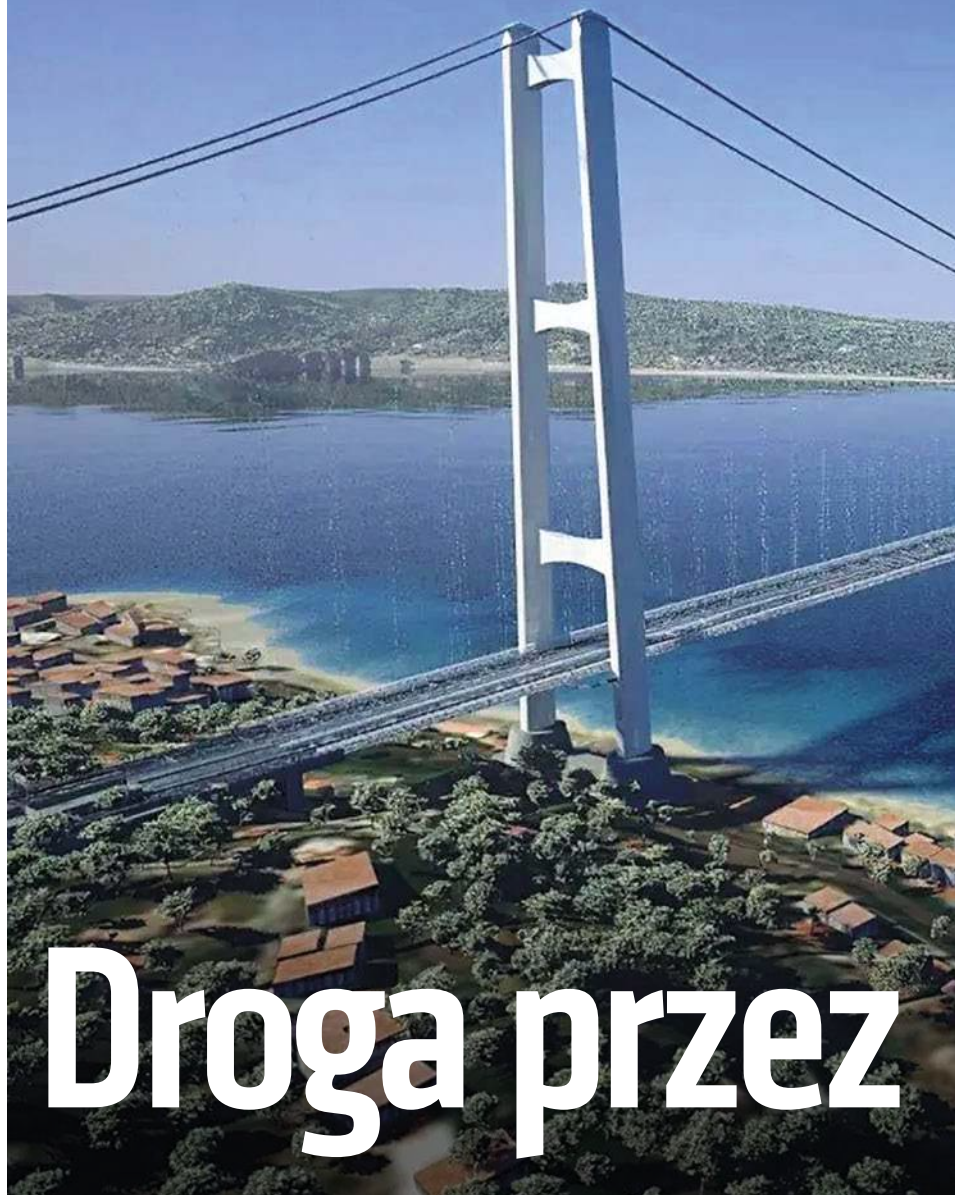
Teresa Stylińska

Na tę chwilę czekano ponad 2 tys. lat. Od 252 r. p.n.e., gdy podczas pierwszej wojny punickiej przez Cieśninę Mesyńską przerzucono prowizoryczny most, zbudowany z beczek, łodzi i drewnianych desek. Teraz Sycylię z Półwyspem Apenińskim ma wreszcie połączyć most stały. Będzie najdłuższym mostem wiszącym na świecie. I już rozpala emocje

Most na Sycylię to przede wszystkim wielka idea, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Myśl, by na stałe związać Sycylię z kontynentalną częścią Włoch, od starożytności to pojawia się, to znika, to powraca. Entuzjastów nie zrażały ani opór przeciwników, ani ich, racjonalne przecieź, argumenty. Skoro w najważniejszym miejscu brzegi cieśniny dzielą zaledwie 3 km, to myśl o zbudowaniu przeprawy nie mogła nie być kusząca.

W połowie marca włoska agencja prasowa ANSA poinformowała, że budowa mostu rozpocznie się pod koniec kwietnia, a zakończy do 2032 r. Czy tę zapowiedź można traktować poważnie? To trudne pytanie. Nic Włochom nie ujmując, musimy pamiętać, że z terminami różnie w tym kraju bywa. Rok temu, gdy plany zaczęły nabierać rozpędu, minister transportu Matteo Salvini, gorący orędownik projektu i z urzędu jego patron, nie krył nadziei, że budowa rozpocznie się latem 2024 r., a najpóźniej przed końcem roku. To się nie udało. Fakt, że teraz termin podano z niewielkim wyprzedzeniem, każe sądzić, iż jest on realny.

Most na Sycylię, choć spektakularny, nie jest jedyny. Na całym świecie obserwuje się ostatnio istny wysyp zarówno mostów, jak i pomysłów na mosty. Czy decydują o tym wyłącznie względy praktyczne? Czy może pragnienie, by olśnić świat? W grę zawsze wchodzi ogromne koszty



Droga przez

i często trudności techniczne – a jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że od czasu, gdy Danię i Szwecję połączył most biegnący nad morzem, otworzyły się nowe horyzonty i zrodziły nowe ambicje.

OD SCYLLI DO CHARYBDA

Most z beczek nie miał służyć ludziom. Według Strabona, starożytnego historyka, zbudowano go po to tylko, by przetransportować z Sycylii do Rzymu 120 słońi, łup wojenny zdobyty na Kartagińczykach. Ze współczesnym mostem na Sycylię sprawy mają się oczywiście inaczej. W grę

wchodzi nie tylko wygoda w komunikacji, transporcie itp., lecz także nadzieje na gospodarcze ożywienie południa Włoch.

W mitologii Cieśninę Mesyńską opisywano jako wody pełne niebezpieczeństw. Na żeglarzy czyhały tu dwa mityczne potwory – Scylla w Kalabrii i Charybda na Sycylii. Dziś oba czyhają na twórców mostu – projektantów, konstruktorów, budowlanych. Przedsięwzięcie jest bowiem ekstremalnie trudne zarówno z przyczyn geograficznych – ukształtowania terenu, silnych prądów wodnych – jak i politycznych



Most nad Cieśniną Mesyńską ma mieć ponad 3 km długości
FOT. WEBUILDGROUP.COM/MATERIAŁY PRASOWE

mosty

oraz społecznych, nie mówiąc o aspektach finansowych.

Dlatego choć niejeden włoski przywódca pragnął przejść do historii jako inicjator połączenia z Sycylią, to nigdy nie udało się wyjść poza mniej lub bardziej zaawansowane przymiarki. Kilkanaście lat temu, za rządów Silvia Berlusconi, sporządzono projekt i wydawało się, że prace rozpoczną się lada dzień. Mario Monti, jego następca, uznał jednak, że w czasach kryzysu Włoch nie stać na tak kosztowną inwestycję, i w 2013 r. plany wstrzymano. Przed wojną budowę

mostu rozważał Benito Mussolini. Jeszcze wcześniej, po zjednoczeniu Włoch (przypomnijmy: rok 1861), też o tym myślano. Zdecydowano jednak, że trzeba poprzestać na połączeniach promowych, które uruchomiono u schyłku XIX w.

Teraz sprawy toczą się szybko. Pierwszą informację, że koncepcja budowy mostu wraca, podano jesienią 2022 r., zaledwie dwa miesiące po objęciu władzy przez rząd Giorgii Meloni. W marcu 2023 r. zapadła decyzja. Projekt był gotowy, ustalono szczegóły, wybrano wykonawcę. Pół roku później rząd

poinformował, że na budowę przeznaczą 12 mld euro – jasny sygnał, iż plany są poważne. Od tego czasu przewidywany koszt wzrósł do 13,5 mld euro, z pewnym udziałem finansowania europejskiego.

TRZĘSIENIA ZIEMI, MAFIA I WIATR

Most wybuduje Webuild, największa włoska firma budowlana. Władze nie miały wątpliwości: most muszą zbudować Włosi. Historycznego przedsięwzięcia, tak mocno osadzonego we włoskiej historii, nie można zlecić firmie zagranicznej.

Emocje są ogromne. Przeciwnicy budowy mają w ręku poważne argumenty, ten przede wszystkim, że południe Włoch to teren wysoce sejsmiczny, co oznacza konieczność zastosowania specjalnych zabezpieczeń i bardzo podniesie koszty. To Mesynę dotknęło jedno z najbardziej tragicznych w skutkach trzęsień ziemi w historii. W grudniu 1908 r. trzęsienie i tsunami zmiotły miasto z powierzchni ziemi, zabijając ponad 100 tys. ludzi. Jednak za największy, bo stale obecny czynnik ryzyka uważa się silne w tym rejonie porywy wiatru.

Inny ważki argument dotyczy korzyści dla mafii. Sektor budowlany jest dla mafii środowiskiem naturalnym – łatwo tu pieniądze i zarabiać, i prac. Mafia, jak się szacuje, przejmuje zazwyczaj ok. 10 proc. wartości kontraktów budowlanych. Przedsięwzięcie tak gigantyczne mogłoby ją zatem niepomniernie wzmocnić. Ryzyko jest tym większe, że w regionie działają dwie potężne organizacje, z którymi władze włoskie i tak nie są w stanie sobie poradzić: groźna cosa nostra na Sycylii i jeszcze groźniejsza 'Ndràngheta w Kalabrii. Minister Salvini tej opinii nie podziela. Jest wprost przeciwnie: budowa mostu jest, jak to określa, „wielką operacją antymafijną”. „Mafia kwitnie tam, gdzie młodzi ludzie nie mają pracy ani przyszłości. Ten most przyniesie im pracę i dostatek, bo dzięki budowie powstanie ponad 100 tys. miejsc pracy” – mówił podczas jednej z konferencji.

OGROMNA KONKURENCJA

Rzymianie budowali drogi prowadzące, jak powszechnie wiadomo, do Rzymu, bez mostów, jednak większość dróg swego zadania nie spełniła.



Wiadukt nad doliną Tarn koło Millau w południowej Francji. FOT. ADOBE STOCK

■ Dawno temu mosty przerzucano przez rzeki, wąwozy i doliny. Z czasem, wobec postępów techniki, zaczęto prowadzić je coraz śmielej: w wysokich górach (słynny kolejowy wiadukt Landwasser w Szwajcarii, rok 1903), w poprzek jezior (Pontchartrain w Luizjanie, 38,5 km, rok 1956), nad fiordami i cieśninami (nad Bosforem w Stambule, po raz pierwszy w 1973 r.).

Dziś zwykły most nad zwykłą rzeką nie budzi żadnych emocji. Przyciągnie uwagę, gdy będzie najdłuższy, najwyższy, wybudowany w szczególnym, najlepiej trudnym i niebezpiecznym miejscu, jeśli łączy miejsca wyjątkowe lub budzi kontrowersje, jest bardzo kosztowny bądź zaprojektowany przez słynnego twórcę. Takie inwestycje cieszą się zainteresowaniem, zwłaszcza gdy są pionierskie, tak jak wspomniany, otwarty w 2000 r. most nad cieśniną Sund.

Rekordy jednak nie utrzymują się tak długo jak niegdyś, bo konkurencja jest ogromna. Odnotujemy jednak dla porządku, że najdłuższy dziś most biegnący nad ziemią to Danyang-Kunshan na trasie kolejowej z Szanghaju do Nankinu. Ma 165 km długości. Najdłuższy nad wodą – niezmiennie Pontchartrain. Najwyższy – wiadukt nad doliną Tarn koło Millau w południowej Francji (pylon 341 m, jezdnia 270 m nad ziemią), spełniająca w dodatku jeszcze jedno kryterium, bo zaprojektowana przez Normana Foster. Najwyżej, bo 565 m nad rzeką Beipan, biegnie jezdnia mostu Duge w chińskiej prowincji Junan. Najdłuższe prześło ma most nad turecką cieśniną Dardanele – 2,023 m, nieprzypadkowo, bo 2023 r. to rok stulecia Republiki

Turcji. Najwięcej kontrowersji budzi most Kerczeński łączący terytorium Rosji z Krymem.

Most na Sycylię wniesie nowe rekordy. Będzie najdłuższy, z prześłem o rozpiętości 3,3 km, i o najwyższych pylonach – 399 m. Będzie też w stanie wytrzymać huraganowy wiatr o prędkości blisko 300 km/h.

Pod względem kosztów rekord wszech czasów zapewniłby sobie most łączący Szkocję z Irlandią Północną – gdyby miał szanse powstać. Nie powstanie jednak (o czym dalej), m.in. z uwagi na horrendalne koszty: 335 mld funtów!

Z AZJI DO EUROPY, Z AZJI DO AFRYKI

Nigdzie na świecie nie powstaje dziś tyle wielkich, imponujących parametrów, bardzo długich i bardzo wysokich mostów, co w Chinach, i jest to zrozumiałe, zważywszy na ogrom kraju. Na tym polu jednak sporo się dzieje także w Europie. Prym wiedzie Turcja z dwiema wielkimi inwestycjami. Pierwsza to otwarty w 2016 r. w Stambule trzeci most nad Bosforem, nazwany imieniem sułtana Selima Groźnego. Drugi to wspomniany most nad cieśniną Dardanele, którego nazwa – 1915 Çanakkale – upamiętnia zwycięstwo Turków nad flotą brytyjską i francuską w 1915 r. Most oddano do użytku 18 marca 2022 r., w jego 107. rocznicę. A że symbolika jest w Turcji obowiązkowa, pylony mostu ma czerwone, w barwie tureckiej flagi.

Odnotujemy otwarty w 2018 r. most Halogaland nad fiordem Rombaken koło Narwiku w Norwegii i uruchomiony

w 2023 r. most w rumuńskim mieście Braiła u nasady delty Dunaju. Ma ponad 2 km i jest najdłuższy na Dunaju.

W lipcu tego samego roku w Chorwacji otwarto most na półwyspie Pelješac. Znakomicie ułatwia on podróż na południe, do Dubrownika, umożliwiając ominięcie terytorium Bośni, która w tym miejscu ma dostęp do morza. To krótki, zaledwie 20-kilometrowy odcinek, dla podróżujących jednak kłopotliwy, bo dwukrotnie trzeba przekraczać granicę chorwacko-bośniacką. Przy budowie nie obeszło się bez konfliktów, bo władze Bośni obawiały się, że most utrudni ruch statków do Neum, jedyne bośniackie portu. Ostatecznie Chorwacja zgodziła się podnieść wysokość jezdnii mostu do bezpiecznych dla żeglugi 55 m.

Tego rodzaju trudności to nic w porównaniu z wyzwaniem, które stanowiłaby budowa wspomnianego mostu nad Kanałem Północnym, oddzielającym Szkocję od Irlandii Północnej. Entuzjastów, w tym tak wpływowych jak premier Boris Johnson, pokonały przeszkody naturalne i fatalne skutki działań człowieka. Przeszkodą naturalną jest Rów Beauforta, rozpadlina o szerokości 3,5 km i głębokości 200–300 m, położona w najwęższym miejscu kanału (które i tak ma aż 21 km). Człowiek zaś sprawił, że Rów stał się wojskowym śmietnikiem. Na dnie morza spoczywają tu amunicja, pociski artyleryjskie, ładunki chemiczne, a nawet odpady radioaktywne – w sumie ok. 1 mln ton. Budowa byłaby więc szaleństwem.

Co innego Morze Czerwone. Egipt i Arabia Saudyjska oznajmiły, że chcą wreszcie rozpocząć budowę pierwszego mostu łączącego Azję i Afrykę, który bieć będzie przez wejście do zatoki Akaba, z Ras Hamid na Półwyspie Arabskim do Szarm el-Szejk na Synaju. Egipcjanom skróci on drogę do Mekki i do pracy w Arabii, a Saudyjczykom do egipskich kurortów. Zbuduje go – uważa! – Bin-ladin Group, wielka firma budowlana rodziny Osamy bin Laden.

JAK STWORZYĆ MIASTO

W Lake Havasu City na południu Arizony stoi niewielki kamienny most. Daleko mu do popularności mostu Brooklynskiego w Nowym Jorku czy Golden



Bridge w San Francisco, a poza Ameryką niewielu o nim słyszało. A jednak London Bridge, przerzucony nad wąskim kanałem, odnogą rzeki Kolorado, ma wielkie zasługi.

Lake Havasu City, położone nad sztucznym jeziorem Havasu, to autor-skie dzieło bogatego przedsiębiorcy Roberta P. McCullocha, który w latach 50. wszedł w posiadanie terenów powoj-skowych na skraju pustyni Mohave i postanowił założyć tu miasto. Poszedł więc taką samą drogą jak Stanisław Lilpop, twórca Podkowy Leśnej. Problem w tym, że zainteresowanie Havasu było znikome. Niewielu ludzi miało ochotę mieszkać w miejscu odległym i w dodatku najgorętszym w Arizonie.

London, koniec lat 60. Stary, 150-letni London Bridge niszczeje, a że władze miejskie nie widzą sensu w wydawaniu pieniędzy na rozbiórkę, wystawiają most na sprzedaż. McCulloch nabywa go za 2,5 mln dol. Most zostaje starannie, kamień po kamieniu, rozebrany – każda część oznaczona i opisana, a następnie załadowany na statek, przetransportowany do Kalifornii i przewieziony do Havasu. Tam z równym pietyzmem most odtworzono.

Z oczekiwanym skutkiem. Miasto nad Kolorado ma dziś 60 tys. mieszkańców, jest dużym ośrodkiem sportu i rekreacji, przyciąga filmowców i – mimo morderczego klimatu – jest odwiedzane na tyle chętnie, że znalazło się wśród atrakcji turystycznych Arizony – stanu, który ma Wielki Kanion i Monument Valley. Recep-

ta sprzed wieków okazała się aktualna: wokół mostu powstało miasto.

SIEDEM EUROMOSTÓW

Kilkanaście lat temu w holenderskim mieście Spijkenisse zbudowano siedem mostów. Choć nigdy przedtem nie istniały, to zna je każdy, kto przygląda się rewersom banknotów euro. O ile na awersie euro są bramy, o tyle na rewersie Europejski Bank Centralny postanowił umieścić mosty – dwa czytelne symbole otwarcia i współpracy. Bank uznał jednak, że wybranie wizerunków konkretnych mostów nie byłoby właściwe. Jedne kraje zostałyby wyróżnione, inne pominięte, a tak być nie powinno. Zaproponowano więc mosty fikcyjne, oddające style architektoniczne, w których przez wieki budowano w Europie.

Mosty narysował austriacki plastyk Robert Kalina. A w 2011 r. holenderski grafik Robert Stam zrobił krok dalej: wpadł na pomysł, by wszystkie mosty z banknotów naprawdę zbudować. Postawiono je w jego rodzinnym mieście Spijkenisse, koło Rotterdamu. I tak oto każdy może przespacerować się po klasycznym „Moście 5 euro”, przejść przez romański, gotycki, renesansowy, barokowo-rokokowy i XIX-wieczny most w stylu przemysłowym, by na koniec dotrzeć do współczesnego „Mostu 500 euro”.

PYLONY Z PEJZAŻEM W TLE

Głównym argumentem za budową mostu są prawie zawsze spodziewane

korzyści ekonomiczne. Skrócenie czasu przejazdu oznacza obniżenie kosztów transportu, ułatwienie dostaw towarów, ożywienie ruchu turystycznego, a sama budowa daje okolicznym mieszkańcom pracę i zarobki. Właściciele plantacji oliwek czy hodowli frutti di mare z południa Chorwacji są zadowoleni, że ciężarówki wiozące ich produkty nie muszą już czekać na granicy z Bośnią.

Zwolennicy mostu na Sycylię eksponują korzystne pod każdym względem przyspieszenie przejazdu na wyspę. Widzą również inne możliwości: frachtowce wiozące towary z Azji do Europy przez Kanał Sueski mogłyby wyładowywać je na Sycylii, skąd już bez trudu pociągami zostaną one przewiezione na północ (co dziwi o tyle, że można by to chyba zrobić już teraz w portach Kalabrii). Matteo Salvini, który nie należy do gorliwych wyznawców religii klimatycznej, przekonuje zaś, nieco demagogicznie, że dzięki powstaniu mostu na Sycylię „emisja dwutlenku węgla zmniejszy się o 140 tys. ton rocznie”, bo most będzie zielony jak żaden inny.

Mosty funkcjonują w wielu wymiarach. Wymiar praktyczny – łączenia i komunikacji – jest oczywisty i pewnie najważniejszy. Wymiar symboliczny – budowanie więzów, szukanie porozumienia – znajduje wyraz w obecnym w każdym chyba języku wyrażeniu, które mówi o „budowaniu mostów”. Trzeci jest wymiar estetyczny.

Mosty są tak widoczne, że powinny być też piękne. Ich poprzednicy sprzed wieków budzą zachwyt. Niejeden zrosł się na zawsze z miejscem, w którym stoi. Wenecja to Ponte di Rialto, Londyn – Tower Bridge, Praga – most Karola. A kamienne mostki starej Anglii albo kryte mosty we włoskich miasteczkach? Czy choć trochę ustępują im urodą? Oczywiście, że nie.

Tego nie da się niestety powiedzieć o mostach współczesnych. Zawieszane nad ziemią olbrzymy są banalne, łudząco podobne, jak odbite z jednej sztancy. Gdy ogląda się zdjęcia nowych chińskich mostów, trudno je odróżnić i zapamiętać. Różny bywa tylko pejzaż w tle – jeśli go widać zza niebosiężnych pylonów. I na tym polu starodawne mosty, nawet te najskromniejsze, zawsze pokonują cuda techniki naszych czasów.



Najwyżej, bo aż 565 m nad rzeką Beipan, biegnie jezdnia mostu Duge w chińskiej prowincji Junan

FOT. SHAKYLSLES WIKIMEDIA COMMONS CC-BY-SA 4.0



Wyścig po klientów



Jacek Przybylski

Branża motoryzacyjna cofa się do ery sprzed pandemii. Rosnąca konkurencja z Chin, a także widmo globalnej wojny celnej to tylko niektóre oznaki nadejścia czasów, w których wysokie marże wyraźnie maleją, a producenci i dilerzy toczą ostrą walkę o każdego, kto akurat marzy obecnie o zakupie nowego auta

Przez pierwsze miesiące urzędowania nowego prezydenta USA część inwestorów liczyła na to, że zapowiedzi wysokich ceł to tylko groźnie brzmiący blef przewidywalnie nieprzewidywalnego Donalda Trumpa. Niektórzy przywódcy próbowali negocjować zniesienie lub zmniejszenie ceł, mimo

kpin ze strony narcystycznego prezydenta USA. Tuż po północy 9 kwietnia wysokie cła (w tym 20 proc. na produkty z UE) rzeczywiście weszły jednak w życie, sprawiając, że indeksy giełdowe runęły na łeb na szyję, a eksperci prześcigali się w ostrzeżeniach przed tym, jak wysoką inflacją i skokowym wzrostem bezrobocia.

Zdaniem analityków jeśli tak wysokie cła pozostałyby w mocy, to gospodarka Stanów Zjednoczonych jeszcze w tym roku pograżyłaby się w recesji. Większość ekspertów przewidywało więc, że stawki celne zostaną ostatecznie obniżone. I szybko okazało się, że mają rację.

Jeszcze 9 kwietnia (wieczorem polskiego czasu) Trump ogłosił nagle 90-dniową przerwę w stosowaniu podwyższonych ceł dla wszystkich poza Chinami. Chińczycy postanowili bowiem wcześniej, że nie ulegną szantażowi gospodarza Białego Domu. Pekin zareagował cłem odwetowym w wysokości 34 proc. Efekt? Donald Trump za karę jeszcze podwyższył im stawkę celną. Tym samym nowa danina na towary importowane z Chin wzrosła aż do 104 proc. (sic!). A następnie aż do 125 proc. 10 kwietnia Chiny nałożyły 84-procentowe cła na amerykańskie towary.



marki Volkswagen, Audi i Porsche. Decyzję o wstrzymaniu przez miesiąc eksportu do USA podjął również Jaguar Land Rover. Część firm, w tym Stellantis, ogłosiła również tymczasowe wstrzymanie produkcji w Meksyku i Kanadzie. Mercedes-Benz na razie koszty ceł wzięła na siebie.

WIELKIE UPUSTY

Szalone pomysły gospodarza Białego Domu to nie jedyny problem, z jakim borykać się musi europejska branża motoryzacyjna. Od 2025 r. auta miały znacznie podrożeć z powodu pomysłów Brukseli, czyli wejścia w życie nowych, wyższych emisji spalin (regulacje CAFE), zwiększających koszty produkcji. Utrzymane w alarmistycznym tonie spekulacje dotyczące skali podwyżek były różne, ale ich treść dałoby się streścić krótko: biegnijcie do salonów, bo ceny tak mocno wyskoczą, że przestanie was być stać na własne cztery kółka. W 2024 r. według danych IBRM Samar zarejestrowano w Polsce 555 tys. nowych aut osobowych (to aż o 16 proc. więcej niż rok wcześniej).

Kto nie wziął udziału w owczym pędzie po samochód w 2024 r., mógł sporo zaoszczędzić. Już pod koniec ubiegłego roku widać było wyraźnie, że wkrótce nastąpi przekłucie balona z ogromną postpandemiczną marżą. Indeks Cenowy SAMAR wskazywał, że ceny katalogowe nowych samochodów wzrosły w 2024 r. zaledwie o 1,46 proc. (a więc istotnie mniej niż inflacja, którą GUS oszacował ostatecznie na 4,7 proc.).

W cennikach aut z roku 2025 niby widać podwyżki, ale większość handlowców u dilerów na pytanie o rabat nie pokazuje już klientom długiej listy oczekujących na dany model, ale dorzuca darmowe ubezpieczenie, tanie jak barszcz finansowanie, komplet opon, dodatkowy rok gwarancji etc. W przypadku niesprzedanych modeli z ubiegłego roku sprzedawcy godzą się też na znaczące obniżenie ceny (upusty na egzemplarze zalegające na placu przekraczają niekiedy 50 tys. zł). Twardym negocjatorom może udać się też połączyć różne premie i wytargować nie tylko solidny upust (w przypadku aut spalinywych rabat może być rzędu 15–20 proc., a w przypadku elektryków jeszcze wyższy), lecz także darmowy pierwszy rok ubezpieczenia i tani pakiet serwisowy.

Niekiedy da się zaś wynegocjować rabat wynoszący aż jedną czwartą cennikowej wartości auta.

WAŻNY ROK DLA CHIŃCZYKÓW

Producentów do obniżenia ceny skłoniło m.in. pojawienie się konkurentów z Chin. Marka MG w pierwszym kwartale może się pochwalić 15. miejscem w rankingach rejestracji nowych samochodów osobowych wśród wszystkich producentów w Polsce (z wynikiem 3049 zarejestrowanych pojazdów), co pozwoliło jej wyprzedzić m.in. Oplę i Peugeota. Nieźle w pierwszym kwartale radził sobie również koncern Chery: Jaecoo zajęło 24. miejsce, a Omoda 25. pozycję wśród najczęściej rejestrowanych aut. Dla porównania: amerykańska Tesla zajęła miejsce 27. Niewiele niżej, bo na 29. pozycji, znalazł się chiński BAIC.

15–25 proc.

NAWET TAKI RABAT MOŻNA WYNEGOCJOWAĆ TERAZ U DILERÓW, KUPUJĄC AUTO Z 2024 R.

– Sądzę, że dopiero obecny rok pokaże, jaki jest prawdziwy wpływ chińskich marek na polski rynek. Jeśli chodzi o nasze marki, czyli dobrze znane klientom marki motoryzacyjne z historią, to jesteśmy na etapie bacznej obserwacji tego, jak działają chińscy konkurenci – widzimy, jak układają sobie logistykę, że zdobywają nowe punkty dilerские, oferując niskie progi inwestycji i całkiem atrakcyjne poziomy marży. Różne chińskie marki celują w wiele segmentów rynku – mówi „Do Rzeczy” Piotr Laube, dyrektor zarządzający firmy Astara. – Walka cenowa, którą obserwujemy na rynku, nie wynika wyłącznie z pojawienia się nowych graczy. Wydaje mi się, niestety, że dzisiaj na politykę cenową ma wpływ dominacja podaży nad popytem. Po latach trudności z dostępnością nowych samochodów wróciliśmy do trybu sprzed pandemii. Wydaje mi się, że wielu z nas, nie wyciągnęło odpowiednich wniosków i przespaliśmy lata, w których sprzedawaliśmy mniej, lecz zarabialiśmy więcej. Dziś wróciliśmy do trybu znanego sprzed

Trump pozostawił w mocy 25-procentowe cła na importowane do USA samochody. Władze Kanady w odpowiedzi na działania Waszyngtonu ogłosiły 8 kwietnia nałożenie 25-procentowych ceł na auta importowane ze Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie rząd w Ottawie poinformował, że zamierza znacząco zwiększyć inwestycje w rozwój krajowej motoryzacji. Właśnie branża automotive jest bowiem jedną z tych, które jako bardzo mocno oberwała z powodu decyzji Trumpa.

Szybko zareagowały również zarządy europejskich koncernów motoryzacyjnych. Do USA trafia bowiem ponad jedna piąta unijnego eksportu samochodów, czyli niemal 760 tys. pojazdów o wartości około 39 mld euro (z czego dwie trzecie generują koncerny z Niemiec). Grupa Volkswagen zatrzymała tymczasowo transporty morskie z samochodami z pojazdami



► 2019 r., czyli do pogoni za wysokim wolumenem sprzedaży, kosztem niższej marży. Ważne jest więc dobre planowanie produkcji – dodaje Piotr Laube.

Jego słowa potwierdzają dane z rynku. Według Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego Samar w pierwszym kwartale obecnego roku nad Wisłą zarejestrowano jedynie nieco ponad 142 tys. egzemplarzy nowych samochodów (wzrost o zaledwie 2,5 proc. w porównaniu z pierwszym kwartałem 2024 r.). Na placach u dilerów stoją zaś ciągle niesprzedane auta nie tylko z roku ubiegłego (jest ich nadal mnóstwo), lecz także z 2023 r. W gronie nowych samochodów, które na placu stoją już od dwóch lat, są nie tylko elektryki, lecz także np. popularne volkswageny (np. Arteon Shooting Brake R-Line), cupry (np. Cupra Ateca za 169,9 tys. zł z napędem 4 x 4 i mocą 190 KM) czy hyundaie (np. Elantra Modern za 96 tys. zł). Potężne działa cenowe przeciw tanim chińskim autom wytoczyły już zarówno japońskie, jak i europejskie marki. Na przykład za najtańsze dostępne od ręki suzuki Swift z 2024 r. trzeba zapłacić 71,9 tys. zł. Z kolei hiszpańskiego seata Aronę można kupić już za nieco ponad 91 tys. zł, a większego Atecę za nieco ponad 94 tys. zł.

Cieężko dilerom jest się pozbyć z placów elektryków, których Polacy wciąż nie chcą kupować. Kia ogłosiła więc promocję, w której egzemplarze modelu EV9 GT-Line (przestronnego, pięciometrowego auta z ogromną baterią, wyjątkowo wygodnymi zagłówkami i z napędem na obie osie) z 2023 r. zostały objęte rabatem wynoszącym ponad 112 tys. zł (a do tego doszła darmowa ładowarka mobilna). Dzięki tak dużej promocji (cena zmniejszyła się do 274,3 tys. z 386,4 tys. zł brutto) auto kwalifikuje się do dopłat w ramach rządowego programu „NaszEauto”. Dilerzy różnych marek niesprzedane od miesięcy osobowe pojazdy elektryczne przerabiają z kolei formalnie na ciężarówkę (dokładając kratkę): klient może wówczas zgarnąć sutą dotację od państwa, a także odliczyć pełen VAT.

CŁA WYMUSZĄ ZMIANY?

Decyzja Trumpa, nakładająca cło w wysokości 25 proc. na samochody z Unii Europejskiej, jeszcze skomplikowała ten obraz. „Dla Europy eksport do Stanów Zjednoczonych jest jednym z kluczowych kierunków. W 2024 r. europejska branża automotive



Tradycyjni producenci nie składają broni. Tylko w kwietniu premierę miały nowe modele Isuzu, Mitsubishi oraz Nissana. FOT. JAP

dostarczyła do USA ok. 750 tys. pojazdów o wartości 39 mld euro, z czego 15 proc. stanowiły samochody elektryczne. Globalnie stanowiło to ponad 20 proc. całkowitego eksportu Unii Europejskiej” – zauważa w przesłanym „Do Rzeczy” komentarzu Aleksander Rajch, członek zarządu Polskiego Stowarzyszenia Nowej Mobilności, dodając, że „pośrednio cła uderzą bardzo mocno również w polski przemysł z uwagi na jego zależność od pozostałych państw członkowskich, zwłaszcza Niemiec (będących odbiorcą m.in. 35 proc. polskiego eksportu podzespołów i niemal 50 proc. eksportu baterii)”.

Wojna celna może doprowadzić do podwyżek samochodów lub do... zalew rynku nowymi promocyjnymi ofertami. W ubiegłym roku fabryki pracowały już pełną parą. Jeśli wielkie koncerny z Europy i z Chin nie będą mogły sprzedać stojących na parkingach aut do Stanów Zjednoczonych, to będą próbowały namówić do zakupu klientów ze Starego Kontynentu (jeśli dane modele mają odpowiednie unijne homologacje).

– Pomimo że wojna celna nie ma bezpośredniego wpływu na nasz biznes w Polsce czy w Europie, musimy pamiętać, że w przemyśle motoryzacyjnym panuje duża bezwładność, co oznacza, że producenci objęci cłami będą musieli na nie zareagować. Ciekawe czasy przed nami – mówi „Do Rzeczy” Piotr Laube. Grupa Astara, wyłączny importer samochodów Nissan, Mitsubishi i Isuzu w Polsce, na początku kwietnia zaprezentowała nad Wisłą aż cztery premierowe modele. Do salonów

trafią wkrótce nowe wersje Isuzu D-Max, Mitsubishi Outlander PHEV, a także dwa dostawcze Nissany: Primastar i Interstar.

Samochody wyprodukowane w USA mogą zdrożeć, ale to nie wpłynie na zwykłego Kowalskiego, bo amerykańskie marki nie cieszą się w Europie zbyt dużym powodzeniem. Nad Wisłą stanąć mogą za to auta europejskich lub japońskich marek. Walka o klienta powinna się rozkładać, ponieważ tak jak w Polsce widać zastój na rynku, tak na wielu europejskich rynkach dominują spadki. Według danych ACEA w pierwszych dwóch miesiącach obecnego roku liczba rejestracji nowych samochodów w Unii Europejskiej spadła o 3 proc. (w porównaniu z okresem styczeń-luty 2024 r.). Największe spadki odnotowano zaś we Włoszech, w Niemczech oraz we Francji. Solidny wzrost zaobserwowano jedynie w Hiszpanii (o 8,4 proc.).

Tradycyjni producenci będą więc musieli dokonać sprawnej restrukturyzacji. Pierwsze efekty zmian już widać. Borykająca się w ubiegłym roku z bardzo poważnymi problemami Grupa Volkswagen od początku roku sprzedała na Starym Kontynencie niemal 29 proc. samochodów więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Dzięki kłopotom Tesli Elona Muska sprzedała też ponaddwukrotnie więcej egzemplarzy pojazdów wyłącznie elektrycznych (wzrost z 74,4 tys. do ponad 150 tys. egzemplarzy). I chociaż trudno przewidzieć, jak będą kształtować się ceny, to w warunkach zaostrej globalnej konkurencji klienci znów znaleźli się w centrum uwagi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Konsekwentna konsekwencja

Konsekwencja jest w polskiej polityce rzeczą tak niesłychanie rzadko spotykaną, tak wręcz unikatową, że bez dwóch zdań należy świętować, i to hucznie, każdy jej nawet najdrobniejszy przejaw.

I oto wreszcie mamy taki jej przejaw. I to jeszcze jaki przejaw! Otóż bowiem posłowie PiS, z podniesioną przyłbicą, ręką w rękę z postami lewicy, a przeciw posłom koalicji rządzącej Tuska, wspieranym przez posłów opozycyjnej prawicowej Konfederacji, gremialnie zagłosowali przeciw niewielkiemu obniżeniu wysokości podatku zdrowotnego dla ponad 2 mln polskich przedsiębiorców.

Tego samego podatku, który trzy lata wcześniej bardzo mocno wywindował właśnie PiS. Jak pamiętamy, ówczesną wielką podwyżkę podatku zdrowotnego – od tamtej pory przedsiębiorcy musieli go płacić nawet od sprzedaży majątku trwałego, czyli np. auta – wymyślił i przeforsował premier Mateusz Morawiecki z PiS, sprytnie próbując ukryć ją pod nazwą Polskiego Ładu.

No i właśnie teraz – głosując w tej sprawie tak, a nie inaczej – PiS dowiódł swej niezwykłej konsekwencji. I po raz kolejny udowodnił, że tak, jak zawsze był przeciw polskim przedsiębiorcom (lub za nimi – na swój specyficzny sposób), tak – z żelazną konsekwencją – jest przeciw nim nadal. Zawsze i niestrudzenie, każdego dnia i każdej nocy. Zawsze – o każdej porze doby;

o świcie, w południe, przed wieczorem, o zmierzchu i o północy. Był przeciw nim, gdy był w rządzie, i jest przeciw nim, gdy jest w opozycji. I za tę jakże rzadką na polskiej scenie politycznej i dlatego tak łatwą (właśnie przez swą rzadkość) do zapamiętania konsekwencję należą się PiS stokrotnie brawa.

A symbolem tej trwałej, niezmiennie niezmienną, a przeciw posłom koalicji rządzącej Tuska, wspieranym przez posłów opozycyjnej prawicowej Konfederacji, gremialnie zagłosowali przeciw niewielkiemu obniżeniu wysokości podatku zdrowotnego dla ponad 2 mln polskich przedsiębiorców. Tego samego podatku, który trzy lata wcześniej bardzo mocno wywindował właśnie PiS. Jak pamiętamy, ówczesną wielką podwyżkę podatku zdrowotnego – od tamtej pory przedsiębiorcy musieli go płacić nawet od sprzedaży majątku trwałego, czyli np. auta – wymyślił i przeforsował premier Mateusz Morawiecki z PiS, sprytnie próbując ukryć ją pod nazwą Polskiego Ładu. No i właśnie teraz – głosując w tej sprawie tak, a nie inaczej – PiS dowiódł swej niezwykłej konsekwencji. I po raz kolejny udowodnił, że tak, jak zawsze był przeciw polskim przedsiębiorcom (lub za nimi – na swój specyficzny sposób), tak – z żelazną konsekwencją – jest przeciw nim nadal. Zawsze i niestrudzenie, każdego dnia i każdej nocy. Zawsze – o każdej porze doby;

Cóż, zapewne cel tak konsekwentnie zachowujących się polityków PiS zostanie osiągnięty, czyli ich konsekwencja zostanie nie tylko dostrzeżona, lecz także dobrze zapamiętana. Bo chyba o to im chodzi? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bez paniki

Obecność amerykańskiego wojska na polskiej ziemi niesie ze sobą oczywiście pewne koszty, ale jednocześnie jest wciąż jedną z fundamentalnych gwarancji naszego bezpieczeństwa. Najlepszym dla nas wariantem byłoby, gdyby ta obecność była niemożliwa do błyskawicznego skasowania, a więc gdyby łączyła się z istnieniem stałych instalacji militarnych, których Amerykanie nie mogą łatwo pozostawić. Tak jednak nie jest.

Jednakże na razie nic nie wskazuje na to, żeby Ame-

NBC (żadne inne większe amerykańskie medium jej nie powtórzyło), powołując się na rozmowy z niezidentyfikowanymi urzędnikami amerykańskimi i europejskimi. Członkowie polskiego rządu, odnosząc się do obu tych kwestii, oznajmili, że wycofywanie się z Polski nie następuje, a przeniesienie oddziałów z Jasionki w inne miejsca było wcześniej zaplanowane.

Podstawową zasadą powinno być niewyciąganie daleko idących wniosków z wypowiedzi czy „planów”, a już zwłaszcza wtedy, gdy mówią o nich anonimowi urzędnicy. Jednakże informacje NBC kazały postawić dwa pytania. Po pierwsze: W jakim stopniu Polska jest samodzielną obronnie? Jest to niestety pytanie retoryczne, ponieważ – jak wiemy m.in. od szefa BBN – nasze możliwości obronne dają nam dzisiaj maksymalnie dwa tygodnie. Po drugie: Jakie możliwości ma obecna władza, aby negocjować z USA zmianę tego typu planów, gdyby okazały się prawdziwe? Otóż – minimalne, ponieważ koalicja pod wodzą pana Tuska jednoznacznie przyjęła szkodliwy dla Polski kierunek na unijny centralizm, który ma rzekomo stanowić alternatywę dla amerykańskiej protekcji, ale wiadomo, że jeśli w ogóle, to o jakimkolwiek wzroście zdolności obronnych będziemy mogli mówić za dekadę. Na razie chodzi o to, żeby pozbawić nas kolejnej porcji suwerenności. ©©

Unijny centralizm ma rzekomo być alternatywą dla amerykańskiej protekcji

rykanie mieli zacząć Polskę opuszczać, choć w ubiegłym tygodniu zbiegły się ze sobą dwie informacje: o przeniesieniu oddziałów US Army z Jasionki w inne miejsca Polski i o rzekomych planach zmniejszenia obecności amerykańskiego wojska w państwach Europy Środkowej. Miałyby chodzić o 10 tys. osób, czyli o połowę liczby żołnierzy, dodatkowo przysłanych w ten rejon po wybuchu wojny na Ukrainie. Ne byłoby to zatem zredukowanie obecności w relacji do stanu sprzed 24 lutego 2022 r. Podała tę informację telewizja

Księżę Andrzej, gdy się urodził, był drugi w kolejce do tronu, zaraz za bratem Karolem FOT. CHRIS JACKSON/POOL/AP/EAST NEWS

Niebezpieczne związki księcia



Joanna Bojańczyk

Podejrzane znajomości i trudno wytłumaczalne poczynania księcia Yorku nie chciały odkleić się od jego osoby. Podejrzeniom próbuje zaprzeczać, ale jest całkowicie nieprzekonujący

Sześćdziesięcioletni Andrzej, książę Yorku, ma coraz mniej powodów do radości. Kiedy cała rodzina jest na dorocznej Mszy z okazji święta Commonwealthu w katedrze Westminsterskiej, jemu pozostają przejażdżki konne w Berkshire. Ta wymuszona nieobecność na rodzinnej imprezie to kolejna z represji,

które spotykają księcia od brata, króla Karola III.

Stan taki trwa od czasu, kiedy zeznania świadków w sprawie Jeffreya Epsteina rzuciły niezbyt pozytywne światło na zachowania księcia. Próbował zaprzeczać, ale nie przekonał nikogo. W tej sprawie wciąż wychodzą nowe fakty. Właśnie okazało się, że znajomość

księcia z milionerem i przestępcą seksualnym Jeffreyem Epsteinem była dłuższa i bardziej zażyła, niż dotąd sądzono. Księżę twierdził, że nie mieli kontaktów po roku 2010. Tymczasem ujawniono właśnie e-mail z roku 2011: „Bądźmy w bliskim kontakcie, wkrótce zagramy razem”.

Właśnie ujawnia się kolejna osoba gotowa opowiedzieć o niekonwencjonalnym zachowaniu księcia Andrzeja. Sześćdziesięcioletnia masażystka, Monique Giannelloni, w wydanych niedawno wspomnieniach przypomniała sobie, że zachowanie księcia, gdy robiła mu masaż, było „niestosowne” i stanowiło „nadużycie jego przywilejów”. Pani Giannelloni księcia poznała w domu Ghislaine Maxwell, przyjaciółki Epsteina w statusie jego nieoficjalnej narzeczonej. Obie panie podobno się zaprzyjaźniły.

Maxwell była oczarowana Monique i powiedziała jej, że ma kontakt z kimś znanym, dla kogo chciałaby, aby ona pracowała. Podsyłała entuzjazm masażystki, mówiąc, że następny klient będzie „kimś sławniejszym niż Bóg”. Okazało się, że był to książę Andrzej – a sesja miała się odbyć w jego apartamencie w pałacu Buckingham.

Śladem tych i innych ujawnionych nieprzyjemnych faktów w roku 2022 książę, ulubione dziecko królowej Elżbiety, obecnie ósmy w kolejce do tronu, został odsunięty od obowiązków królewskich i pozbawiony patronatów nad organizacjami kulturalnymi i charytatywnymi.

MAŁŻEŃSKIE PROBLEMY

„Kłopoty to moja specjalność” – można by rzec o księciu. Pierwszym była żona, Sarah Ferguson. Pobrali się w katedrze w opactwie westminsterskim 23 lipca 1986 r; tego samego dnia królowa Elżbieta II nadała Andrzejowi tytuły księcia Yorku, hrabiego Inverness i barona Killyleagh.

Małżonkowie znali się od dzieciństwa i początkowo zapowiadało się, że będą szczęśliwą parą. Na świat przyszły córki, Beatrice i Eugenie. Księżna Sarah podobała się mediom: jej spontaniczne zachowanie było odświeżające na tle dworskiej etykiety. Ale wkrótce harmonia zaczęła się psuć. Częsta nieobecność księcia stała się powodem problemów i para ogłosiła separację. Tabloidy na



całym świecie opublikowały zrobione przez paparazzich zdjęcie amerykańskiego biznesmena i finansisty, Johna Bryana, który na plaży ssał palce stóp Sary. To położyło kres nadziejom na pojednanie małżonków.

Chociaż księżna twierdziła, że Bryan był tylko jej doradcą finansowym i przyjacielem, to małżeństwo z Andrzejem w 1966 r. zakończyło się rozwodem. „Udało nam się wspólnie wychować nasze dzieci w sposób, w jaki niewielu innych potrafiło, i jestem za to niezmiernie wdzięczny” – mówił o żonie książę po latach.

Chodziło jednak nie tylko o zdradę. Tabloid „News of the World” zdobył nagranie, w którym Sarah twierdzi, że Andrew za pół miliona funtów zgodzi się przekazać kontakty biznesowe na najwyższym szczeblu. Gazeta sfilmowała moment, kiedy była żona otrzymuje 40 tys. dol. w gotówce jako zaliczkę. Podobno Andrew nie wiedział o tym porozumieniu, ale Sarah oświadczyła, że jej wielomilionowe długi zostały uregulowane dzięki interwencji byłego męża. Nieoczekiwanym wybawcą był nie kto inny, jak Jeffrey Epstein.

Andrew poznał Jeffreya Epsteina w 1999 r. przez Ghislaine Maxwell, córkę magnata prasowego Roberta Maxwella, wspólną znajomą obu panów – książę twierdził, że zna ją jeszcze z czasów studenckich. Znajomość okazała się na tyle bliska, że w czerwcu 2000 r. Epstein i Maxwell znaleźli się wśród gości przyjęcia w zamku Windsor. W tym samym roku książę Andrzej zorganizował dla Maxwell przyjęcie urodzinowe w Sandringham, letniej siedzibie rodziny królewskiej. Epstein był oczywiście obecny.

Przyjaźń trwała: kolejne przyjęcie z Epsteinem wydano w zamku Windsor w lipcu 2006 r. Po czym książę Andrzej miał jakoby zerwać kontakt z Epsteinem. Spotkali się w grudniu 2010 r., po wyjściu Epsteina z więzienia – został skazany za nakłonienie nieletniej do prostytucji. Według zeznań księcia to spotkanie miało zakończyć ich znajomość.

W lipcu 2019 r. Epstein został aresztowany pod zarzutem handlu nieletnimi w celach seksualnych. Proceder dostarczania milionerowi nastolatek, którym obiecywano pracę w rezydencji, trwał kilka lat, a zarządzała nim Ghislaine Maxwell.

Miesiąc po aresztowaniu, w sierpniu 2019 r., Epsteina znaleziono martwego w celi nowojorskiego więzienia, gdzie oczekiwał na proces. Okoliczności jego śmierci nigdy nie zostały wyjaśnione; wiadomo było, że zeznania Epsteina mogą pogrzyżyć niejedną znaną osobę. Książę nie mógł zaprzeczyć oskarżeniom, że był u Epsteina. Zdjęcia były twarde dowodem. W listopadzie 2019 r. książę udzielił wywiadu w programie „Newsnight”, co w konsekwencji doprowadziło do jego rezygnacji z pełnienia obowiązków królewskich.

Do swojej rezydencji na wyspie Epstein sprowadzał kilkunastoletnie dziewczyny, pochodzące najczęściej z biednych rodzin. Obiecywał im pomoc finansową, dawał prezenty, miały pracować głównie jako masażystki. Ghislaine Maxwell i Epstein wiedzieli, że najłatwiejszym łupem dla ich sutenerskich poczynań będą dziewczyny z patologicznych lub biednych środowisk, gdyż one najłatwiej dają się zwieść obietnicom „wielkiego świata”. Dziewczyny dowożono do posia-

łości Epsteina na Wyspach Dziewiczych prywatnym samolotem, który zyskał przydomek Lolita Express. W imprezach uczestniczyło wiele osób publicznych.

W sądzie znalazło się 2 tys. stron zeznań kobiet, które przeszły przez rezydencje na Florydzie i w Nowym Jorku. Wśród nich była Maria Virginia Giuffre. W roku 2019 wniosła ona oskarżenie: Epstein ze współniczką i narzeczoną Ghislaine Maxwell mieli ją zwać do domu Epsteina rzekomo na masaż. Dziewczynę, wtedy 17-letnią, według amerykańskiego prawa uważaną za nieletnią, uwięziono i gwałcono.

W zeznaniach Giuffre znalazły się także nazwiska innych prominentnych osób, które brały udział w erotycznych zabawach w domu Epsteina: gwiazdy nowojorskiej palestry Alana Dershowitza, byłego gubernatora stanu Nowy Meksyk Billa Richardsona, byłego senatora George’a Mitchella... „Był także »znany premier, którego nie wymienię z nazwiska, oraz cudzoziemiec, którego tytułowano księciem« – powiedziała Giuffre w telewizji ABC. Książę wypiera się tej znajomości, ale zdjęcie, na którym obejmuje dziewczynę (w tle Ghislaine Maxwell), nie pozostawia wątpliwości, że ją znał.

URODZINY W PIZZA EXPRESS

Dla rodziny królewskiej sprawa była przykra, dla królowej kompromitująca, tym bardziej że młodszy brat Karola był jej faworytem. Wspierała go, jak mogła, nawet wtedy, gdy rodzeństwo go odtrąciło. W marcu 2021 r. diuk Yorku pojawił się u boku matki na pogrzebie księcia Filipa. Odwzajemniał czułość, wdzięczny za poparcie w trudnym dla niego czasie. ■

REKLAMA



Fundacja
Dorastaj z Nami

Pomóż dzieciom Bohaterów

Przekaż **1,5%** podatku

w podziękowaniu za służbę ich Rodziców

KRS: 0000 36 12 65



Według dziennika „Independent” monarchini miała przekazać miliony funtów na honoraria dla obrońców Andrzeja w procesie z Virginią Giuffre.

W wywiadzie dla BBC księżę wyparł się znajomości z Virginią, utrzymując, że w tym czasie był na urodzinach córki, księżniczki Beatrice w pizzerii Pizza Express. Zaprzeczył twierdzeniu dziewczyny, która zapamiętała, że bardzo się pocił. „W ogóle się nie pocę od czasu kampanii w Falklandach”. Jednak kilka dni później ogłosił, że za pozwoleniem królowej rezygnuje z oficjalnych obowiązków, które dotąd pełnił. Pałac Buckingham wydał oficjalne oświadczenie: ubolewają nad znajomością księcia z Epsteinem i współczują ofiarom.

W styczniu 2022 r. królowa pozbawiła syna wojskowych odznaczeń i funkcji. W marcu książe Yorku zawarł z Virginią Giuffre porozumienie, płacąc jej – jak nieoficjalnie wiadomo – 12-milionowe odszkodowanie. Podobno do kwoty dołożyli się królowa i książe – wtedy jeszcze książe Walii Karol. W ten sposób Andrzej uniknął dalszych, być może kompromitujących sądowych batalii. Dla poprawy wizerunku przekazał również pieniądze na cel charytatywny, z adnotacją, że mają służyć ofiarom. Czego dokładnie, nie wiadomo.

SPONSOR I DZIEWCZYNA

Główna bohaterka tej historii i niewątpliwie także jej ofiara, Virginia Giuffre, potrafiła rozegrać ją na swoją korzyść. Wydała książkę „Niezwyczajne życie masażystki, która wyszła z przestępstwa seksualnego milionerów Ghislaine Maxwell i Jeffreya Epsteina i położyła im kres”. Historię spisał dziennikarz Nigel Cawthorne. Na okładce figuruje – jakżeby inaczej – Virginia, wtedy jeszcze Roberts, z czasów, gdy spotkały ją przykre zdarzenia w rezydencji Jeffreya Epsteina.

Virginia w wieku siedmiu lat była molestowana seksualnie. Gdy matka posłała ją do szkoły dla trudnej młodzieży, uciekła do życia na ulicy. Dostała pracę jako pielęgniarka w ekskluzywnym spa Donaldalda Trumpa Mar-a-Lago na Florydzie. To tam nastolatkę zaczepił Ghislaine Maxwell. Mówiła, że jej partner milioner Jeffrey Epstein chciałby ją sponsorować, aby została profesjonalną masażystką... W książce przedstawia siebie jako biedną

dziewczynę, której udało się przechrzyć bogatych przestępców seksualnych i położyć kres ich działalności.

Na okładce książki obok Giuffre widać niewyraźną twarz, w której można domyślić się pani Maxwell. Ghislaine Maxwell, przyjaciółka, de facto sutenka Epsteina, to wyjątkowo odrażająca postać. Udowodniono jej, jak rekrutowała dziewczyny do „haremu” swego przyjaciela, wabiąc je eleganckim towarzystwem i popłatną, niezbyt ciężką pracą w luksusowej rezydencji. Odbywa obecnie karę 20 lat więzienia. W wywiadzie, którego udzieliła twórcom dokumentalnego filmu o sobie, powiedziała, że przykro jej z powodu sytuacji, w której znalazł się książe, nadal uważa go za przyjaciela, ale rozumie, że on tych uczuć może nie podzielać.

A Virginia, dziś dorodna, elegancka 40-latką wyszła z całej sprawy z twarzą, bogatsza, a także jako bohaterka, która miała odwagę ujawnić brudne sprawy elity.

DZIWNE POCZYNIANIA

W jakiś sposób dziwne znajomości i trudno wytłumaczalne poczynania księcia Yorku nie chciały odkleić się od jego osoby. Przy czym to wszystko nie wydarzyło się raz, ale ciągnęło się za Andrzejem latami.

Książe utrzymywał bliskie relacje z Timurem Kulibajewem, kazachskim milionerem i zięciem prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. W 2007 r. Kulibajew nabył od niego posiadłość Sunninghill Park za 15 mln funtów, 3 mln powyżej ceny wywoławczej. Posiadłość ta, wiele lat niezamieszkała, została zburzona, na jej miejscu wybudowano nowy budynek.

W maju 2008 r. na zaproszenie prezydenta książe Yorku uczestniczył w polowaniu na gęsi w Kazachstanie. Dwa lata później ujawniono, że próbował pozyskać dla Kulibajewa posiadłość położoną niedaleko pałacu Kensington.

Inna dziwna znajomość księcia ujawniła się w roku 2023. Chodziło o sprawę związaną z chińskim biznesmenem Yangiem Tengbo, alias Chris Yang, którego podejrzewano o bycie chińskim agentem. Chińczyk przybył do Wielkiej Brytanii jako student w roku 2002, z czasem stał się prominentną osobą w brytyjskich kręgach biznesowych i politycznych. Był

w zarządach spółek, miał dostęp do najwyższych szczebli brytyjskiego establishmentu. Nawiązał kontakty osobiste. Brał udział w urodzinach księcia w Windsorze, bywał na Downing Street za czasów premiera Davida Camerona.

W marcu 2023 r. Home Office zabronił Chińczykowi wjazdu do Wielkiej Brytanii, ponieważ uznano, że może stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Brytyjskie władze twierdziły, że pracował on dla Departamentu Pracy Zjednoczonego Frontu, ramienia Komunistycznej Partii Chin, którego celem jest wywieranie wpływu na podmioty zagraniczne. Pan Tengbo miał dwukrotnie odwiedzić rezydencję królewską na zaproszenie młodszego brata króla i został opisany jako jego „bliski powiernik”. Andrzej utrzymywał, że „zaprzestał wszelkich kontaktów” z Tengbo, gdy po raz pierwszy pojawiły się obawy co do niego. Poznał tę osobę za pośrednictwem „oficjalnych kanałów” i „nigdy nie omawiano z nim niczego o charakterze drażliwym”, jak podano w oświadczeniu jego biura.

BENIAMINEK KRÓLOWEJ

Cały świat leżał u stóp niebieskookiego chłopca, który przyszedł na świat 19 lutego 1960 r. w pałacu Buckingham, a trzy miesiące później został ochrzczony w pałacowym Salonie Muzycznym. W marynarce wojennej był pilotem helikoptera i kapitanem okrętu wojennego. Jak to się stało, że obiecujący pułkownik marynarki wojennej, dzielny żołnierz w bitwie o Falklandy, beniaminek królowej uwikłał się w kontakty z podejrzanym towarzystwem?

Pieniądze? Raczej księciu ich nie brakowało, choć oszczędny nie był. Wyszła słabość charakteru w połączeniu z lekkością obyczaju. Kompleks młodszego brata, tej „części zamiennej” – jak wyraził się dużo później jego bratanek, William – również odegrał swoją rolę. Nie pomogła miłość królowej – Andrew pozostawał zawsze trochę na marginesie. Gdy się urodził, był drugi w kolejce do tronu, zaraz za bratem Karolem. Gdy jednak na świecie pojawili się bratanek, a potem ich dzieci, Andrzej spadł na miejsce ósme, gdzie szanse na tron są bliskie zera.

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



JAK BOLESŁAW CHROBRY ZDOBYŁ KORONĘ

1000. rocznica pierwszej koronacji – status królestwa dla Polski oznaczał komplikacje dla niemieckich planów

Tajemnice gen. von Seydlitza – oficer Wehrmachtu po dostaniu się do niewoli zaczął służyć Sowiecom w najgorszym możliwym stylu

Chiński „twórca królów” – obrotny kupiec zainwestował w banitę pochodzącego z królewskiego rodu. Efekt przerósł najśmielsze oczekiwania

Moskale porywają biskupa – Kajetan Sołtyk dał się uwikłać w perfidną grę przeciw Stanisławowi Augustowi. Gdy przejrzał na oczy, Rosjanie postanowili go ukarać

Zabójcze „żyłtka” – Medycy bardzo późno zrozumieli, że zwykłe mycie rąk i narzędzi chirurgicznych może uratować niezliczone istnienia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK
I ANNA POPEK Z D. CHRZUK

Wafle przekładane nugatem to nieco zapomniane, a niegdyś bardzo popularny rarytas. Pierwsze wzmianki o nugacie sięgają IV w. i znajdujemy je... w rzymskich księgach kucharskich. Przepis jest bardzo prosty i prawdopodobnie pochodzi z Bliskiego Wschodu, gdzie bardzo popularne było mieszanie bakalii i orzechów z miodem, cukrem i jajkami. W późniejszym czasie smakołyk ten rozpowszechnił się w Europie – stał się bardzo popularny we Włoszech, w Hiszpanii i we Francji jako tradycyjny deser przygotowywany na święta Wielkiejnocy.

Jego nazwa pochodzi od prowansalskiego słowa „nugat”, co oznacza ciasto z migdałami. Do Polski zapewne trafił dzięki włoskim wpływom kulinarnym i od razu zdobył serca najbardziej wyrafinowanych znawców słodkich smaków. Pamiętamy, jak nasza babcia Małgosia na specjalne okazje przygotowywała wafle przekładane masą nugatową. Postanowiliśmy zatem odtworzyć ten przepis i zrobić nugat na nadchodzące święta.

Deser jest dość prosty w przygotowaniu. Potrzebne składniki to jedynie orzechy, cukier, miód i piana ubita z białek. Jest delikatny w smaku i bardzo słodki, po przygotowaniu masa powinna być dość ściśła, wręcz zastygła. W Polsce Centralnej, m.in. w Warszawie, nugat przygo-

SIOSTRY GOTUJĄ

Smakołyk z południa

towuje się jako „pańską skórę”. Jest to twarda zbita masa nugatu sprzedawana w formie zawiniętego dużego cukierka.

Na święta Wielkiejnocy proponujemy przygotować mazurka nugatowego na wafelach. Ten dość oryginalny mazurek powinien spełnić oczekiwania nawet największych łasuchów. Możemy również zrobić wafle przekładane nugatem, czyli gotowaną bezę z migdałami lub pistacjami zamkniętą w kruchym wafelku.

Nugat

• 200 g cukru • 150 g miodu, najlepiej lejącego • 300 g orzechów (migdały, pistacje lub orzechy laskowe) • szczypta soli • 3 białka

W dużym rondlu roztopiamy cukier, dodajemy miód. Gotujemy kilkanaście minut do rozpuszczenia cukru. W tym czasie na drugiej patelni podprażamy orzechy przez kilka minut, aby się zarumieniły. Białka ubijamy ze szczyptą soli, na sztynną pianę, dodajemy do miodu, ale nie naraz, tylko w trzech częściach. Gotujemy na małym ogniu przez kilka minut, aż zgęstnieje, dodajemy orzechy, mieszamy. Studzimy, smarujemy wafel, przykładamy drugim i zostawiamy do ostudzenia. Smacznego! ☺☺



FOT. ANDRZEJ STYCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Album z szarotką

Jeden w brzydkim niebieskim plastiku, drugi w stylu góralskim z drzeworytem przedstawiającym szarotkę, trzeci w oprawie z płótna Jouy. W połowie pustki, bo nikomu się nie chciało wklejać zdjęć tradycyjną metodą. Każdy ma w domu takie albumy: dziadkowie, kuzyni, komunie, wakacje, imieniny. Niektóre zdjęcia jeszcze w sepii, potem małe czarno-białe z obwódkami w ząbki, wreszcie na początku lat 60. triumf techniki – kolor. Wujek miał aparat „kolorowy”, ho, ho! Dziś te zdjęcia rozczulają: spowite żółtawą poświatą, czerwony, zielony i niebieski zlewają się w coś nieokreślenie brunatnego.

Od dwóch dni pan Bojańczyk, cierpliwy i metodyczny kronikarz rodziny, usiłuje – jak to się mówi – ogarnąć setki zdjęć, które rozłożył na stole. Kto, z kim, kiedy i dlaczego. Oto spadek rodziny rozmiłowanej w fotografowaniu. Od aparatu Druh poprzez zorki, zenity do nikonów.

Gdy fotografia stała się masowa, dla dobra przyszłych pokoleń utrwalić można nie tylko chrzty, komunie, śluby i pogrzeby, jak dawniej, lecz każdy moment, każdy krok życia. W przypadku gdyby przyszłe pokolenia się tym zainteresowały, w co wątpię.

Na razie są setki zdjęć, które należy zidentyfikować i poukładać. Nasze podróże po świecie, nasze dzieci, mieszkania, przeprowadzki, znajomi, przyjaciele, sąsiedzi, psy. Niemowlęta nie wiadomo czyje,

panie o tożsamości bliżej nieokreślonej uśmiechające się na plaży. Młodzi i piękni ci, którzy teraz są starzy i brzydki. Są tam przyjaciele, z którymi już się nie przyjaźnimy, filizanki, które dawno się stłukły, buty, które wyrzuciliśmy, samochód dawno sprzedany. Który to był maluch? Chyba drugi?

– Dziadku, miałeś takie długie włosy, naprawdę? I spodnie dzwony... A kto to jest ta pani obok ciebie? Anka była u nas na Wigiliu w 1997 r.? Jezu, ale zimno wtedy były... Te zasłony, które mieliśmy na Stegnach. Co się z nimi stało?

Każdy najbardziej lubi zdjęcia, na których jest on sam. Dwadzieścia lat i 10 kilo temu... I nie tylko starzy tak lubią. Nasza rodzinna młodzieżówka chętnie oglądałaby zdjęcia, na których są oni sami, bo te wszystkie osoby, które występują w nieznanym im teatrze życia, obchodzą ich umiarkowanie. Może kiedyś, w przyszłości, zechcą się dowiedzieć, kto był kim na tych fotografiach. Ale wtedy nie będzie komu odpowiedzieć.

Teraz trzeba to wszystko posegregować i powkładać do „albumów”. O ile tym słowem można nazwać tandetne plastikowe książeczki z przezroczystymi kieszonkami, do których wsuwa się zdjęcia. Na okładce obrazek w technicolorze: Alpy w słońcu, plaża na Bahamach, pęk tulipanów.

Drewniana szarotka z przedwojennego albumu przy tym świństwie wydała mi się dziełem sztuki. ☺☺



ŠKODA ELROQ 60



FOT. PAP

Dругi w pełni elektryczny SUV czeskiego producenta ma potencjał, aby zostać nowym bestsellerem marki. Wiele dobrych cech zaczerpnął bowiem od swych starszych braci – Enyaq oraz Karoq. Elroq to SUV miejski lub kompaktowy czy – jak kto woli – elektryczny crossover.

Konstruktorzy postawili na dopracowany kształt nadwozia, który zapewni świetny współczynnik oporu aerodynamicznego, oraz na nowoczesną stylistykę: przód z pasem świetlnym łączącym wąskie reflektory Matrix LED, błyszczącą czarną maskownicę zamiast klasycznej osłony chłodnicy, spojler z dyfuzorem i koła z reduktora-mi szczelin.

Nowocześnie jest również w przestronnej kabinie, w której dominuje 13-calowy ekran systemu multimedialnego. Dla wygody jest też kilka fizycznych przycisków. Elroq bezproblemowo i bezprzewodowo działa z Android Auto i Apple CarPlay. Jak na auto czeskiego producenta przystało, jest tu też mnóstwo schowków (o łącznej pojemności niemal 50 l). Na pochwałę zasługują również bardzo dobre wyciszenie kabiny i niezła widoczność (choć widoczność z tyłu mogłaby być lepsza).

Kufer ma 470 l pojemności (po złożeniu tylnych siedzeń powiększyć go można do 1580 l). W standardzie jest też wiele asystentów bezpieczeństwa (w tym pasa ruchu, asystent skrętu za system sprawdzający odstęp od pojazdu poprzedzającego z funkcją awaryjnego hamowania).

Moc napędu w testowanej wersji to 204 KM. I chociaż w ofercie Škody są różne warianty, to

właśnie ten wydaje się najrozsądniejszym wyborem. Elroq dobrze się prowadzi, choć producent położył nacisk raczej na komfort niż frajdę z jazdy. Auto dobrze zachowuje się także podczas pokonywania ostrych zakrętów. Jest też wystarczająco dynamiczne (sprint od zera do setki zajmuje 8 s).

Prędkość maksymalna wynosi teoretycznie 180 km/h, ale już przy 140 km/h można zobaczyć, że energia w akumulatorach błyskawicznie znika, więc wątpię, by ktoś dłużej próbował/był w stanie mknąć elrokiem niemal 200 km/h.

Według producenta zużycie energii w cyklu mieszanym to 15,77 kWh/km, a zasięg WLTP 428 km. W naszym teście w cyklu mieszanym zużycie energii wynosiło ok. 18 kWh/km, a maksymalny zasięg na jednym ładowaniu 390 km. Szału nie ma,

ale dużym plusem Elroqa jest szybkość ładowania. Za pomocą przeciętnej publicznej ładowarki w pół godziny podładowałem testowany egzemplarz z 20 proc. (pozwalających na przejechanie jeszcze ok. 70 km) do 80 proc. (umożliwiających pokonanie ponad 300 km). Na najszybszych ładowarkach efekt powinien być zaś jeszcze lepszy.

Najtańsza – ale już w standardzie stosunkowo bogato wyposażona – Škoda Elroq 50 z akumulatorem 55 kWh kosztuje 152,8 tys. zł. Testowany Elroq 60 z akumulatorem 63 kWh to wydatek 162,8 tys. zł. Najmocniejszy jest Elroq 85x (210 kW, 82 kWh). W przypadku Elroqa można również skorzystać z programu „NaszEauto” i zgarnąć państwową dopłatę za zakup samochodu elektrycznego.

VASCO TRANSLATOR E1

Możliwość sprawnego tłumaczenia rozmów w 51 językach, prosta obsługa, eleganckie wzornictwo, wysoka jakość wykonania oraz brak opłat abonamentowych – to największe zalety innowacyjnego zestawu do tłumaczenia polskiej firmy Vasco.

Powstała z inicjatywy Macieja Góralskiego firma działa w ponad 20 krajach na kilku kontynentach. Z jej translatorów korzystają nie tylko turyści, lecz także osoby pracujące za granicą oraz np. bankierzy obsługujący zagranicznych klientów.

Zasada działania Vasco Translator E1 jest prosta. W zestawie znajdują się futerał do ładowania oraz dwie lekkie słuchawki (ważące po 12,5 g). Po sparowaniu ich z bezpłatną aplikacją Vasco jedną zakładamy na własne ucho, a drugą włączamy rozmówcy i prosimy, aby zrobił to samo. Od tego momentu możemy mówić po polsku, a rozmówca po kilku sekundach będzie słyszał naszą wypowiedź w swoim języku. Zaletą użycia słuchawek jest naturalność rozmowy i jej prywatność – nie trzeba mówić do smartfona czy wpatrywać się w aplikację. Wbudowany mikrofon może sam rozpoznawać początek i koniec danej wypowiedzi, można też w tym celu używać specjalnego przycisku w słuchawce (co jest mocno niewygodne).



Zestaw można rozbudowywać, co umożliwia prowadzenie rozmów tłumaczonych na kilka różnych języków jednocześnie. Testowany zestaw obsługuje też tryb głośnomówiący. Wówczas można zostawać tylko z jednej słuchawki, a przetłumaczone zwroty odtwarzane są przez głośniki smartfona, z kolei obcokrajowiec mówi do mikrofonu telefonu. Vasco Translator E1 całkiem sprawnie tłumaczy także np. obcojęzyczne wiadomości telewizyjne.

Urządzenie najlepiej sprawdza się w cichym otoczeniu. Nie nadaje się więc do prowadzenia rozmów na głośnym sycylijskim targu rybnym, ale może się sprawdzić podczas rozmowy z kelnerem w eleganckiej restauracji, z agentem nieruchomości, lekarzem czy notariuszem.

Abym system działał, naraz może mówić wyłącznie jedna osoba. Trzeba robić przerwy na tłumaczenie i nie oddalać się od rozmówcy na odległość większą niż kilka metrów. Translator dużo lepiej radzi sobie z krótkimi frazami niż rozbudowanymi zdaniami. W moich testach popełniał on nieporównywalnie mniej błędów, gdy językiem bazowym nie był polski, lecz np. angielski. Warto też pamiętać, że jeśli smartfon nie ma dostępu do Internetu, to translator E1 nagle staje się bezużyteczny. Cena: 1849 zł.

FOT. MATERIAŁY PRACOWNI



PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Czarny wtorek na ulicy Miodowej



JACEK KOMUDA

Dawna Rzeczpospolita miała swój własny, wielki krach finansowy, przypominający trochę sławny czarny czwartek 24 października 1929 r., kiedy nastąpił gwałtowny spadek cen wielu akcji na nowojorskiej giełdzie, pod adresem 11 Broad Street, na rogu Wall Street. W Warszawie podobne sceny, aczkolwiek o wiele brutalniejsze, rozegrały się na ulicy Miodowej, pod numerem 7, obok Pałacu Biskupów Krakowskich – w miejscu, gdzie znajduje się dziś przystanek przy wylocie Trasy W-Z. Za czasów I Rzeczypospolitej znajdował się tam pałac Piotra Fergusona Teppera, jednego z najbogatszych bankierów w kraju. I właśnie jego i innych finansistów dotknął gigantyczny krach bankowy. 25 lutego 1793 r. Tepper ogłosił upadłość, co pociągnęło za sobą bankructwo sześciu innych bankierów.

To był prawdziwy czarny wtorek w historii finansów dawnej Polski. Przyczyna zaś okazała się prosta – Rzeczpospolita przegrała wojnę z Rosją w 1792 r., co spowodowało masowe wycofywanie z niej kapitałów banków holenderskich. Klęska militarna oznaczała też kompletną niewypłacalność króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który u samego Teppera miał długi sięgające 11,5 mln złotych polskich.

Sytuację krajowych bankierów pogorszył fakt, że na Zachodzie miał miejsce jeszcze większy kryzys finansowy. Otóż uciekająca z rewolucyjnej Francji arystokracja pozaciągała wiele długów pod zastaw majątków pozostawionych w kraju. Kiedy jednak w 1792 r. rewolucyjna armia złoła tęgo skórę Prusakom i Austriakom pod Valmy, okazało się, że możnowładcy nie będą w stanie spłacić tych należności, bo nigdy nie wrócą do kraju! Spowodowało to upadek banków



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

i panikę. Popadający w ruinę Tepper nie był zatem w stanie uzyskać nigdzie pożyczek potrzebnych, aby przeciwdziałać utracie płynności finansowej. Przede wszystkim zawiadli go bankierzy pruscy, którzy spodziewali się, iż Prusy wkrótce dokonają nowego rozbioru Polski i Litwy. Kto by więc pożyczął pieniądze bankierowi upadłego kraju?!

9 lutego następuje kryzys – kiedy ambasador moskiewski Sievers usiłuje zmusić króla Stanisława Augusta Poniatowskiego do podróży na sejm w Grodnie, aby zatwierdzić rządy targowicy i nowy rozbiór, król nie chce jechać z powodu braku gotówki. Wówczas wezwany zostaje Tepper, który odmawia dalszego kredytu władcy, gdyż... w banku nie ma takiej kwoty. Wiadomość ta idzie w miasto i wywołuje panikę – pada krzyk: „Tepper nie ma pieniędzy!”. Wszyscy, którzy powierzyli swoje oszczędności bankierowi, rzucili się, aby je odzyskać. W ciągu niecałego tygodnia wierzyciele zażądali wypłaty łącznie 18 mln złotych!

W efekcie tego 25 lutego bank Teppera zbankrutował, pociągając za sobą na dno inne instytucje finansowe. W sumie jego zadłużenie wynosiło ok. 60 mln złotych polskich – tyle, ile wynosił w tamtych czasach roczny budżet armii liczącej ok. 60 tys. żołnierzy. Łączne zadłużenie pozostałych banków oceniano na przeszło 250 mln. Wierzyciele

zwrócili się do obradującego w Grodnie sejmu targowicy, żądając rozwiązania tej sprawy, która okazuje się tak ważna, że sami targowicze powołują Komisję Bankową biskupa chełmskiego Wojciecha Skarszewskiego, mającą doprowadzić do uporządkowania majątków pozostałych po bankrutach.

Tymczasem Teppera oskarżono o zdradę i nie potrzeba było wiele czasu, aby poznał na własnej skórze, co znaczy gniew tłumu. Rok później, kiedy wybuchła insurrekcja kościuszkowska, doszło do ogromnego wzburzenia w stolicy. 20 kwietnia rozwścieżone tłumy wpadły do pałacu przy Miodowej 7 i dokonały linczu na bankierze, który zmarł sześć dni później z odniesionych ran.

Zanim pożałujemy Teppera, należy wspomnieć, że w jego pałacu znaleziono kompromitujące dokumenty świadczące o tym, iż on sam wraz z Piotrem Blankiem wypłacał z polecenia dworu rosyjskiego duże sumy pieniędzy urzędnikom i różnym oficjonom Rzeczypospolitej, będąc de facto bankierem zaborcy. Wynikało z nich, że na stałej pensji byli sam król i jego otoczenie! Dokumenty Teppera wraz z wykazami sprzedawczyków z ambasady rosyjskiej stały się podstawą do wydania wyroków powieszenia licznych targowiczów lub w przypadku ich nieobecności – tylko portretów.

Krach bankowości polskiej sprawił, że zahamowaniu uległ dalszy jej rozwój, zwłaszcza iż po rozbiorach i unicestwieniu państwa nie było żadnej instytucji gwarantującej ich stabilność. Polacy skazani zostali na obce banki. Po co nam jakiś bank w Warszawie, skoro mają go Prusacy i Austriacy?! Sam pałac Teppera przetrwał burze dziejowe do 1948 r., kiedy jego ruiny rozebrano w czasie budowy Trasy W-Z. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Test polskiej demokracji?

Demokracja walcząca walczy. Ale już nawet i kasa. U nas na razie tylko walczy, kasa byłych rządzących, ale widać, że to zjawisko międzynarodowe, gdyż odsunięcie od startowania kandydatów nieprawomyślnych, co miało miejsce (na razie) w Rumunii i we Francji, wskazuje, że model jest trenowany i do zaimplementowania w innych krajach.

Przypadek rumuński był zakwestionowaniem demokracji wprost, gdyż decyzja o zablokowaniu wygrywającego kandydata nie była poparta niczym oprócz utajnionego raportu służb, o którym nawet nie wiadomo, czy istnieje. Co ciekawe, podobno polskie służby zwróciły się do rumuńskich po naukę w tej sprawie. Ale nie chodziło im o wykrycie, jakimiż to technikami rozpanoszył się tam u nich onuczmy przedwyborczy, o nie. Pytano kolegów Rumunów, jakich argumentów prawnych użyli, by zablokować nieprawomyślnego kandydata. A więc nasze służby zdobywają know-how, jak to się robi, a nie jak się tropi i namierza rosyjskie wpływy na akt wyborczy. Widocznie akurat ta wiedza jest im niepotrzebna, bo wpływów Putina można dowieść na milion sposobów.

Le Pen dostała karę niestartowania wykonaną za pomocą pozorów przekroczenia prawa w procesie, który dotyczy historii sprzed 20 lat. Oskarżono ją o to, że jej asystenci

za pieniądze europarlamentu pracowali dla jej partii, ale konia z rzędem temu, kto jest w mocy rozdzielić te dwie funkcje. Penalizacja czegoś takiego spowodowałoby wsadzenie do ciupy dwie trzecie parlamentarzystów, a karanie tego, to jak walenie mandatów za przekroczenie szybkości na rajdzie samochodowym. Tu też widać na pierwszy rzut oka, że nie chodzi o jakieś przestępstwo, tylko o wycięcie przeciwnika politycznego. Le Pen nie ma przecież prawomocnego wyroku, bo ten się uprawomocnia dopiero po drugiej instancji, ale już teraz, w instancji pierwszej, zabroniono jej startu.

Sąd nauka jest dla (polskiego) żuka. Demokracja walcząca szybko przechodzi do demokracji walczącej i tak się może stać u nas. Ciekawe, jakich narzędzi użyją globalistyczny europejski establishment i jego polscy kompradorzy, jak wybory pójdą nie tak, jak chce elitarna demokracja? Przecież zasada jest znana – demokracja jest wtedy, jak nasi wygrywają. Zaś, co widać z przykładów rumuńsko-francuskich, jak demokracja reaguje, jeśli demos się pomyli.

Ciekawe, czy i jak zareaguje polski lud, gdyby doszło do podobnych cyrków? Będziemy mieli test polskiej demokracji walczącej, ale też narodu, który na razie tylko rozprawia o jakimś kryterium ulicznym. A może wszystko rozejdzie się po kościach? Chyba że pałami... ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Katedra życia

Jest coś paradoksalnego, że wchodząc z ul. Świętojańskiej do warszawskiej katedry, świątyni stojącej najwyżej w hierarchii archidiecezji, trzeba pokonać schody... w dół. Niezależnie od naturalnych przyczyn ten akt ma wymiar symboliczny. Odczuwam, że wchodzę w głąb. W przypadku tego miejsca wchodzenie w głąb liturgii i modlitwy, w wymiar sakralny, łączy się z wchodzeniem w głąb naszych dziejów.

Z bogactwa wydarzeń, które złączyły historię Polski i świątyni, szczególną wymowę ma wzmianka z roku 1339 – wyrok sądu z udziałem delegatów papieża Benedykta XII, nakazujący Krzyżakom zwrot zagrabionych ziem i wypłatę zadośćuczynienia. W tym kontekście nie mogę uciec od dziejowej klamry. Mam w uszach kompozycję mojego brata, Mateusza, „Katedralność”, napisaną do fragmentu „Pamiętnika z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego. Poeta opisał walki w murach i zburzenie katedry przez Niemców. Mateusz część utworu nagrał właśnie na organach katedry. Wspominam też obraz „Konstytucja 3 maja...”, gdzie obok charakterystycznego dla manieri Jana Matejki kłębowiska postaci widnieje fragment frontonu bazyliki.

Odbudowana przez Jana Zachwatowicza w stylu gotyckim katedra nie zawiera już tych elementów. W pamięci mam też pogrzebek prymasa Stefana Wyszyńskiego. Żegna-

jąc go wiosną 1981 r., staliśmy w ogromnej rzeszy ludzi na Krakowskim Przedmieściu, modląc się też o ratunek dla Jana Pawła II, który w rzymskiej klinice, po zamachu, walczył o życie. Mimo to w tej wspólnocie czuć było jakiś entuzjazm i nadzieję czasu Solidarności. Mądra sentencja głosi, że przejawem instynktu życia jest sztuka.

Ostatnio uczestniczyłem w nabożeństwach i wydarzeniach, które dowodzą, że katedra żyje. Po rekolekcjach głoszonych przez ks. prof. Roberta Skrzypczaka zostaliśmy na koncercie katedralnego męskiego chóru Cantores Minores. Wspaniały program pieśni wielkopostnych w opracowaniach, od chorału do współczesności, zaśpiewany był z najwyższym profesjonalnym kunsztem i z modlitewnym skupieniem. Potem obchody 20. rocznicy śmierci Jana Pawła i oratorium „Czternaście Encyklik” Stanisława Szczypińskiego, w przepięknym wykonaniu Chóru im. Jana Pawła II, pod batutą Zofii Borkowskiej. Wyrazem duchowej siły i żywotności jest też obecna tu już od siedmiu lat, w każdą pierwszą sobotę, inicjatywa Męskiego Różańca. Innym dowodem trwania, odwagi i żywotności jest 15 lat nieustającej modlitwy za ofiary tragedii smoleńskiej. Zmartwychwstanie Pańskie to dobry czas, by podziękować kustoszowi świątyni, ks. kanonikowi Bogdanowi Bartołdowi, za to, że pielęguje w katedrze życie. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Toaletą w historię
wpisany

Myslałem, że internauci mnie wkręcą, ale sam sprawdziłem. Stop. Wpisałem w mapy Google hasło: „Toaleta publiczna im. Rafała Trzaskowskiego” i ku mojej konfuzji wyskoczyło, że jest ci ona, a jakże. Stop. Normalnie wyskoczył na mapie Warszawy nowy obiekt warty zwiedzenia, a obok wyszukiwania zdjęcia owej słynnej toalety Trzaskowskiego wartej 650 tys. zł. Stop. To, że europejski Trzaskowski zapisze się w historii w ten sposób i że będzie się kojarzył z przepłaconym, bezsensownym i rozwalającym się już (nie żartuję) kibelkiem, cóż, to się nie śniło ani turystom, ani fizjoterapeutom... Stop.

Sam Trzaskowski zaś do czekał się nowego przydomka po tym, jak publicznie zachwalał ogórki i batoniki, które miały być polskie, ale – jak wiemy – okazało się, że niekoniecznie. Stop. Trudno było wybrać między „Akwizytor miesiaca” a „Prince Lolo”, niemniej jednoosobowe jury postawiło jednak na księcia. Stop.

Po spektakularnej, sądowej kompromitacji Magdaleny Sroki i jej Drużyny Dajemy Dyla niezbyt lotna, mimo nazwiska, szefowa komisji do spraw Pegasusa zapowiadała odwołanie się od decyzji sądu, który nie chciał Ziobry aresztować na 30 dni, gdyż stwierdził, że Sroka i Company (m.in. Trella i „Naleśnik”) uciekli przed byłym ministrem sprawiedliwości, zamiast go przesłuchać. Stop. Była policjantka musiała

jednak przestudiować uzasadnienie sądu, które jest lekko skrywaną kpina z całej tej groteskowej komisji, i zmieniła zdanie. Stop. Komisja znów wezwie Ziobrę. Stop. Biorąc pod uwagę skumulowany intelekt komisji i jednostkowy Ziobry, już się cieszę na to spotkanie. Stop. Czemu ta Sroka chce się poranić?

W związku z publicznym donosem Romana Kaczyńskiego w programie Moniki Olejnik: „Wyzywał mnie, nazwał mnie śmierdziałem i coś tam jeszcze powiedział” mam prośbę do parlamentarzystów. Stop. Chodzi o sprawy elementarne, mianowicie o ustalenie faktów. Stop. Gdyby mogli państwo w miarę blisko stanąć obok mecenas Giertycha i silnie wciągnąć nosem powietrze... Stop. Nie wiemy bowiem, czy mamy do czynienia z naruszeniem dóbr osobistych czy też z konstatacją. Stop. Czekam na informację od państwa. Stop.

Jerzemu Owsiakowi napisano na płocie domu letniskowego „Sepsa” i „**** Owsia-ka”. Stop. Prorządowe media informowały dość zgodnie, że napisy są wulgarne. Stop. Dość to ciekawe, bo całkiem niedawno w tych samych mediach można było przeczytać o kodach kulturowych czy wielkich metaforach, chociaż chodziło o te same gwiazdki i te same wyrazy. Stop. Cóż, jak widać decydujące w demokracji walczącej jest: 1. Kto jest twórcą przekazu, 2. Gdzie wystawia swoje dzieło. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Różne kultury
jazdy

Niezwykły wyrok zapadł niedawno w niemieckim Federalnym Trybunale Sprawiedliwości. Potwierdził on wyrok sądu okręgowego w Hanowerze skazujący Ewę P., Polkę mieszkającą na stałe w Niemczech, na karę dożywocia za spowodowanie wypadku samochodowego. Wypadek był skutkiem zaimprovizowanego spontanicznie wyścigu na drodze, w wyniku którego Ewa P. zderzyła się z jadącym z naprzeciwka pojazdem. Jechała nim rodzina z dwójkiem dzieci. W wyniku kolizji rodzice donosili obrażeń, dzieci poniosły śmierć. Ewa P., ze względu na temperament kierowcy nosząca wśród znajomych przezwisko „Schumi”, uznana została za winną zabójstwa – zaakceptowała bowiem możliwość, że na ograniczającym widoczność zakręcie zginać mogą pasażerowie nadjeżdżających, ewentualnie, pojazdów. Jechała z szybkością 180 km/h, choć dozwolona tam prędkość wynosiła jedynie 70 km/h.

W trakcie procesu sprawczyni wypadku powoływała się na okoliczności łagodzące, które w Polsce zmiękczyłyby zapewne niejedno sędziowskie serce. W dzieciństwie była rzekomo prześladowana przez rówieśników. Jej matka ciężko chorowała, a ojciec cierpiał na alkoholizm. Ewa P. sama zajmowała się dwójkiem swoich dzieci, nie mogąc liczyć na męża, który uchylał się od rodzinnych obowiąz-

ków. Miała nawet jechać tak szybko, ponieważ śpieszyła się do dzieci. Chociaż oskarżona w trakcie procesu zalewała się łzami, na jej niekorzyść podziało zapewne to, że po tragicznym wypadku, już z odebranym prawem jazdy, kupiła sobie kolejny szybki samochód.

Jak stwierdził w wywiadzie dla „Faktu” prof. Piotr Kru-szyński, w Polsce nie zdarzyło się jeszcze, by wypadek samochodowy, nawet najbardziej drastyczny, potraktowano jako zabójstwo w zamiarze ewentualnym. Jeśli sprawca najkrwawszej drogowej tragedii był trzeźwy i nie uciekł z miejsca wypadku, to grozić mu może najwyżej osiem lat pozbawienia wolności.

Opinia publiczna w Polsce była niedawno wstrząśnięta wypadkiem samochodowym spowodowanym przez Sebastiana M. na autostradzie A1. Zginęła w nim trzyosobowa rodzina. Sprawca, według różnych wersji zdarzenia, jechał miał z prędkością od 250 do ponad 300 km/h. Przebywa on aktualnie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, czekając na wynik długotrwałej procedury ekstradycyjnej. Prokuratura okręgowa w Warszawie umorzyła w ubiegłym roku śledztwo wobec funkcjonariuszy policji, którzy, działając pod nadzorem prokuratora, nie zatrzymali winnego wypadku na miejscu tragedii. Uznano, zapewne słusznie, że dopełnili oni wszelkich służbowych procedur. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dwie szale

Prawda prawie nigdy nie leży pośrodku, więc trzeba rozważać za i przeciw.

Zasada ta leży u podstaw każdego wyboru. Można za rabbinem Tewje ze „Skrzypka na dachu” stale stać w rozkroku i rozważać, że „z jednej strony” to, ale „z drugiej strony” tamto. Nadchodzą jednak wybory. Wybrać trzeba i obie szale zważyć.

Na jednej szali mieliśmy osiem lat prosperity połączonej z wyraźną poprawą materialnego poziomu życia, m.in. dzięki programowi „500+”. Było to możliwe dzięki uszczelnieniu budżetu i ograniczeniu „luki VAT-owskiej”, czyli wycieku podatków w ręce przestępców podatkowych. Mieliśmy uniezależnienie Polski od dostaw surowców energetycznych

Na drugiej szali mamy „totalną opozycję”, która po przejściu rządów zmierza do władzy totalnej. Gwoli przypomnienia: mieliśmy 20 grudnia 2023 r. do czynienia z włamaniem do zarządu TVP i bezprawnym przejściem publicznej telewizji, radia i Polskiej Agencji Prasowej. Mieliśmy bezprawne przejście Prokuratury Krajowej. Mamy ogromny już wyciek VAT skutkujący wzrostem deficytu budżetowego. Mamy wycięcie planowanych za poprzednich rządów inwestycji, np. w Centralny Port Komunikacyjny.

Mamy pragnienie „domknięcia systemu”, m.in. poprzez aresztowania posłów opozycji czy wtargnięcie policji do Pałacu Prezydenckiego podczas nieobecności jego

wywiadu z Federalną Służbą Bezpieczeństwa Rosji o wymianie informacji dotyczących „państw trzecich”, czyli np. sojuszników z NATO. Mamy premiera, który nie ukrywa, że będzie stosował prawo „tak, jak je rozumie”, a właściwie jak rozumieją je mocodawcy z Berlina.

Mamy ministra sprawiedliwości, który mówił, że polskie „zwierzątko” wymaga niemieckiej opieki oraz „szuka podstaw prawnych” do swych działań. Mamy kandydata na prezydenta, który jest liberalnym zwolennikiem LGBT, usuwającym krzyże z przestrzeni publicznej, ale jednocześnie konserwatystą i patriotą, a nawet w pewnej mierze katolikiem. Mamy minister edukacji, która twierdzi, że obóz w Auschwitz zbudowali „polscy naziści”.

Mamy sędziów, którzy uważają się za „nadzwyczajną kastę” i „pragną zemsty”. Mamy prokuratorów, którzy stwierdzają bez ogródek, że „zemsta smakuje najlepiej na zimno”.

Mamy rząd, który przyjął europejski pakt migracyjny, ale wbrew faktom zapewnia, że żadnych nielegalnych migrantów nie przyjmie. Jest to rząd koalicji, której europosłowie głosowali za oddaniem dowództwa nad armią polską w nie wiadomo czyje ręce z wyłączeniem dowództwa NATO, a co więcej – agresywnie oskarżali przeciwników tej rezolucji o zdradę polskiej racji stanu. Mamy wreszcie ideologię „ośmiu gwiazdek”, propagowaną przez rosyjskich agentów wpływu.

Na drugiej szali mamy więc sporo. Czy jednak więcej niż na tej pierwszej? ©©

Mamy sędziów, którzy uważają się za „nadzwyczajną kastę” i „pragną zemsty”. Mamy prokuratorów, którzy stwierdzają bez ogródek, że „zemsta smakuje najlepiej na zimno”

z Rosji. Mieliśmy zbliżenie z USA i umocnienie bezpieczeństwa Polski przez ustanowienie stałej obecności żołnierzy amerykańskich oraz uznanie w NATO ze względu na spełnienia wymogów w zakresie wydatkowania odpowiednich sum na zbrojenia. Tak było za rządów Zjednoczonej Prawicy. Były ogromne trudności związane z pandemią oraz wybuchem wojny na Ukrainie, ale jeśli nie liczyć problemów z „piątką dla zwierząt” i Polskim Ładem, to przeciętny obywatel nie mógł narzekać na spadek dochodu i poczucia bezpieczeństwa.

gospodarza. Mamy sejmowe „komisje śledcze”, których posiedzenia stały się przedmiotem drwin ze względu na brak kompetencji większości członków, w tym także komisję do zbadania wpływów rosyjskich, która powinna zacząć swe prace od siebie samej.

Mamy szefa rządu, który oskarżał prezydenta USA o bycie agentem rosyjskim i wycofał ambasadora ze stolicy najważniejszego naszego sojusznika. Mamy premiera, który zlikwidował wiele garnizonów na wschód od Wisły i zgodził się na umowę polskiego



FOT. W. CEJROWSKI / DUDY / AGENCYJA ŚWIŚCISKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Trump podniósł cła tylko tym krajom, które stosują cło wobec Ameryki. Dany kraj nakłada cło (lub inne podobne ograniczenia) na towar amerykański, a teraz USA nakłada cło na towar sprowadzany z tego kraju – wzajemność i równowaga w stosunkach między państwami. Nie żadna „wojna celna”, lecz zasada równouprawnienia w dostępie do rynków i wzajemności w układach handlowych. Lepiej byłoby, gdyby po obu stronach cło (i inne bariery) wynosiło zero – wówczas mielibyśmy strefę wolnego handlu. No ale skoro Unia Europejska nakłada na towar z USA obciążenia w wysokości 39 proc., to Ameryka się teraz uprzejmie odwzajemnia. „Robimy wobec innych tylko to, co oni robią wobec nas” – objaśnił Trump.

Po angielsku te cła noszą nazwę „reciprocal”, co zgodnie ze słownikiem znaczy, że są „odwzajemnione” – jak uczucia, przysługa, zaproszenie lub życzenia, „wzajemne” jak wzajemna tolerancja, „obopólne” jak korzyści, „dwustronne”, jak współpraca lub porozumienie, „zwrotne” jak ruch posuwisto-zwrotny. W słowie „reciprocal” nie ma agresji ani odwetu – jest szacunek dla obu stron. Ameryka była od dziesięcioleci frajerem celnym – inne kraje zamykały swoje rynki na towar amerykański, a jednocześnie sprzedawały, ile się da, do Ameryki, bo w USA były najniższe cła na świecie lub nie było ich wcale. Ponad 180 krajów wykorzystywało tę sytuację w sposób nieuczciwy. Unia Europejska miała być przyja-

ciem Stanów Zjednoczonych, mieliśmy mieć strefę wolnego handlu przez Atlantyk. I co? Jajco! Na amerykańskich autostradach widzę pełno samochodów produkcji europejskiej, a w Europie widzę niewiele samochodów produkcji amerykańskiej. Europejski przemysł samochodowy sprzedawał auta do USA, ale gdy Ameryka chciała sprzedać swoje auta do Europy, to na granicy napotykała wysokie bariery – auto z USA robiło się zbyt drogie. I tak było ze wszystkim, nie tylko z samochodami.

Układ był nieuczciwy, ale nikt się tym nie zajmował – ani demokraci, ani republikanie – bo panowało przekonanie, że jeżeli wprowadzi się cło na towar z importu, to wzrosną ceny. Nieprawda! Niekoniecznie. Nie zawsze.

Pierwsze podwyżki ceł na towary z Chin Trump zastosował w lutym i nic nie podróżowało. Tamte cła były karne – Chiny mają powstrzymać się od eksportu narkotyków na teren USA za pomocą swoich pośredników w Meksyku i Kanadzie. Cła wzrosły, a mimo to ceny stale spadają, odkąd Trump objął władzę.

Ogromna sieć handlowa Walmart powiedziała Chińczykom, że jeśli chcą zachować amerykański rynek dla swoich dostaw, to muszą cła wziąć w całości na siebie, czyli pomniejszyć swoje zyski, a cena towaru na półkach w Wal-marcie ma zostać taka, jak była. I tak się stało, co sanowidowód, że wprowadzenie cła nie zawsze oznacza wzrost cen – czasami oznacza zmniejszenie zysków u zagranicznego dostawcy. A to z kolei oznacza, że Amerykanie będą mniej

pieniędzy wysyłać do Chin, bo część tych pieniędzy zostanie w USA w formie cła pobranego od Chińczyków.

185 krajów stosowało wobec USA cła (i inne podobne ograniczenia) wyższe niż USA wobec nich. Teraz Ameryka się odwzajemnia oraz wysłała globalny sygnał do negocjacji.

Kto mądry, ten się od razu rzucił do telefonu negocjować z Ameryką. Pierwsze dwa kraje, które zadeklarowały całkowite zniesienie ceł na towary amerykańskie, to Wietnam i Izrael. W ciągu siedmiu dni obowiązywania nowych ceł 75 krajów świata zadeklarowało chęć dogadania się z Ameryką. Co to oznacza z punktu widzenia zwykłego człowieka? To oznacza, że w tych krajach spadną ceny. Gdy znikną cła, spadną ceny nie tylko na towar Made in USA. (Możemy to omówić na przykładzie samochodów – gdy w UE zniesione zostaną cła na samochody z USA, wówczas na rynku europejskim pojawi się więcej samochodów, a skoro będzie więcej samochodów, to wszyscy producenci zmuszeni będą obniżyć ceny).

Zaraz po tym, gdy Trump ogłosił nowe taryfy celne, komentarze wobec niego były wrogie. Europejska Führer Urszula była pogardliwa i buńczuczna. Ale drugiego dnia ktoś jej policzył na kalkulatorze, co się opłaca, i mówiła już w zupełnie innym tonie, cytując: „Europa proponuje wzajemne zniesienie ceł na wszystkie produkty z wyjątkiem diamentów i nici dentystycznych”.

Nie wiem, o co jej chodzi z niemi dentystycznymi, a o diamentach wiem tyle, że cały światowy handel kontroluje jedna firma. Być może Urszuli zależy na utrzymaniu tego monopolu. Tak czy owak, zamiast wybrzydzać na Trumpa, powinni go wszyscy chwalić, bo przecież jego „awanturnicza polityka” skutecznie prowadzi do zniesienia cła. Tak samo jak wcześniej poprzez swoje „chamskie zachowanie” doprowadził do tego, że państwa NATO zaczęły płacić składki.

Kto się teraz rzuci do telefonu i dogada z Ameryką na PARTNERSKIE układy handlowe, ten zyska dostęp do potężnego i bogatego rynku. 75 krajów, które natychmiast podjęły rozmowy, dostało bonus – cło obniżone do 10 proc. na 90 dni i w tym czasie trzeba domknąć negocjacje. A kto się będzie ociągał, ten straci okazję na dobry układ, bo gdy Trump dogada się z największymi krajami, nie będzie już musiał dogadywać się z resztą opornych.

A Chiny? Chiny zrobiły głupio, bo zamiast się dogadać, poszły na wojnę celną z USA. Chinom się być może wydaje, że są niezastąpionym dostawcą wszystkiego dla całej reszty świata. Tymczasem wszystko, co obecnie kupujemy w Chinach, da się produkować i kupić w tej samej cenie w Indiach. Chiny zamiast negocjować, zaczęły licytować. W tej sytuacji Trump podniósł cło na towar chiński do 125 proc. i to raczej nie koniec. W kampanii wyborczej mówił, że może być i 500 proc. Można nie lubić Trumpa, ale nawet wtedy warto pamiętać, że silne Chiny są dla całej reszty świata zagrożeniem. Dlaczego? Otóż Chiny GARDZĄ całą resztą świata. Nie chcesz, by światem rządził ktoś, kto tobą gardzi. © ©

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

ALEKSANDER BRÜCKNER: „MITOLOGIA
SŁOWIAŃSKA I POLSKA”, WITOLD BUNIKIEWICZ:
„ŻYWOTY DIABLÓW POLSKICH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

497,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 1031 zł

~~1528 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7c72a01b63

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zostań współwłaścicielem
Do Rzeczy S.A.
Kup akcje już teraz!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

*„Podatki, inflacja,
drożyzna – czas odkryć,
kto na tym korzysta.”*

Piotr Gabryel
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do RZECZY S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU
WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE
NA **NEW/CONNECT (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej www.dorzeczy.pl/gielda oraz Domu Maklerskiego INC S.A. www.platforma.dminc.pl.



INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.